

ALEKSANDRA KATARZYNA MALUDY

*Kiecka
i krynolina*




ALEKSANDRA KATARZYNA MALUDY

*Kiecka
i krynolina*



ALEKSANDRA KATARZYNA MALUDY

*Kiecka
i krynolina*

SZARA  GDZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Novo Publishing Anna Slotorsz

Fotografie

© *Vlad Ivantcov, STH, Kathy, indiraswork | stock.adobe.com*

Redakcja

Beata Wojciechowska-Dudek

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz przygotowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

Korekta

anatta.pl

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2021

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER SA

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina, 2020

ISBN 978-83-66573-79-6

Rozdział 1

– Koniec! To już koniec!! – powiedziała Zośka do swojego lustrzanego odbicia.

– Koniec! To już koniec! – powtórzyła jej ta, która siedziała po drugiej stronie starego zwierciadła. Zrobiła to odrobinę później, niż należałoby się spodziewać, ale Zośka nie zwróciła na to uwagi, zajęła się bowiem ryczeniem. Bo właśnie zawalił jej się świat.

Lustro stanowiło nadbudowę starej toaletki i składało się z trzech części. Dwie z nich zawieszono na zawiasach po obu stronach trzeciej tak, żeby dało się je dowolnie odchylić. Zośka lubiła tę potrójność właśnie dlatego, że mogła obejrzeć się w nim nie tylko z przodu, ale też boku, by dokładnie skontrolować, czy nie wystaje zdradziecki brzuszec. Zdradzał on, że Zośka trochę za bardzo lubi słodczyce i chętniej spędza czas na czytaniu książek niż na siłowni.

Miało ono też tę zaletę, że ze starości zmatowiało i pokryło się ciemnymi plamami. Tak, tak, to był jego walor, bo gdzieś w tej lustrzanej mgłę ukrywały się zmarszczki. Dlatego zwykle przyjemnie było w nie zerknąć. Dziś jednak nawet to stare zwierciadło nie poprawiało jej nastroju.

Osoba po drugiej stronie wpatrywała się w nią kontrolnie i z dezaprobatą. Tak, wyglądała fatalnie bez makijażu, z włosami niechlujnie wymykającymi się z koka, który zwykle upinała z tyłu głowy, z zaczerwienionymi oczyma i zasmarkanym nosem.

– Wyglądasz, jakby ciebie też zdradził mąż – powiedziała do niej Zośka i nie zdziwiła się zbyt, gdy nie usłyszała odpowiedzi. Zauważyła tylko lekkie wzruszenie ramion i kiwnięcie głową, choć sama tych gestów nie wykonała. Nie miała pojęcia, jak mogło się to zdarzyć, ale alkohol lekko już szumiał jej w głowie, więc nie przejęła się tym zbyt.

Obie jednocześnie podniosły do góry ręce i wyciągnęły z włosów szpilki podtrzymujące fryzurę. Włosy spłynęły im na ramiona. Sięgnęły po szczotki i równym, tyle lat ćwiczonym ruchem zaczęły je rozczesywać. Ta czynność zawsze Zośkę relaksowała. Tamtą chyba też, bo zamknęła oczy. A może jednak nie? Spod jej przymkniętych powiek potoczyły się łzy. Zośka też poczuła wilgoć na policzku, więc szybko wytarła ją wierzchem dłoni. Tamta sięgnęła do szuflady, wyciągnęła chusteczkę i wykwinętym ruchem osuszyła oczy.

– Matko Boska! Odbija mi od tego wszystkiego! – przeraziła się Zośka i wgapiła w taflę lustra. Tamta też wpatrywała się w nią ze zdumieniem. – Nie jesteś mną?

– To pani powinna być mną! – fuknęła tamta z oburzeniem. – A takie zachowanie jest co najmniej niestosowne! – Zerknęła na kryształową szklaneczkę koniaku optymistycznie do połowy pełną.

Zośka nie cierpiała koniaku, ale kilka razy w życiu stwierdziła, że mimo ohydneho smaku i jeszcze gorszego zapachu działa antydepresyjnie. Raczyła się więc tym trunkiem od czasu tej strasznej rozmowy z Kostkiem. Zazdrość, gniew i ciężka do zniesienia miłość, zawiedziona, ale jednak, targały nią boleśnie. Teraz też wzięła solidny łyk i poczuła delikatne odprężenie.

– Tego się nie da znieść na trzeźwo! – Zośka postanowiła nie przejmować się zwidami w lustrze. Owszem, sączyła koniaczek już od północy, więc miała prawo być z lekka pijana. A skoro tak, nic dziwnego, że jej zwierciadlane odbicie wyprawia jakieś brewerie. To nawet zabawne.

– Czego się nie da znieść?

– Ten złamany kutas i fiut zwiędły zdradził mnie!

Kobieta po drugiej stronie lustra zasłoniła rękoma uszy.

– Już mi to pani sugerowała! A takie słowa są niedopuszczalne w ustach szanującej się niewiasty! Proszę! W każdej sytuacji należy się umieć zachować!

– Łatwo ci mówić!

– Niełatwo. Mój mąż też ma romans. – Odbicie w lustrze, złożywszy tak skandaliczne wyznanie, gwałtownie się zarumieniło.

– I co teraz zrobisz?

Kobieta po drugiej stronie zakryła twarz dłońmi. Zośka zrobiła to samo i przez rozczapierzone palce podglądała: zacznie płakać czy nie? Zaczęła.

– Nie wiem. – Teraz już jej dziwaczne odbicie jawnie chlipało. – Naprawdę nie wiem.

Zośka przyglądała się z rosnącym zainteresowaniem temu, co dzieje się w świecie, który powinien być tylko wiernym odbiciem znanej jej rzeczywistości, a najwyraźniej od niej odbiegał. Kobieta po drugiej stronie lustra nosiła się ze staroświecką elegancją. Jej bluzkę koloru brudnego różu zdobiła delikatna koronka, a każdy ruch był pełen dystynkcji, wdzięku, delikatności, trudnego do określenia uroku. Jednocześnie do złudzenia

przypominała ją, Zośkę! Miała te same popielate włosy, całkiem niezłe, na których nie znać było pojedynczych siwych nitek, i szare oczy okolone drobną siateczką zmarszczek, niezbyt widocznych w tym lustrze, ale Zośka dobrze wiedziała, że tam są. Może zbyt blade, ale pełne i ponętne usta. Zawsze wydawało się Zośce, że jest bezbarwna i nijaka, nie wychodziła więc z domu bez makijażu. Tamta nie miała na sobie śladu pudru, szminki czy tuszu do rzęs, ale bił od niej jakiś blask. Przelotnie zaciekawiło ją, skąd się brał. Może miała świeższą cerę, może oczy niezmezczone wgapieniem się w ekran komputera?

Zośka uważniej przyjrzała się całemu odbiciu w lustrze. Nie dojrzała w nim elegancko i nowocześnie urządzonej sypialni, tylko obce, staroświeckie miejsce. Lekki przeciąg poruszał muślinowymi firankami z falbanką, którymi osłonięte było otwarte na oścież okno. Za nim pewnie stało duże drzewo, bo słoneczne promienie drgały, tak jakby przebijały się przez liście, i mozaika cieni oraz światła tańczyła na wielkim małżeńskim łożu zaścielonym koronkową kapą. Obok stała ogromna szafa z wprawionym w środkowe drzwi lustrem. Odbijała się w nim postać siedzącej przy toaletce kobiety. I tylko ta toaletka była Zośce bardzo dobrze znana.

– Jeśli jesteś alkoholowym zwidem, to muszę zadbać, byś nie zniknęła – powiedziała, sięgając po szklaneczkę z koniakiem.

– Nie jestem zwidem! – Kobieta w lustrze na moment przestała płakać. – Niezależnie od tego, czy pijesz, czy nie. Może lepiej więc, byś odstawiła już ten trunek. – Mówienie per pani do kobiety samotnie osuszającej kieliszek przed lustrem wydawało się Zosinej bliźniacze zbytkiem przejęmości. – Co to jest? – dopytała z zaciekawieniem.

– Martell. – Zośka pomachała przed lustrem butelką. – Wyjątkowe paskudztwo, choć mąż twierdzi, że to jeden z najlepszych koniaków.

– Chyba dobra marka, bo u nas w barku w bibliotece też stoi podobna butelka – odpowiedziało jej odbicie.

– Mówię ci, łyknij sobie! Dobrze robi na stres.

– Na co? – Kobieta w lustrze jej nie zrozumiała.

– No, na melancholię, boleść duszy – starała się przetłumaczyć na staropolski tak popularne we współczesności słowo. Skutek ją zaskoczył: jej sobowtóra ogarnął gwałtowny szloch. To ja tak płaczę czy ona? – Mówię ci, gołnij sobie! – huknęła trochę za głośno.

Kobieta z lustra popatrzyła wzrokiem zbitego psa, wstała od toaletki i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła z koniakówką do połowy napełnioną bursztynowym płynem. Nieufnie zbliżyła kieliszek do nosa i powąchała.

– Nieprzyjemnie pachnie. Mam nadzieję, że służba niczego nie widziała.

– Ostrożnie umoczyła usta i zdecydowanym ruchem odstawiła trunek. – Niesmaczne! Jak ten Kazimierz może to pić?

– Ale działa!

Namawiana jeszcze raz podniosła do ust kieliszek i upiła drobny łyżeczek. Zakaszła, przyciskając chusteczkę do ust.

– Po co ja to robię?

– Ty byś pewnie powiedziała: żeby odważniej stawić czoła światu – podpowiedziała jej Zośka.

– Ja? – zdziwiło się odbicie. – Nie sądzę, by mi coś takiego przyszło do głowy. Stawić czoła światu? To zupełnie niekobiece. Nie jesteśmy do tego stworzone.

– My nie jesteśmy stworzone? – Zośka spróbowała spojrzeć w lustro z wojowniczą miną, ale nagle poczuła się całkowicie bezradna, słaba i zdruzgotana.

Tamta pokiwała tylko w milczeniu głową.

– Może masz i rację – zgodziła się z nią potulnie Zośka i wybuchnęła płaczem. Po chwili szlochając, zapytała: – Więc co powinniśmy zrobić?

– Cierpieć z godnością i w milczeniu – odpowiedziała bliźniaczka, która coraz mniej była jej lustrzanym odbiciem.

Ta odpowiedź zdecydowanie nie spodobała się Zośce.

– Upadłaś na głowę! Nigdy w życiu! Już on mnie popamięta! Rozwód! I w skarpetkach go puszczyć! Pożaluje jeszcze ten zdrajca! Łajdak! Podstarzały amant!

Ta w lustrze najwyraźniej przestraszyła się tej gwałtowności.

– Czyli co? – spytała zdezorientowana.

– Czyli mąż. W każdym razie jeszcze mąż.

– Czyli co zrobisz? – powtórzyła pytanie tamta.

– Najpierw rozwód! Udowodnię mu zdradę! Czarno na białym udowodnię! Detektywa zatrudnię, niech mu robi zdjęcia z kochanicą! Niech nagra, jak się barłozą w hotelowych łóżkach, czy gdzie oni to robią! Wyciągi z banku! Tak! Wyciągi z banku pokażę, niech sąd wie, ile ten cham wydaje na dziwkę! Potem podział majątku! Mieszkanie musi należeć do

mnie! Zażądam od niego takich alimentów, że się przekreśli. Dziecku niczego nie może zabraknąć!

Choć słowo „zbaraniała” zdecydowanie nie pasowało do dystyngowanej damy siedzącej po drugiej stronie lustra, należało go użyć, by opisać wyraz jej twarzy.

– Naprawdę to wszystko zrobisz? – Była tak zdziwiona, że zapomniała się zgorszyć nieparlamentarnym językiem Zośki.

Zośka tymczasem ochłonęła i przestała płakać.

– Jakim cudem z tobą rozmawiam? – zastanowiła się nagle. Pijacka wizja wydała jej się zbyt realistyczna.

– Myślę nad tym już od dłuższego czasu. Niedawno czytałam książkę o Alicji, która znalazła się po drugiej stronie lustra. Może to nie tylko fantazja autora? Może podróże w czasie i inne takie cuda są możliwe? I nam się to właśnie trafiło? – Niepewnie dotknęła szklanej powierzchni, jakby chciała sprawdzić, czy da się przedostać na drugą stronę.

Zrobiła to też Zośka. Tafla lustra była twarda i przyjemnie chłodna jak zwykle.

– Niemożliwe! – zaśmiała się. – Michio Kaku¹ twierdzi wprawdzie, że kiedyś pewnie uda nam się przenieść w przeszłość przy wykorzystaniu faktu, że czasoprzestrzeń nie jest równą płaszczyzną i gdzieś się zawija, nigdy jednak nie będziemy mogli dowolnie wybrać momentu w historii świata, w którym byśmy chcieli wylądować, i nie da się też z takiej podróży wrócić.

¹ Michio Kaku – amerykański fizyk japońskiego pochodzenia.

– Ale rozmawiamy – odparła jej tamta – choć pojęcia nie mam, o czym mówisz. Który rok jest u ciebie? U mnie zaczyna się lato tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego. Lipy w parku pachną.

– Dwa tysiące dziewiętnasty. Mam na imię Zośka.

– Ach! Dwa tysiące któryś! I popatrz, jaki przypadek, ja też jestem Zofia... Myślę, że to sprawa tej toaletki.

Dopiero teraz Zośka spostrzegła, że rozmówczyni co chwilę zerka gdzieś za jej ramię. Odwróciła się. No tak, przecież i w jej sypialni były lustrzane drzwi zasuwające szafę, która zajmowała całą ścianę. Widać w nich było wyraźnie ten mebel.

– Poznaję ją. To moja toaletka. Czy resztę mebli od kompletu też masz?

– Nawet nie wiedziałam, że był jakiś komplet.

– Służba pewnie nie dbała o niego należycie – westchnęła Zofia z żalem. Komplet sypialniany był wyjątkowo uroczy.

– Jaka służba...? – Tak samo westchnęła Zośka. – W naszych czasach to rzadkość, najwyżej czasem jakąś panią do sprzątnięcia się najmie. A to cud, że ta toaletka przetrwała dwie straszne wojny.

– Wojny?! Co ty opowiadasz?!

Zośka chciała jeszcze ostrzec, żeby Zofia miała się na baczności, bo już niedługo wybuchnie powstanie, ale drzwi do wytwornego pokoju w głębi lustra otworzyły się i weszła kobieta ze sporą nadwagą ubrana w ciemną suknię i biały fartuch.

– Jakby pani obiad zechciała zadysponować – powiedziała, przyglądając się pani Zofii badawczo, ale z pewnym współczuciem.

– Idę, już idę, Marcelinko – odpowiedziała gospodyni, wstając sprzed toaletki. – Ja tu jeszcze wrócę. A ty? – zapytała szeptem.

Zośka zdążyła tylko pokiwać głową.

I tak się spotkały – urodzona na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku Zośka Przywara, która wraz z mężem Konstantym mieszkała w pięknym apartamentowcu niedaleko stacji metra Imielin w Warszawie, i Zofia z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, około czterdziestoletnia właścicielka majątku Lutomerzyce na północy Mazowsza, żona Kazimierza Lutomierskiego, człowieka niepraktycznego, żyjącego z głową w chmurach, bardzo romantycznego. Niestety.

Rozdział 2

Takiej to dobrze – myślała Zofia Lutomierska o Zośce z drugiej strony lustra, idąc po schodach do suteryny, gdzie mieściła się kuchnia. Miała przemożną ochotę położyć się do łóżka, nakryć głowę kapą i spokojnie popłakać. Ale gdzie tam! Nie można było! Dopieroż służba by plotek naroznosiła po całej okolicy! I tak pewnie gadają! Trzeba więc było zdusić w sobie żal i wziąć się do pracy. Takie życie. Człowiek nie miał gdzie schować się ze swoim cierpieniem, zawsze czyjeś chciwe sensacji czy badały, wścibsko dowiercały się do wnętrza.

Kuchnia w Lutomierzycach była ogromna. Miała dwa paleniska: jedno otwarte, używane tylko wtedy, kiedy piekło się coś na rożnie, drugie zaś nowoczesne, przykryte żeliwną płytą z krągłymi otworami osłoniętymi fajerkami. Pośrodku stał wielki stół, a pod ścianami kredensy, w których chowało się całe kuchenne bogactwo.

– Jakiś skromny dziś obiad zrobimy, Marcelinko. – Zofia usiadła ciężko na zydlu przy stole. Zdrowa była i niby nic jej nie dolegało, ale odkąd dowiedziała się o zdradzie Kazimierza, życie stało się bardziej wyczerpujące.

– Toć wiem, toć wiem – odpowiedziała jej kucharka. – Skromny zrobimy, bo tylko starsza pani, pan Franciszek i panna Stanisława będą siadać do stołu. Jakby tak ciastka z wiśniami upiec², to i na podwieczorek by było, a i pan lubi. Zjadłby, kiedy... – Marcelina zamilkła skonfundowana, a w oczach pokazały jej się łzy.

² W Lutomierzycach pieczono ciastka według takiego przepisu: 50 g świeżych drożdży wkruszyć do miseczki, dodać po łyżeczce cukru i mąki, zalać niepełną szklanką ciepłego mleka, wymieszać i poczekać, aż zaczyn kilkukrotnie zwiększy objętość. Potem wlać go do miski z przesianą mąką (500 g) i dodać utarte z cukrem (100 g) jajka (3 całe i 3 żółtka), lekko wymieszać. Całość wyrabiać 15 min, a potem zostawić do wyrośnięcia. Kiedy ciasto podwoi swoją objętość, rozciągnąć je cienko na blasze i porozcinać na kwadraty bądź prostokąty, by się później łatwo dzieliło. Na każdą część nałożyć solidną porcję wydrylowanych i uprzednio zasypanych cukrem wiśni (nadmiar soku odlać). Całość posypać dosyć grubo cukrem i wstawić na 35 min do piekarnika nagrzanego do 180 st.

– Dobrze, niech Marcelinka upiecze wiśniowe ciasteczka. Zrobi chłodnik na skisłym mleku z jajami, bite zrazy z młodymi kartoflami, mizerię i wystarczy. Niech Marcelinka nie płacze.

Ostatnia uwaga Zofii miała taki skutek, że Marcelinka rozszołała się na dobre. Usiadła nieśmiało na brzeżku zydlu obok przy stole i wycierała

fartuchem oczy.

– Co to z nami teraz będzie, proszę pani?

Zofia musiała przyznać, że odpowiedź na to pytanie stanowiła nie lada zagwozdkę. Co z tego, że była podziwianą w okolicy panią domu? Co z tego, że udało jej się zdrowo wychować czwórkę dzieci, a we dworze wszystko szło jak w zegarku? Jej konfitury wygrywały konkursy na wystawach organizowanych w Warszawie czy w Pułtuskach, sąsiedzi nie mogli się nachwalić nalewek, a hafty były najstaranniejsze. Jej życie mogło się teraz rozsypać jak domek z kart, bo Zofia nie miała pojęcia, jak się zarabia pieniądze. To Kazimierz siedział wieczorami w swoim gabinecie nad księgami rachunkowymi, to on prowadził negocjacje z handlarzami, on wyprawiał zboże aż do Gdańska, podpisywał umowy na dostawę buraków do cukrowni w Głinojecku. Dla niej to była czarna magia. Czasem podpytywała go o niektóre sprawy, ale zawsze odpowiadał, że z kobietami o interesach nie będzie rozmawiał. I koniec.

– Cóż ma być, Marcelinko? – odpowiedziała. – Dom stoi, ziemia rodzi, żniwa się zbliżają. Jak zawsze.

Jak zawsze... Dopiero łzy Marceliny uświadomiły Zofii, jak wielki ciężar na nią spadł. Odpowiadała za tak wielu ludzi! Najpierw dzieci. Antek i Gucio na studiach, dziewczynki na pensji w Warszawie. Nawet nie wiedziała, ile to kosztuje. Domowników jakoś się wyżywi. Jeszcze tak nie było, by w polskim dworze zabrakło jedzenia, ale skąd wziąć pieniądze na sprawunki? Jakies podatki trzeba płacić! Komu?! Ile?! I gdzie Kazimierz trzyma gotówkę?! Nawet tego nie wiedziała! Trzeba jej wejść do gabinetu męża i rozejrzeć się trochę. Klucz do niego nosiła razem z innymi przy pasie w specjalnym woreczku, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by pójść tam samej. Czasem przychodziła do siedzącego nad papierami małżonka, ale tylko wtedy, kiedy trzeba było zdecydować o dalszym kształceniu dzieci czy najmowaniu służby.

– Nie płacz, Marcelinko. – Zofia pogłaskała ją po włosach. – Pan wróci. Poproś pannę Stasię, by ci wydała, co potrzeba do obiadu z apteczki i spiżarni.

– Dyc prawda, żniwa za pasem. – Kucharka chlipnęła ostatni raz, bo ta myśl ją uspokoila.

Choć Zofia przez nie najszcześliwsze lata pożycia wiele razy zaobserwowała, że jej mąż potrafi być lekkomyślny, nieodpowiedzialny

i chętnie dogadza swoim zachciankom, naprawdę trudno było się spodziewać, żeby opuścił swój majątek w takiej chwili na dłużej. Żniwa to najważniejszy czas dla gospodarki. Jednak ostatnio...

Ostatnio na dworze w Lutomerzycach służba nie wiedziała, gdzie ma oczy podziąć, a Zofia chodziła z kamienną twarzą i wielkim wstydem w sercu. Wszystko zaczęło się od tego, że panna Mrozińska, przełożona pensji, w której kształciły się Nastusia z Bogumiłką, wyraziła niezadowolenie z postępów dziewczynek w nauce francuskiego. Języki nie były ich mocną stroną. Obie celowały w przedmiotach do niczego niepotrzebnych kobiecie. Matematyka, fizyka to były ich pasje. Nawet obserwatorium astronomiczne sobie urządziły na poddaszu. Ale języki kulały. Śpiew, szkoda gadać, na fortepianie grały z gracją drwała. Z urody nie były podobne do siebie. Bogumiłka, choć starsza o dwa lata, była drobniutka, ciemnowłosa, żywa jak iskra, za to Nastusia miała charakter bardziej melancholijny, a urodę Junony. Piękne jasne włosy i szare błyszczące oczy ocienione długimi rzęsami. Uzdolnienia tymczasem miały takie same. A raczej ich brak. Trzeba było zatrudnić kogoś, kto pomógłby im w nadrobieniu zaległości. Traf chciał, że polecono Lutomerskim pannę Dominique Dulpy, Francuzkę. Panna ślicznie grała na fortepianie i była pełna uroku. Dziewczynki pokochały ją niemal natychmiast. Nawet Zofia ją polubiła.

Niestety na jej urok nie pozostał też obojętny Kazimierz. Wszyscy to widzieli. Przy stole podczas obiadu tylko jej nalewał wina do kieliszka, nagle bowiem w ich domu do tego posiłku zaczęto pić taki trunek. Tylko ją bawił rozmową, zaglądał w oczy, najgłośniej śmiał się z jej dowcipów. Wieczorem, kiedy siadali na tarasie, by posłuchać koncertu żab, stawiał fotel blisko panny Dulpy. Stanowczo za blisko. Ktoś go widział, gdy rankiem spacerował pod jej oknami.

Zofia dobrze wiedziała, co się święci. Kobiety w takich przypadkach się nie myślą. Panna Dominique natomiast zachowywała się wstrzemięźliwie, a uprzejmości Kazimierza przyjmowała z coraz bardziej zażenowanym uśmiechem.

– Cukru trzeba dosypać do malin – wyrwała panią Zofię z zamyślenia Marcelinka. – Sfermentują.

Rzeczywiście. W słojach stojących na parapecie okna, w których maliny nastawiono na sok, zaczęła się pokazywać niebezpieczna pianka.

Zofia wstała od stołu i ze spiżarni znajdującej się za kuchnią wydała kucharce głowę cukru³.

³ głowa cukru – do początku XX w. cukier sprzedawano w postaci stożkowatych brył ważących około 2 kg.

– Podaj mi dziś czekoladę do gabinetu pana.

– Do gabinetu? – zdziwiła się Marcelina i znowu zaczęła chlipać. Nie, nic nie było jak zawsze już od paru dni.

Zofia poklepała ją pocieszająco po ręce i wyszła.

Aby dojść do gabinetu Kazimierza, przechodziło się przez jadalnię i salon. Pusto tu było dzisiaj i cicho. Dziewczynki, by nie patrzyły na to zgorzenie, Zofia wyszła do swojej siostry, która poszła za sędziego Dobraczewskiego i mieszkała w Pułtusku, a chłopcy na całe szczęście byli na praktykach. W salonie zielonozłoty blask wpadał przez okna, tańczył na błyszczących politurowanych meblach i odbijał się od czarnej powierzchni fortepianu. Nie chciała się tu zatrzymywać. Ciągłe brzmiały jej w uszach słowa ostatniej rozmowy z panną Dulpy.

Francuzka siedziała wtedy na otomanie, a Zofia na stojącym obok niej fotelu. Piły poranną kawę. Była jak zawsze doskonała: świeżo zmielona, pachnąca, ze śmietanką zapieczoną w piecu... Zofia pomyślała, że już chyba nigdy w życiu nie wypije kawy bez wspomnień o tej rozmowie. Teraz niemal przebiegła przez salon, jakby chciała od nich uciec, ale i tak, kiedy tylko zasiadła za biurkiem w gabinecie Kazimierza, ją dopadły.

– Muszę stąd wyjechać – powiedziała wtedy panna Dulpy. – Pani dobrze wie dlaczego.

– Tak będzie lepiej – zgodziła się Zofia, wdzięczna za taką decyzję.

Sama nie była w stanie przedsięwziąć żadnych kroków. Próbowала rozmawiać z Kazimierzem, ale wyparł się wszystkiego. Niemal obraził ją, traktując tak, jakby była niespełna rozumu.

– Znalazłam się w impasie – tłumaczyła panna Dominique z delikatnym drżeniem w głosie. – Mam ograniczone środki. Nie wiem, czy teraz, w trakcie wakacji, znajdę jakąś pracę. Jednak zostać tu nie mogę. Nikt nie zatrudni nauczycielki, która stała się bohaterką skandalu.

– Dam pani list z najlepszymi referencjami, skierowany do panny Mrozińskiej. Ona już panią zna i ma o pani jak najlepsze zdanie. Mam nadzieję, że pomoże w tej trudnej sytuacji. Oczywiście wypłacimy należność do końca wakacji – obiecała Zofia.

– Jeśli pan Lutomierski się zgodzi.

– Tak, jeśli się zgodzi. – Zofii dopiero teraz przyszło do głowy, że mógłby tego nie zrobić i piętrzyć trudności.

Po obiedzie, kiedy Kazimierz schował się w swoim gabinecie, by wypalić w spokoju fajkę, przyszła do niego.

– Panna Dulpy nas opuszcza – powiedziała cicho, niemal szeptem, bo bała się, że głos jej odmówi posłuszeństwa i załamię się kompromitująco. – Przez ciebie.

Teraz już niczemu nie zaprzeczał.

– Gdzie jedzie? – Był wzburzony.

Zofia nie wiedziała, czy nie potrafił zapanować nad swoimi uczuciami, czy postanowił przestać się z nimi kryć. Patrząc na męża, zdała sobie sprawę, że nie jest to jedna z wielu nic nieznaczących męskich przygód, o jakich szepcze się często po salonach. To sprawa, która może zagrozić trwałości jej małżeństwa.

– Dałam jej list polecający do panny Mrozińskiej, ale trzeba wypłacić pobory.

– Załatwię to – odpowiedział, wstając od biurka.

Zrozumiała, że chce, by go teraz zostawiła samego. Wyszła więc. Nie minęło pięć minut, kiedy i on opuścił gabinet. Rozliczył się z Francuzką i kazał zaprzęgnąć dla niej powóz. Musiał więc przechowywać gotówkę w gabinecie. Tylko gdzie? Sprawa była paląca. Jutro powinna zapłacić krawcowej, która od kilku tygodni szyła nowe sukienki dla dziewcząt i dla niej. Kobieta dobrze znała się na swoim fachu, więc była rozchwytywana przez okoliczne dwory. Do Lutomierzyc przyjeżdżała chętnie, bo wiedziała, że tu z zapłatą nie zwlekają, więc Zofia nie chciała jej zawieść. Tak trudno było dziś o dobrą szwaczkę.

Gorączkowo zaglądała pod obrazy, za oszkloną szafkę, w której Kazimierz trzymał dokumenty, obmacała biurko. Nigdzie śladu sejfu, skrytki.

I co z tego, że znajdę? – przyszło jej nagle do głowy. Przecież skrytka na pewno jest zamknięta, może nawet zabezpieczona szyfrem. Nie ma sensu szukać. Już lepiej przyjrzeć się księgom handlowym.

Zagłębiła się w nie zatem. Nawet ją zainteresowały. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła, ile sprzedają zboża i po jakiej cenie, ile trzeba zapłacić

za jego transport i jaki jest zysk na owocach. Całkiem pokaźny, choć sad zajmował niewielką część ich ziem.

Dlaczego więc nie zakładamy większego? – zastanawiała się ze zdziwieniem.

Rozdział 3

Takiej to dobrze, pomyślała Zośka o Zofii z drugiej strony lustra, zaglądając do kuchni.

Stwierdzić należy krótko i bez ogródek, że panował tu totalny bałagan, jak nazwano by ten stan w towarzystwie, do którego za sprawą Konstantego miała dostęp. Totalny, choć jego zasięg nie był ogólnoświatowy. Ograniczał się tylko do kuchni. No fakt, rozpełzał się trochę jeszcze w jej okolice. Zośka nie miała jednak siły sprzątać, a tu służba nie kręciła się po domu jak w Lutomerzycach. Próbowwała nie patrzeć w stronę tego rozgardiaszu, ale nie zaglądać do kuchni niestety się nie dało, była bowiem, zgodnie z najnowszą modą, połączona z jadalnią i salonem.

Po latach gnieźdzenia się w klitkach Polacy zapragnęli przestrzeni. Zośka co prawda wołała bardziej przytulne pomieszczenia, ale Kostek zawyrokował, że tylko takie świetliste, duże, nowocześnie urządzone mieszkanie odpowiada ich statusowi. Pań sprzątających nie lubił, bo cenił sobie prywatność i myślał, że jakieś obce ręce będą dotykać talerzy, z których je, ubrań, które nosi, i łóżka, w którym śpi, wydawała mu się odstręczająca. Uzbroidł więc Zośkę w całe mnóstwo cudownych gadżetów, tak by – przynajmniej jego zdaniem – wszystkie domowe czynności polegały na wciskaniu guziczków. Choćby jednak nie wiadomo jak długo je wciskała, to naczynia same nie chciały powkładać się do zmywarki, podłoga się nie wymyła, a blaty szafek nie lśniły od czystości. Nawet thermomix nie chciał tak zupełnie sam gotować.

„Jakby pani obiad chciała zadysponować” – przypomniała sobie Zośka słowa służącej Zofii i głęboko westchnęła z zazdrości. Prawdę mówiąc, ten bałagan nie przeszkadzał jej tak bardzo, ale naczytała się w mądrych poradnikach, że porządek we własnej psychice najlepiej zacząć od wysprzątania mieszkania. Bo ład na zewnątrz udziela się wewnątrz człowieka. Może i była w tym jakaś logika, ale doprawdy, żądać od załamanej kobiety, żeby wzięła się za robotę, której nie lubi, jest okrucieństwem!

Jej kuchnia. Beż, biel, szarość i czarne akcenty. Forma ascetyczna, ale spokojna i elegancka. W takim wnętrzu trudno płakać, w nim trzeba stać na baczność. A czasem się nie da. Jak wczoraj.

Wszystko zaczęło się od telefonu koleżanki z pracy.

– Może jakaś przedpołudniowa kawka? Wróciłam właśnie z Londynu. Już odespałam ten horror.

Bożenka Strachula w wakacje jeździła co roku jako wychowawczyni na obozy językowe z młodzieżą. Tylko potężne braki finansowe mogły człowieka skłonić do podjęcia się pracy, w której przez dwadzieścia cztery godziny na dobę odpowiada się głową za życie i bezpieczeństwo hordy dzieciaków wyrwanych nagle spod rodzicielskiej opieki. Bożenka takie braki miała. Jej mąż pracował w tej samej instytucji co Konstanty, ale był tylko ochroniarzem.

Ta propozycja trochę zdziwiła Zośkę, bo choć dobrze im się współpracowało, prywatnie nigdy się nie spotykały. Poruszały się po rozbieżnych kręgach towarzyskich. Ale czemu nie? Były wakacje, a Kostek jak zwykle siedział w pracy.

– To może u mnie? – Zośce nie chciało się nigdzie wychodzić.

– Może tak będzie lepiej – odpowiedziała Bożenka nietypowo, bez zwyczajowego krygowania się.

Bożenka była niewysoka, szczuplutka, gadatliwa i roztrzepana, ale na jej poczciwość i dobre serce jednak zawsze można było liczyć. Weszła i Zośka od razu zauważyła, że jest strasznie zakłopotana.

– Masz problemy? – Wydawało jej się, że odgadła, bo w ciemnych oczach Bożenki pojawiły się łzy.

– Nie wiem, jak ci mam powiedzieć...

– Prosto z mostu i szczerze – próbowała ją ośmielić. Podejrzewała, że chodzi o pożyczkę. To rzeczywiście kłopotliwe.

– Wiesz, że nasi mężowie pracują razem. To znaczy, chciałam powiedzieć, że w jednej instytucji.

O, kurczę! To mogło być gorsze niż prośba o pożyczkę. Jeśli Bożenka chciała przez nią załatwić awans dla swojego męża, to trafiła fatalnie. Kostek wściekłby się na Zośkę, gdyby próbowała wtrącać się do jego pracy.

– Mariusz jest tylko ochroniarzem, większość czasu spędza, stercząc koło recepcji, ale dzięki temu widzi, co dzieje się w firmie. – Zamilkła, a w jej oczach pojawiła się niema prośba: no, pomóż mi, domyśl się czegoś.

Zośka próbowała. Czyjaś nielojalność? Kopanie dołków pod Konstanytem? Kto? Co?

– A co się dzieje w firmie? – nie wytrzymała w końcu.

– W księgowości zatrudnili nową dziewczynę... Afrodyta, mówię ci!

– Jaką Afrodytę? – Zośka niczego jeszcze nie rozumiała, ale już drobny niepokój zakradł się jej do serca.

– Znaczy taka piękna!

– Mariusz tak mówi?

– Sama widziałam. Poszłam ją obejrzeć.

– Twój mąż stracił głowę dla młodej laski? – Zośka już nie dziwiła się łzom Bożenki. Była tylko zaskoczona faktem, że jej niezwykle emocjonalna koleżanka mimo płaczu dosyć spokojnie o tym mówi.

– Nie mój.

– Nie twój? – powtórzyła Zośka, a straszliwe podejrzenie nagle eksplodowało w jej głowie. – Mój?

Bożenka pokiwała tylko twierdząco głową i rozryczała się na całego.

Wtedy to Zośka bez wahania sięgnęła do barku po martella. Nalała koniaku do kieliszków i postawiła na stole oddzielającym część kuchenną od reszty pomieszczenia. Słońce barbarzyńsko grzało przez sięgające niemal do podłogi okno, więc zaciągnęła żaluzje i podkręciła klimatyzację. Nastawiła ekspres na następną kawę, wyciągnęła z lodówki czereśnie i chciała je umyć, ale jakoś opadła z sił nad zlewozmywakiem.

– Pracował ostatnio dużo, późno wracał do domu, był zmęczony. Ale przecież nieraz już tak bywało. Mówił, że przez urlop. Musi zdążyć ze wszystkim przed wyjazdem. – Odwróciła się nagle od zlewu. – To nie są tylko paskudne biurowe plotki?

Zapomniała o czereśniach. Usiadła ciężko na krześle naprzeciw koleżanki i wpatrzyła się w nią z irracjonalną nadzieją, że to tylko głupi dowcip. Ale nie, Bożenka nigdy nie żartowałaby w ten sposób.

– To trwa już jakiś czas. – Koleżanka westchnęła z wysiłkiem. – Zamierzałam umówić się z tobą gdzieś na mieście już podczas zakończenia roku szkolnego, ale nie miałam odwagi. Zresztą wiesz, jak wygląda nasza praca. Przed wakacjami jest tyle spraw, potem rady. Sama mówiłaś kiedyś, że nauczycieli powinien obowiązywać celibat, bo nie sposób połączyć tej pracy z prywatnym życiem.

– No, wiem.

– Ta dziewczyna nazywa się Agnieszka Grabarczyk i wygląda jak Wenus na obrazie Botticellego. – Bożenka była plastykiem w ich szkole i często używała takich porównań.

– Jak wyglądała Wenus na obrazie Botticellego?

– Cera krew z mlekiem, duże ciemnoniebieskie oczy, burza jasnych włosów i ta figura! A poza tym pewnie ma najwyżej dwadzieścia parę lat!

Te dwadzieścia parę lat przyłoczyło obydwie. Były mniej więcej równolatkami. Czterdziestka skończona nie tak dawno temu, ale jednak czterdziestka.

– A mnie się wydawało, że Konstanty jest monogamistą. Że założył rodzinę głównie po to, by móc spokojnie zajmować się pracą. Wszystko było temu podporządkowane. Myślałam, że nie interesują go inne kobiety. Że w ogóle niewiele poza pracą go interesuje.

Zośka dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaka była głupia. W jej stosunku do męża kryło się coś lekceważącego. Czuła się zbyt pewna siebie.

– Ona jest podobno z tych, co to uważają, że mogą mieć każdego faceta. Mariusz mówi, że od początku kręciła się koło twojego męża. Jakies sprawozdanie dostarczyć? To panna Agnieszka osobiście, bo któreś kwestie wymagały omówienia i akceptacji szefa. Na lunch? Niby przypadkiem w tej samej restauracji i trzeba się przysiąc, bo nigdzie indziej nie ma wolnych miejsc. Z pracy? Zawsze można się spotkać w windzie. Dał się na to złapać.

– Bożenka upiła łyk koniaku. – Mmm, dobre...

– Dał się złapać – powtórzyła Zośka. W głowie miała kompletną pustkę.

– Gdyby to był tylko przelotny biurowy romans, pewnie bym milczała. Ostatecznie zdarzają się takie rzeczy i czasem nie mają konsekwencji. Ale ona coraz głośniejsz powtarza, że będzie panią dyrektorem. Ludzie zaczęli prosić ją o poparcie. Zabiegać o jej względy.

Ta informacja ubodła Zośkę do żywego. Będzie panią dyrektorem? Niedoczekanie! Jak on mógł?

– Konstanty nie lubi, gdy ktoś mu się wtrąca w sprawy związane z pracą – powiedziała, choć teraz wydawało się to najmniej istotne. O tych ważniejszych kwestiach nie miała sił mówić.

Drobnymi łykami popijała na zmianę kawę i koniaczek. Czuła, jak opuszcza ją zwykła życiowa dzielność, jak trzeszczy w szwach jej świat, a ona, zupełnie zdezorientowana, nie ma pojęcia, co robić. Ten świat zamienił się nagle w czarną dziurę, która koniecznie chciała ją wessać.

– Nie możesz się poddawać – dobiegł ją jeszcze głos Bożenki. – Boże, tylko mi tu nie mdlej!

Głowa zrobiła się zbyt ciężka, by Zośka mogła ją utrzymać, więc położyła ją na rozłożonych na stole przedramionach. Tak było lepiej.

– Powiedziałam ci o tym, żebyś walczyła. Zrób coś!

– Ale co?

Chociaż od tej rozmowy minęła już zupełnie bezsenna noc i poranek, to w głowie Zosi tłukły się wciąż nakaz: „zrób coś” i pytanie: „ale co?”.

Została w domu sama. Kostek wyjechał na parę dni do Lizbony prowadzić negocjacje z kilkoma jeszcze ważniejszymi dyrektorami. Czy naprawdę? Czy panna Agnieszka pojechała tam z nim? Córka Agata szlifowała język na obozie. Pewnie dobrze się bawiła, bo rzadko dzwoniła do domu. I tylko Bożenka, koleżanka z pracy, z którą Zośka nigdy nie miała serdeczniejszych kontaktów, dzwoniła do niej dosłownie co chwilę, by sprawdzić, jak się miewa.

– Musisz zachować spokój i klasę – radziła jej. – Pierwsza sprawa to rzeczowa rozmowa. Jesteś mądrą kobietą. Wybadaj, co z twojego małżeństwa da się uratować. Może sprawa nie jest tak poważna, jak się wydaje. Zrób elegancką kolację na powitanie, sama wyglądaj bosko. Wiesz, fryzjer, kosmetyczka i te sprawy.

Łatwo jej było mówić! Od ich rozmowy Zośka miała tylko tyle energii, by przenieść się z kanapy na fotel albo z powrotem i trzęsącymi się rękami robić sobie herbatę czy kawę. Bałagan w kuchni powstał jakoś tak samoczynnie. Iść do kosmetyczki? Zośka powlekła się do sypialni, by w lustrze toaletki obejrzeć, jakie spustoszenia na jej twarzy zrobił brak snu i psychiczna załamka. Popatrzyła na nią stara baba z podpuchniętymi od płaczu oczyma.

– I co tu pomoże kosmetyczka? – zapytała samą siebie, ale sięgnęła po telefon, by umówić wizytę.

Rozdział 4

Konstanty Przywara, dyrektor do spraw kontaktów z zagranicą w znanej firmie, której nazwy nie będę tu wymieniać, bo nikt nie zapłacił mi za reklamę, wracał do domu z mieszanymi uczuciami. Zwykle lubił tam wracać, bo mógł wreszcie zdjąć garnitur, założyć kaptcie i nieuważnie posłuchać gadania Zośki, która miała swoje drobne problemy w szkole i śmiesznie się nimi przejmowała. Gdyby ktoś zapytał go, jakie to były trudności, nie potrafiłby odpowiedzieć, bo szczerze mówiąc, opanował do mistrzostwa sztukę słuchania jednym uchem, a wypuszczania drugim rzeczy nieistotnych. Ta paplanina jednak była nieagresywna, a jeśli Zośka zadała mu jakieś pytanie, nie oczekiwała odpowiedzi, tylko sama jej natychmiast udzielała. A przy okazji podsuwała pod nos dobre jedzonko. Zresztą to przyjemne, kiedy wchodzisz do domu, a tam ktoś czeka i na dodatek się cieszy.

Dziś jednak Konstanty czuł się niezręcznie. Stał bowiem przy taśmie podającej bagaże podróżnym na warszawskim Okęciu, choć sam walizki nie miał. Miała za to Agnieszka. Nie do wiary, ile rzeczy kobieta potrzebuje w podróży, choćby tak krótkiej jak ich wypad do Lizbony. Zostali tam nieco dłużej niż reszta delegacji, by wreszcie zniknąć sprzed wszystkowidzących oczu w biurze. Chcieli poczuć się swobodnie, spacerować, trzymając się za ręce, i chodzić razem na kolacje i śniadania.

Było cudownie. Bez żadnego ciągnięcia go po muzeach, czytania w łóżku przewodników i zastanawiania się, gdzie jutro pójdziemy, jak to robiła Zośka, obłożywszy się tomami. Czasem budził się w nocy, bo go coś uwierało. Książka oczywiście, której jego żona nie zdążyła odłożyć. Zasypiała przy czytaniu. Aż trafiła się Agnieszka i przypomniała mu, do czego służy łóżko.

Zerknął na nią. Stała tuż obok i z napięciem patrzyła na przesuwane się na taśmie bagaże. Jej z kolei przyglądali się wszyscy mężczyźni znajdujący się w hali bagażowej. Objął swoje cudo w pasie. Niech wiedzą, do kogo należy.

Odwiózł ją do domu. Kiedy wysiadła z samochodu, poczuł ulgę, że nie zaprosiła go do siebie. Było gorąco. Nowe, eleganckie buty trochę go cisnęły, a poza tym czuł, że spocily mu się stopy. Żenada! Zbyt często to się zdarzało! Dezodoranty, pudry działały, ale nie w tej temperaturze. Z ulgą

myślał, że w domu zdejmie wreszcie przepocone skarpetki i całą resztę, a potem wejdzie pod prysznic. Później zaś walnie się na swoje superwygodne łóżko w sypialni, żeby odespać ostatnie szalone noce. Zośka, jak to ona, zasunie mu rolety w pokoju i przyniesie coś do picia. Dobra z niej kobieta. Och, gdyby tak mógł mieć dwie żony! Jedną codzienną, domową, tą na pewno byłaby Zośka, a drugą na specjalne okazje. Agnieszka nadawałaby się znakomicie! Ale wiedział, że to tylko głupie marzenia. Tak naprawdę nie miał ochoty zamieniać swojego życia na inne. Codziennosc z młodszą o prawie dwadzieścia lat kobietą mogła wymagać wysiłku. Romans z Agnieszką należałoby zatem zakończyć. Albo przynajmniej głęboko ukryć.

Kiedy wszedł do domu, od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku. Zośka nie podeszła do niego i nie cmoknęła go po przyjacielsku w policzek tak jak zwykle, tylko stanęła oparta o framugę drzwi do sypialni w dziwnej pozycji.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała, ale on zwrócił uwagę na nakryty elegancko stół.

– Spodziewamy się kogoś? Zmęczony jestem.

– Nie, to dla ciebie, na powitanie. Zjemy, porozmawiamy.

Propozycja porozmawiania zdecydowanie mu się nie spodobała.

– Zmęczony jestem – powtórzył w nadziei, że na „zjemy” się skończy. Choć nawet na to nie miał ochoty. Padał ze zmęczenia. Agnieszka z jej temperamentem wyczerpała go całkowicie.

– Ale my musimy porozmawiać! – Żona powiedziała to takim tonem, że przyjrzał jej się z pewnym zaniepokojeniem. Wystroiła się, zauważył.

– Pięknie wyglądasz. – To zawsze dobrze robiło na zażegnanie konfliktu. A ten wisiał w powietrzu, nawet zmęczony to czuł.

– Ale są piękniejsze, prawda?

– Zazdrosna? – Ponoć najlepszą obroną jest atak. Może zagrywka nie była zbyt finezyjna, lecz w tej chwili nie stać go było na nic lepszego.

– A mam powód?

– Zosieńko, ostatnie dni miałem takie wyczerpujące... – Próbował wziąć ją na współczucie. To też zawsze działało. Nawet nie skłamał.

– Pytam, czy mam powód!?! – Lekko podniosła głos.

– Ależ skąd! – Nawet sam sobie wydał się niewiarygodny.

– Kłamiesz!!

Odwróciła się, podeszła do barku i próbowała nalać sobie koniaku. Dopiero teraz zorientował się, jak bardzo jest zdenerwowana. Ręce jej się trzęsły i butelka raz po raz dzwoniła o kieliszek.

– Daj. – Nalał jej, a przy okazji sobie. – Ktoś ci naopowiadał głupich plotek. Kto? – Szedł w zaparte, a poza tym chciał tak pokierować rozmową, żeby to ona musiała się tłumaczyć. Szkolenia z miękkich umiejętności wreszcie się do czegoś przydawały.

Usiadła przy tym pięknie nakrytym stole, oparła się na nim łokciami i schowała twarz w dłoniach.

– Nie opieraj się o stół łokciami. Tyle razy mi to mówiłaś – spróbował przedrzeźniać ją żartobliwie.

Podniosła głowę. Popatrzyła na niego tak, że poczucie winy wróciło ze zdwojoną siłą. Oczy miała pełne łez, a usta zaciśnięte. Widział, że wkurzył ją tymi unikami.

– Kim jest Agnieszka Grabarczyk?! – Już krzyczała.

– Mówię ci, że ktoś ci naopowiadał głupich plotek.

– Więc jej nie znasz?

– Tyle ludzi u nas pracuje, niektórzy z nich są nawet kobietami. – Znowu próbował żartować. Ledwie jednak to powiedział, zorientował się, że popełnił błąd.

– Ja jeszcze nie powiedziałam, że chodzi o kogoś z twojego biura! Ale ty to już wiesz! Bo kłamiesz!! Od początku kłamiesz!! Dlaczego kłamiesz?!

Milczał, bo nie potrafił szybko wymyślić stosownej riposty. Durne potknięcie, ale jakie trudne do naprawienia.

– A ja głupia myślałam, że mam uczciwego i szlachetnego męża. Że nasze małżeństwo jest dobre, że jesteśmy ze sobą w miarę szczęśliwi, że kocha...

– Ale to prawda! – Tak, naprawdę tak myślał.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

– Co? – Jeszcze raz próbował zmusić ją do tłumaczenia się, choć czuł, że robi z siebie idiotę.

I wtedy się zaczęło! Najpierw jego łagodna zazwyczaj żona z wprawą cisnęła w niego kieliszkiem. Ledwie zdążył się uchylić, a potem zaczęła krzyczeć:

– Jesteś dupkiem! Cholernym dupkiem! Uważasz, że po tylu latach nie należy mi się uczciwa odpowiedź na pytanie? Myślisz, że jestem głupia

i nie poznam się na twoich durnych gierkach? Że możesz mnie zwodzić i oszukiwać? A to, co powiesz, jest święte, a ja mam obowiązek wierzyć, choć ty nawet nie postarałeś się o wiarygodne kłamstwo? Myślisz, że ci wolno i nie musisz się tłumaczyć? Jak szczeniak idziesz w zaparte, choć łapią cię niemal na gorącym uczynku! Myślisz, że nie wiem? Wiem! Wiem, że reszta delegacji wróciła już trzy dni temu, a ty z tą lafiryndą, z tą dziwką zostałeś dłużej! By dokończyć negocjacje? Klituś-bajduś! Wiem! Wszystko wiem! – Miotła się między kuchnią a jadalnią. Wrzeszczała. Całe szczęście nie rzucała już niczym. Wreszcie stanęła przed nim. – I co mi powiesz?!

Milczał.

– No, co mi powiesz?!!

– Co mam ci powiedzieć, kiedy już wiesz? – mruknął wreszcie zrezygnowany.

Zdyszana po swoim wybuchu stała jeszcze przed nim chwilę, jakby czekała na coś, ale nie miał pojęcia, co teraz powinien powiedzieć czy co zrobić.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Gorączkowo myślał. Widocznie za długo, bo odwróciła się do sypialni i przyniosła z niej jego poduszkę i koc.

– Koniec z nami! – powiedziała i rzuciła mu pościel na kanapę.

Począł, aż przestanie się kręcić po mieszkaniu i zniknie w pokoju. Wreszcie zdjął przepocone skarpetki i poszedł do łazienki. Prysznic dobrze mu zrobił. Położył się na kanapie, ale nie mógł zasnąć. Tak, był dupkiem, skoro w idiotyczny sposób skomplikował sobie życie. Ale to stało się tak nagle.

Przypomniał sobie, kiedy zobaczył Agnieszkę pierwszy raz. Weszła do jego gabinetu z plikiem papierzysk do podpisania, stanęła w progu jakby zaskoczona i wpatrzyła się w niego.

– Ubrudziłem się czymś? – zapytał wtedy.

– Nie wiedziałam, że będę pracować z tak przystojnym szefem – odpowiedziała.

Gdyby powiedziała jeszcze cokolwiek, doszedłby do wniosku, że chce go poderwać, ale nie. Rozłożyła przed nim dokumenty i dalej omawiali tylko sprawy służbowe. Pełen profesjonalizm, rzeczowość, ani jednego bardziej osobistego gestu, uśmiechu, słowa. Nic. Potem przez parę dni też nic, aż

zaczął się jej przyglądać. Musiała mieć podobne gusty kulinarne, bo natykał się na nią podczas lunchu w swojej ulubionej knajpce. Tam jednak też nie zamienili słowa. Czasem przyłapała go na spoglądaniu w jej stronę. Kiwali sobie wówczas w pozdrowieniu głowami. I nic więcej. Nawet mu się trochę przykro zrobiło z powodu tej obojętności, bo trzeba przyznać, że była ucieleśnieniem męskich marzeń.

Tak działo się gdzieś do początku maja. Dzień był bardzo ciepły. Wręcz upał. Coraz częściej zdarzało się, że ciągnące się przez marzec i kwiecień przedwiosenne szarugi nagle zamieniały się w upalne dni. Konstanty przejmował się doniesieniami na temat niebezpiecznych zmian klimatu i zastanawiał nad reorganizacją pracy w firmie, by była mniej szkodliwa dla środowiska. Myślał o tym i jadł coś, kiedy podeszła do niego Agnieszka.

– Och, jaki tłok dzisiaj. Mogę się dosiąść?

– Ależ oczywiście. – Wstał, by odsunąć jej krzesło. Zośka tak go wytresowała. Widział, że tym prostym gestem zapunktował.

– Gorąco dziś.

Zanim usiadła, zdjęła żakiet. Pod spodem była ubrana w jasną, cienką sukienkę, która miękko przylegała do ciała. Zerknął na nią i już nie mógł oderwać oczu. Biustonosz chyba miała pod spodem, ale mimo to wyraźnie dostrzegł nabrzmiałe sutki. Na rozkosznej linii bioder odciskały się skąpe majteczki. Wieszając marynarkę na oparciu krzesła, przez moment odwróciła się do niego tyłem. Materiał sukienki raczej podkreślał, niż ukrywał kształt krągłych pośladków. Pan w jego spodniach nabrał takiego wigoru, że Konstantemu przypomniało się, że przy jedzeniu można rozłożyć sobie na kolanach serwetkę. Musiał zakryć demaskujące wybrzuszenie.

Rozmawiali. Kostek już nie pamiętał o czym. Widoczne przez materiał sutki kompletnie go rozkojarzały.

Od tego dnia czekał, by znowu weszła do jego gabinetu z plikiem papierzysk. Zdarzało się to, ale zbyt rzadko. Wzywał więc ją do siebie pod lada pretekstem, a potem, kiedy już wyszła, siedział i napawał się wonią jej perfum.

Tak, zawróciła mu z lekka w głowie. Był to jednak niewinny rausz aż do dnia, kiedy został jak zwykle dłużej w pracy, a wychodząc, zauważył, że pracuje w swoim pokoju. W jego firmie odeszli od pracy w *open space*. Wielkie, otwarte przestrzenie, które może i sprzyjają kreatywności,

utrudniały koncentrację. A ta w dziale Konstantego była najważniejsza. Agnieszka siedziała pochylona nad komputerem.

– Może już czas do domu? – zagadnął, mając nadzieję choćby na krótką kawę.

– Nikt tam na mnie nie czeka.

– Jak to możliwe? – Naprawdę zdziwił się, nie tylko kurtuazyjnie.

Popatrzyła na niego tak intensywnie, że poczuł się poruszony. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że ma przepiękne oczy. Ciemnoniebieskie, niemal granatowe, błyszczące. Spuściła je, jakby chciała, by podziwiał też jej niewiarygodnie długie rzęsy.

– Czasem bywa, że podoba nam się ktoś nieosiągalny, a innego się nie chce – powiedziała, a jej dłoń dotknęła jego ręki, którą oparł na biurku.

– Jest ktoś, kto jest dla pani nieosiągalny? – odezwał się i zaraz tego pożałował. W jego głosie aż nadto wyraźnie słychać było pożądanie.

Wstała. Znaleźli się teraz tak blisko, że czuł ciepło jej ciała. Wiedział. Najmniejszy gest, a potem przestanie kontrolować sytuację. Wyjdź stąd! – krzyczała w nim przyzwoitsza część jego umysłu. Nie zdążył. Położyła dłoń na jego ramieniu i pocałowała go. Delikatnie. A potem on ją. Już mniej delikatnie. A potem stało się to, czego tak pragnął i czego się obawiał.

Wspomnienie tamtego wieczoru nie pozwalało Kostkowi spokojnie leżeć na kanapie. Jednocześnie nieludzko podniecało i wzbudzało ciężkie wyrzuty sumienia. Wstał, by napić się wody. Zośka też nie spała, bo w sypialni paliło się światło. Przez uchylone drzwi zobaczył, że żona siedzi przed toaletką i mamrocze coś do siebie.

Rozdział 5

– Niepotrzebnie powiedziałam o liście polecającym dla panny Dulpy skierowanym do przełożonej pensji moich córek. Teraz wie, gdzie jej szukać – zwierzała się Zofia siedzącej po drugiej stronie lustra Zośce. – Wyjechał zaraz. Nie krępował się niczym. Nie pomyślał, że zostawia mnie samą w takiej chwili.

– W jakiej chwili? Chyba nie ma dobrego czasu na zdradę.

– Masz rację. Ale tu żniwa za pasem. Nie mam pojęcia, jak sobie dam radę. Już jutro powinnam zapłacić szwaczce za pracę, a nie mam pieniędzy. Nie wiem, co zrobić. Spać przez to nie mogę. Zdaję sobie sprawę, że to prozaiczne i nie przystoi kobiecie, ale kłopoty materialne tak bardzo mnie gnębią, że przesłaniają zdradę Kazimierza. Wydaje mi się, że jego nielojalność, brak troski o rodzinę, dom i majątek bardziej mnie bolą niż to, że oszalał na punkcie tej kobiety.

Zośka pomyślała, że w jej czasach sytuacja finansowa porzucanych kobiet nie była zwykle aż tak dramatyczna, ale ciągle jeszcze coś było na rzeczy. Ona zawsze będzie mogła kupić sobie kieckę za własne pieniądze, ale utrzymanie z nauczycielskiej pensji pięknego mieszkania w dobrej lokalizacji w Warszawie nie było możliwe. Też znajdzie się w kłopotliwej sytuacji.

– Na pewno masz jakieś kosztowności, srebra. Możesz coś sprzedać.

– Faktycznie! Tak zrobię. Nigdy niczego nie sprzedawałam, ale gdy tylko noc minie, wezwę Szmula. Powinien mi pomóc. Na bieżące wydatki może wystarczy.

Gdzieś w dalszych pokojach dworu w Lutomierzycach trzasnęło niedomknięte okno. Na dworze zerwał się wiatr. Ostatnie dni były upalne i teraz nadciągała burza.

– Przeciąg się zrobił. Muszę podomykać okna.

Zofia podkręciła knot w lampie dla większej jasności i obesła cały dom, sprawdzając, czy wszystko jest należycie zabezpieczone. Nie chciała budzić służby. Wyszła na ganek. Od strony wsi usłyszała jazgoczące psy. Widocznie tam też nie spali.

– Nie daj Boże jakiegoś nieszczęścia – westchnęła na głos, wróciła do domu i zapaliła gromnicę. To chronić miało od uderzenia pioruna, a noc

zapowiadała się niespokojnie. Szeptwała więc słowa modlitwy, ale ciągle myślała o Kazimierzu.

Naraz przypomniał jej się pewien wieczór. Wtedy też zbierało się na burzę i też postawiła w oknie zapaloną gromnicę. Dzieci jeszcze nie spały i siedli razem w salonie. Dziewczynki piszczały przy każdym, jeszcze dalekim grzmocie. Kazimierz opowiedział im wtedy piękną legendę o Matce Boskiej i wilku.

– To było w lutową noc – mówił. – Za Najświętszą Panią skradał się wilk. Szukał u niej ochrony. Kiedy zbliżyli się do nich chłopcy, chcąc go zabić, zwierzę schowało się pod jej błękitnym płaszczem. „Czy widziałas, Panno Święta, wilka?”, spytali Pannę Marię wieśniacy. „Chcemy go zabić!”. Maryja obruszyła się na te słowa: „Wilka szukajcie w swoich sercach. Tam się czai, do złego was skłania”. Chłopcy nic na to nie odpowiedzieli, bo każdy z nich czuł, że ma wiele grzechów na sumieniu, ukłonili się i odeszli. Uratowany zwierzę chciał podziękować Pani, ale i on usłyszał parę słów prawdy. Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi: i ludzie, i wilcy, każdy zatem powinien się starać żyć bez grzechu. Tego nas naucza Matka Boska Gromniczna, a my ją czcimy jako tę, która dała ludziom światłość.

Tak mówił Kazimierz, a teraz co? Sam poszedł drogą grzechu. I nie pomogło, że ona po lutowej mszy⁴, na której ksiądz poświęcił świece, przyniosła do domu zapaloną gromnicę i rozpałała od niej nowy domowy ogień. Miało to zapewnić spokój i miłość w rodzinie. Może za mało się modliła? W swoich codziennych obowiązkach zapominała często o Bogu. Poczuli się winni, więc z tym większą żarliwością zaczęła odmawiać litanie:

⁴ Święto Ofiarowania Pana Jezusa, czyli dzień Matki Boskiej Gromnicznej, obchodzi się w Kościele 2 lutego już od IV w. To jedno z najstarszych świąt.

– Od grzechu każdego, od każdej szkody, od gniewu Twego, od terażniejszej burzy, od szkodzącej ulewy, od szkodliwego gradu, od groźnych wichrów, od licznych błyskawic, od ogłuszającego grzmotu, od uderzenia pioruna, od pożaru, od porażenia piorunem, od nagłej i niespodziewanej śmierci – wybaw nas, Panie!

Burza rozszalała się na dobre, a Zofia, oczyszczona modlitwą, pomyślała, że wszystko daruje mężowi, że z pokorą zniesie swój los. Kiedy wróci, nie

będzie o niczym przypominała ani robiła wymówek. Niech będzie jak dawniej, a ona swoje cierpienie ofiaruje Bogu.

Gdzie ten Kazimierz jest? Co robi? – zastanawiała się.

*

Tymczasem pan Lutomierski zatrzymał się w Warszawie w Hotelu Europejskim. Zajechał tam wieczorem, a rano zszedł do restauracji na śniadanie. Musiał zastanowić się, jak porozmawiać z Dominique na osobności.

Dominique, jakież to piękne imię! – rozmarzył się. Niezwykłe.

Proza codzienności już od dawna mu doskwierała. Czy to jest życie? Codzienna szarpanina z chłopami, durne utarczki z ekonomem, smród obory, wieczory spędzane nad długimi kolumnami cyfr w księgach handlowych, szwargot Żydów, z którymi musiał robić interesy... Ach, jak to go mierziło! Usychał z tęsknoty za pięknem, finezją, miłością. Zamykał się w swoim gabinecie, czytał i marzył, że on też jeszcze kiedyś spotka swoją Lotte, tak jak Goethowski Werter. Ach, kochać! Wznieść się nad szarość zwykłego życia! Przeżyć coś tak gwałtownego, co spopieliłoby ten nienawistny smrodek zwykłości, choćby i on przy tej okazji miał spłonąć! Te marzenia przepęniały duszę Kazimierza bolesną tęsknotą.

W jego życiu większość spraw ułożyła się nie tak. Kiedy brał ślub z Zofią, wszyscy mu zazdrościli, że trafił na piękną i posażną pannę. On jednak szybko się rozczarował. Jego żona była taka prozaiczna. Tylko dzieci, smażenie konfitur, domowe obowiązki. To może i ważne, ale on potrzebował zachwyty, nawet odrobiny szaleństwa, a nie nudnej małżonki!

Kupił fortepian. Szanujący się, kulturalny dom nie mógł się przecież bez niego obejść. Zofia nigdy na nim nie grała, a dziewczynki? Aż wzdrygnął się, kiedy przypomniał sobie niekończące się palcówki wygrywane przez nie fałszywie, z wiecznymi potknięciami.

Aż pewnego dnia... Nigdy nie zapomni tego popołudnia. Wszedł do domu zmęczony i zakurzony po codziennej pracy i usłyszał swój ulubiony nokturn Chopina grany z taką elegancją, precyzją, uczuciem, że stanął w sieni i słuchał, bojąc się poruszyć, by nie spłoszyć tego piękna. Gdy gra ucichła, zajrzał do salonu. Dominique siedziała przy fortepianie i przeglądała nuty. Jej włosy prześwietlone wpadającym przez okno słońcem błyszcząły jak platyna. Wybrała coś, rozłożyła nuty na pulpicie

i wzięła pierwszy akord. Miała białą, wąską dłoń o długich, smukłych palcach. Zachwycił go jej kształt. A potem widać usłyszała, że wszedł, bo przerwała grę, odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Mickiewicz nie zdołałby opisać uroku tego uśmiechu.

– Śniadanie dla pana. – Kelner wyrwał go z zamyślenia, stawiając przed nim piramidkę blinów, miseczkę z kawiozem i porcję szparagów pokrytych sosem holenderskim. – Pan życzy sobie gazetę?

Życzył sobie. Przyniesiono mu „Kurier Warszawski”, dziennik dla zamożniejszego czytelnika. Kazimierzowi bardzo odpowiadała linia tego pisma, ale dziś nie miał ochoty na lekturę. Po śniadaniu rozsiadł się jednak na fotelu, bo chciał się zastanowić, co teraz ma zrobić. Rozłożył dla niepoznaki gazetę. Zmusił się do czytania, ale ręce mu drżały z emocji, drgała więc i ona. Musiał złożyć ją nieco, by jego zdenerwowanie nie rzucało się w oczy, ale wtedy trudniej mu było ukryć się za płachtą. Przebiegł wzrokiem tytuły niektórych artykułów.

– Że też w tym kraju nie może zapanować spokój – mruknął do siebie pod nosem dawnym zwyczajem.

Gazeta pełna była doniesień z procesu Ludwika Jaroszyńskiego⁵, który kilka dni temu strzelał, na całe szczęście nieskutecznie, do księcia Konstantego, świeżo mianowanego namiestnika Królestwa Polskiego, brata miłościwie panującego cara Aleksandra II.

⁵ Za ten czyn Ludwik Jaroszyński został skazany na śmierć. Stracono go w Cytadeli Warszawskiej 21 sierpnia 1862 r.

– I to kto! Czeladnik krawiecki! Żeby ktoś tak nędznej kondycji śmiał podnieść rękę na najjaśniejszego pana, to już pojęcie ludzkie przechodzi! – sapnął znowu.

– Pan sobie jeszcze czegoś życzy? – Kelner natychmiast zareagował na jego mamrotanie.

– Kawę poproszę.

A co mnie to w zasadzie obchodzi, myślał, czytając następny artykuł, który donosił o aresztowaniu Jarosława Dąbrowskiego. O tym nazwisku mówiło się na zebraniach okolicznych ziemian. To był niebezpieczny ptaszek, dążył do wywołania rewolucji, a ziemiaństwo zdecydowanie sprzeciwiało się takim awanturom.

Pan Kazimierz do niedawna zgadzał się całkowicie z polityką prowadzoną przez hrabiego Wielopolskiego. Reformy były konieczne, ale

przeprowadzane spokojnie, konsekwentnie i we współpracy z caratem. Zdaniem Kazimierza tylko tędy prowadziła droga do większej autonomii nieszczęśliwej ojczyzny. Teraz jednak polityka wydała mu się mdła i nudna. Złożył gazetę i wyszedł z hotelu, bo zbliżała się godzina spotkania.

Prywatna szkoła żeńska panny Mrozińskiej mieściła się przy ulicy Brackiej w dwukondygnacyjnej kamienicy pod numerem osiemnaście. Minął wystawy sklepowe zajmujące cały parter i wszedł w bramę. Z ulgą stwierdził, że nie dochodzą tu uliczne hałasy. Turkot kół po wybrukowanych ulicach, nieustanne nawoływania gazeciarzy, gwar tłumu przytłaczały człowieka przyzwyczajonego do wiejskiego, powolnego trybu życia.

Pensja zajmowała całe pierwsze piętro. Nacisnął dzwonek i starał się uspokoić rozszalałe z emocji serce. Już wczoraj wieczorem wysłał do panny Mrozińskiej wiadomość, że będzie wdzięczny za chwilę rozmowy. Przełożona zaprosiła go na dziś. Z tego wnioskował, że panna Dulpy nie zdradziła przyczyn nagłego wyjazdu z Lutomierzyc. Tylko czy naprawdę zastanie tu Dominique?

Władysława Mrozińska, matrona dostojna i przy tuszy, przyjęła go z widoczną rezerwą. Nie mogła odmówić tak cennemu klientowi, wszak aż dwie panny Lutomierskie miała pod swoją pieczę, a nie była to opieka najtańsza. Niemniej jednak zbliżający się pięćdziesiątki mężczyzna, który zabiegał o widzenie się z młodą i piękną dziewczyną, nie wzbudzał w niej zaufania. Pan Lutomierski uzasadniał co prawda konieczność spotkania z panną Dulpy nieuregulowanymi jeszcze sprawami finansowymi, co dla takiej dziewczyny jak ta Francuzka mogło mieć znaczenie, ale sytuacja w ocenie panny Mrozińskiej była odrobinę nieprzyzwoita.

Przywołała jednak pannę Dulpy do gabinetu, solennie sobie obiecując, że będzie miała na wszystko pilne baczenie. Zajęła więc swoje miejsce przy biurku i zabrała się za przeglądanie dokumentów, a pana Kazimierza zaprosiła do kawowego stoliczka, przy którym zwykle omawiała sprawy z co bardziej zaprzyjaźnionymi interesantami.

Widziała, że był zdenerwowany. Wstał, kiedy weszła panna Dominique, pocałował jej rękę na powitanie i podprowadził do fotela. Pannie Mrozińskiej to już wystarczyło. Dobrze potrafiła rozróżnić dobre wychowanie od czegoś więcej, a tu to czegoś więcej promieniowało aż nadto, przynajmniej ze strony pana Kazimierza, bo panna Dulpy robiła

wrażenie tak bardzo zakłopotanej, że trudno było to jednoznacznie ocenić. Usiedli.

Kazimierz doskonale wiedział, że przełożona nie zostawi go w swoim gabinecie sam na sam z Dominique, przygotował więc list. Teraz jednak miał wrażenie, że za biurkiem nie siedzi zwykła przyzwoitka, a strażnik więzienny.

– Tak nagle nas pani opuściła – zwrócił się do Francuzki – że z pośpiechu nie dokonałem należytego rozliczenia.

– Ja już niczego więcej nie oczekuję od państwa – odpowiedziała i sprawiła mu tym przykrość.

– Przyzwoitość nakazuje mi jednak...

– Przyzwoitość?

Nie powinien używać tego słowa w tej sytuacji. Speszył się swoją niezręcznością.

– Proszę, niech pani to przyjmie, proszę nie odmawiać. – Wręczył jej kopertę z listem. – Ja nie przestanę nalegać.

Coś musiało być w jego wzroku, bo panna Dulpy wzięła kopertę i zajrzała do środka. Były tam także pieniądze.

– To za dużo! – zaprotestowała, ale on już wstał, uklonił się jej oraz pannie Mrozińskiej i wyszedł.

Krew huczała mu z przejęcia w uszach z taką intensywnością, że niemal nie słyszał ulicznego gwaru. Przyjdzie czy nie, zastanawiał się. *Niewielu ludziom się zdarza doświadczyć takiej miłości, która zmienia całe życie – przypominał sobie własne słowa, które napisał do Dominique. – Taka jest moja miłość do Pani. Przy niej nic innego nie ma znaczenia. Wszystko jestem gotów odrzucić, wszystkiego się wyrzec dla jednego słowa od Pani, dla jednego spojrzenia, jednej wspólnej chwili.*

Okno Pani pokoju – czytała Dominique – przelotny Pani widok na ulicy, zapach Pani perfum, który potrafię wyczuć z dala, ton głosu, którym się Pani odezwie do ulicznego przekupnia, to będą moje skarby.

– Boże! To szaleństwo! – Złożyła list. Pochlebiało jej to trochę, ale sytuacja, w jakiej się znalazła, była nad wyraz kłopotliwa. – Ten człowiek gotów jest mnie całkowicie skompromitować! Jak przed nim uciec?

Pod wpływem tych obaw panna Dulpy postanowiła spotkać się z Lutomińskim i powiedzieć grzecznie, ale bardzo stanowczo, że nie życzy sobie dalszych z nim kontaktów.

W swoim liście pan Kazimierz napisał, że będzie codziennie na wieczornej mszy u świętego Aleksandra przy placu Trzech Krzyży, więc Dominique wybrała się tam już następnego dnia. Był. Wypatrywał jej. Kiedy tylko zaczęła się modlić przed obrazem przedstawiającym Zbawiciela na krzyżu, podszedł i przyklęknął obok.

– Przyszła pani jednak. Dziękuję, tak bardzo dziękuję. Anioł czuwa nad moją miłością.

– Przyszłam, bo muszę powiedzieć panu o różnych okolicznościach, których najwyraźniej nie jest pan świadomy. – Starła się, by jej głos zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo. – Ale tu nie miejsce na takie rozmowy.

– Jest taka kawiarnia, niedaleko, na Nowym Świecie, może da się pani zaprosić. Tam moglibyśmy porozmawiać.

Zgodziła się. Poszli, a ledwie kelner wskazał im wolny stolik, zaczęła:

– Jest pan zamożnym człowiekiem, ja nie. Pana pozycja w społeczeństwie jest zupełnie inna niż moja. Pan jest żonaty. W tej sytuacji spotkania z panem ściągają na mnie kompromitację, która nie pozwoli mi zarabiać na życie. A oprócz moich niewielkich umiejętności nie mam żadnego kapitału.

Kazimierz słyszał jej głos, ale to, co mówiła, nie chciało do niego dotrzeć. Jej bliskość oszałamiała go.

– Czy pani czytała Wertera? Pani na pewno czytała. Pani musi wiedzieć, że kiedy spotka się na swojej drodze tak wielką miłość jak moja do pani, to nie ma już powrotu do codzienności.

– Lotta, panie Kazimierzu, przecież nie wybrała Wertera. Poszła za głosem rozsądku i nie żałowała tego.

– Myśli pani? Czy wielkie uczucie nie zasługuje na to, by porzucić dla niego konwenanse, by się w nim zatracić? Miłość jest wielką siłą! Jest pani pewna, że Lotta nigdy nie zatęskniła za tym, co mógł jej zaoferować Werter? Naprawdę sądzi pani, że wystarczyła jej zwykła szara rzeczywistość, kiedy mogła wznieść się nad codzienność? Kochać? Być kochaną tak jak nikt? Bo ja wiem, że to, co czuję do pani, jest najistotniejszą rzeczą w moim życiu. Jestem gotów na wszystko, bo bez pani moje życie będzie pasmem męki niemożliwej do zniesienia.

Dominique patrzyła na jego zmienioną twarz i zastanawiała się, co się za tym kryje. Szaleństwo? Chyba nie. Raczej zbyt duża egzaltacja tak modna już od dłuższego czasu.

– Tego nie godzi się słuchać przyzwoitej kobiecie. Pan pomylił się co do mnie. Mówi pan o wielkiej miłości, ale ona sprowadzi na mnie nieszczęście. Zresztą wyjeżdżam i proszę mnie nie szukać. Pana miłość to tylko wpływ modnych lektur, fanaberia bogatego człowieka!

Kazimierz usłyszał tylko słowo „wyjeżdżam”. Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Lokal nie był duży, wszyscy ludzie odwrócili się w ich stronę.

– Nie może pani tego zrobić! – zawołał, nie panując już nad sobą, i przytrzymał jej rękę.

– Proszę mnie puścić – powiedziała to szeptem, ale i tak mężczyzna pijący kawę przy sąsiednim stoliku podniósł się.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Tak!

– Pan wybaczy, że się wtrącam, ale zdaje się, że sytuacja tego wymaga. – Nieznajomy najwyraźniej chciał wystosować do Kazimierza dłuższą przemowę.

Dominique nie zamierzała jej słuchać. Szybko wyszła z kawiarni, a potem skręciła w najbliższą uliczkę. Musiała zniknąć z oczu Lutomińskiego, mógł przecież wybiec za nią. Udało jej się. Klucząc zakamarkami miasta, wróciła na pensję. Była zbyt roztrzęsiona, by ukryć zdenerwowanie przed przełożoną. Musiała bardzo oględnie opowiedzieć, co się wydarzyło. Jednak nawet tak oszczędna wersja wzburzyła pannę Mrozińską.

– Taki skandal! Taki skandal! – powtarzała, intensywnie zastanawiając się, jak pozbyć się kłopotliwego gościa. Panien Lutomińskich także nie chciała już u siebie widzieć. Nie zamierzała mieć nic wspólnego z domem, w którym działy się takie historie. To mogło się niekorzystnie odbić na jej interesie. Panna Mrozińska znała życie i wiedziała, że w jej profesji należy trzymać się z daleka od wszelkich zdarzeń, które wywołują zgorszenie. Przecież rodzice powierzają jej niewinne panienki z nadzieją, że wychowa je na uczciwe kobiety. – Musi pani opuścić moją pensję – powiedziała stanowczo, kiedy Dominique skończyła swoją opowieść.

Dziewczyna nie była zaskoczona. Spodziewała się tego. Zapakowała swój dobytek w walizkę i wyszła.

Rozdział 6

Konstanty obudził się z poczuciem życiowej klęski. Przyczyn tego stanu był świadomy, ale nie umiał jednoznacznie stwierdzić, czy bardziej gnębiło go wytrącenie ze stałego rytmu życia, który bardzo sobie cenił, czy wczorajsze zachowanie żony. Równowagę wypracowali metodą prób i błędów przez wiele lat. Teraz, na dźwięk budzika, powinna obudzić się także Zośka, zabawnie poczochnąć jego rzadniejącą czuprynę i powiedzieć z uśmiechem: wstajemy! Bez tego poranek wydał się Kostkowi niepełny. A sama Zośka? Zaskoczyła go. Minęły czasy, kiedy wydawała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie, ale tylko ona potrafiła być jednocześnie zabawna i dyskretnie elegancka. Zawsze była subtelnie stylowa, niezależnie od tego, czy ubrała się w wizytową sukienkę, czy w dres. A wczoraj straciła fason i Kostek czuł, że to on ją do tego doprowadził. Tymczasem umiar i takt nadawały ich życiu klasy na równi z gustownie urządzonej mieszkaniami. A teraz całe jego tak doskonale ułożone życie legło w gruzach. Czy żałował? Czy chciałby, żeby to, co było między nim a Agnieszką, nigdy się nie zdarzyło? Nie! Zbyt często czuł na sobie karcący wzrok Zośki. Nie podobało jej się, że śmieje się z prostackich dowcipów, że nogi same mu podrygują w rytm piosenek Zenka Martyniuka, że zasypia nad książkami Kundery. A Agnieszka akceptowała go takim, jakim był, i nie chciała nic w nim zmieniać czy poprawiać.

Wstał cicho, by nie budzić żony. Nie miał ochoty na powtórkę z wczorajszego wieczoru. Zresztą spieszył się. W biurze czekało go mnóstwo pracy. Trzeba było wprowadzić w życie ustalenia podjęte podczas spotkania z portugalskimi właścicielami. Ubrał się pospiesznie, wpadł na chwilę do łazienki i wyszedł z domu.

– Nawet nie zjadł śniadania – powiedziała głośno Zośka, kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Zaraz jednak zganiła się za niepotrzebną troskliwość: – Nie powinno mnie to obchodzić!

Nie mogła zasnąć całą noc. Zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Tak w zasadzie powinna spakować walizki i wyprowadzić się z tego ich eleganckiego mieszkania. Tylko gdzie? Czy naprawdę tego chciała? Myśl o życiu bez Kostka wydawała jej się nie do zniesienia, choć urażona godność dokuczała nieznośnie. I co stałoby się z Agatą? Nie była sama. Miała córkę, na dodatek maturzystkę. W tym roku trzeba jej zapewnić

spokój, żadnych rodzinnych problemów! Przecież od tego, jak to dziecko zda maturę, wiele zależy! Więc co? Zośka ma udawać, że nic się nie stało? Zacisnąć zęby i trwać przy mężu, który jej nie chce? Dla którego jest już za stara, za mało atrakcyjna?

Znała go. Był perfekcjonistą. Wszystko w jego życiu musiało być najwyższej jakości. Stara żona więc pewnie nie trzyma poziomu. Zmarszczki i tracący jędrność biust ją dyskwalifikują. Poczula się zużyta, niepotrzebna, niekochana. Najchętniej nie wstawałaby z łóżka, ale dziś wracała Agata. Trzeba było jakoś się ogarnąć, więc Zośka wstała i powlekła się do łazienki. Jaskrawe światło bezlitośnie podkreśliło spowodowane niewyspaniem sińce pod oczami, szarawą cerę i opadające kąciki ust. Fatalnie! Zrobiła, co mogła za pomocą pudru, warstewki różu i tuszu do rzęs. Było trochę lepiej.

Ale widocznie tylko odrobinę, bo kiedy kilka godzin później na lotnisku doczekała się wreszcie córki i naściskały się już i nawitały do syta, Agata przyjrzała jej się uważniej.

– Coś się dzieje, mamuś? Mizernie wyglądasz.

– Nie mogłam się już ciebie doczekać i nie spałam jak należy.

Kłamstwo gładko poszło, okrasiała je jeszcze promiennym uśmiechem. Zresztą naprawdę stęskniła się już za córką. Nie widziały się cały miesiąc. Teraz trzeba było skupić się na jej sprawach. Agata opowiadała o swoich wrażeniach i zachwyty nad Stonehenge mieszały się w jej opowieści z Buckingham Palace, teatrem Glob i spacerami po plaży w czasie odpływu. Zośka słuchała i rosło w niej przeświadczenie, że koniecznie musi zadzwonić do tego dupka Konstantego i skłonić do odgrywania w domu farsy pod tytułem: nic się nie stało i wszystko jest w porządku.

Dupek! Dupek! O, Zośka ceniła sobie dobre maniere, ale teraz miała ochotę kłąć jak szewc. Za to zupełnie nie miała chęci dzwonić do tego jeszcze męża. Jeszcze, bo już niedługo! Bała się, że zacznie płakać, kiedy usłyszy jego głos. Żaden mężczyzna takiego nie ma. Głos Kostka był jednocześnie aksamitny i dźwięczny. Przez chwilę przypominała sobie, jak tym uwodzicielskim i niesamowicie męskim głosem mówił jej, że jest piękna, kochana i jedyna. No tak: jedyna! Niech go diabli wezmą! Kłamca! Nie, niech no tylko Agata zda maturę, to Zośka wystąpi o rozwód. Nie zwykła pchać się tam, gdzie jej nie chcą! Będzie żyła swoim życiem i zrobi, co tylko może, żeby było jak najpiękniejsze.

– Zaraz wrócę, nie zdążyłam się pożegnać ze znajomymi. – Agata wyrwała Zośkę z zamyślenia.

– Oczywiście. Poczekam. – To było trochę nie w porządku, że zamiast cieszyć się ze spotkania z dawno niewidzianą córką, myśli o Konstantym.

Przyjrzała się Agacie. Co tym razem przywiozła z wakacji? Jakie obce gesty, słowa? Zawsze tak było. Tym razem też. Wydawało się Zośce, że widzi w ruchach córki pewną leniwą powściągliwość, gesty podpatrzone u gwiazd filmowych. Komuś się chce podobać? Chyba tak.

Agata podeszła do grupy młodych ludzi i włączyła się do toczącej się tam ożywionej rozmowy. Od razu dało się zauważyć, że najważniejszy jest dla niej hałaśliwy blondyn, który chyba właśnie opowiedział jakiś dowcip, bo całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Agata też się śmiała i wpatrywała w niego zachwyconym wzrokiem. Jednak na Zośce ten chłopak nie zrobił dobrego wrażenia. Ciekawe, co to jest, zastanawiała się: kobieca intuicja czy nadopiekuńczość.

– Kto to? – zapytała, kiedy córka znowu znalazła się obok.

– Taki jeden, Kuba.

– Interesujący?

Agata zaczerwieniła się gwałtownie.

– O, ma szerokie zainteresowania. A już na punkcie motorów oszalał kompletnie. Potrafi opowiadać o nich godzinami.

– To może być męczące. – Zośka nie mogła się oprzeć pokusie, by trochę podrażnić się z córką.

– Jeśli ktoś mówi z taką pasją, to jest ciekawe – odpowiedziała zgodnie z jej matczynymi przewidywaniami.

Zakochało mi się dziecko, pomyślała, i zaraz znalazła powód do zmartwienia: żeby tylko nie przeszkodziło jej to w nauce!

*

Telefon zadzwonił dzwonkiem zarezerwowanym dla Zośki. Konstanty pospiesznie odrzucił połączenie. Tuż obok siedziała Agnieszka i skutecznie rozpraszała jego myśli. Usiłował pracować i właśnie przeglądał analizę wyników sprzedaży w jednej z drogerii należącej do firmy. Zgodnie z wytycznymi powinni zamknąć niewydolne placówki, a rozbudować te, które osiągają najwyższe zyski. Jednak nie mógł się skupić, bo Agnieszce, na pewno niechcący, rozpiął się w bluzce o jeden guzik za dużo i Kostek

mógł zobaczyć, jak jej krągłe piersi wychylają się z koronkowego biustonosza.

– Pozwól mi się nad tym spokojnie zastanowić – powiedział.

Telefon od Zośki zaskoczył go i zaniepokoił. Nie sądził, że pierwsza odezwie się do niego po wczorajszym wieczorze. A poza tym dzwoniła, kiedy był w pracy, tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– Oczywiście – odpowiedziała, a on usłyszał w tonie jej głosu zawód, a może nawet nutkę zniecierpliwienia.

Zadzwoił do żony, kiedy tylko Agnieszka wyszła. Odebrała natychmiast.

– Agata zdaje w tym roku maturę. Proszę cię, byśmy w domu nie dali jej poznać, że stało się coś niedobrego – zaczęła, zanim zdążył się odezwać. Głos miała spokojny. – Nam obojgu powinno zależeć na tym, by jak najlepiej ją zdała.

– Też tak myślę.

– To nie przeszkadzam. – Szybko się rozłączyła, a on odetchnął z ulgą. Najwyraźniej Zośka już ochłonęła. To dobrze, będzie się z nią można jakoś dogadać. Romans z Agnieszką, choć tak fascynujący, nie był wart tego, by zburzyć jego zazwyczaj szczęśliwą rodzinę. Zresztą Konstanty nie lubił zbyt radykalnych zmian.

Wrócił późno. W domu powitała go tylko Agata.

– Mama jest nie w formie. Zamknęła się w sypialni i chyba już śpi. Stało się coś?

Cholera niech weźmie zbyt inteligentne dzieci!

– Pewnie jest zmęczona. Źle spała. Nie będę jej przeszkadzał, bo muszę jeszcze popracować – odpowiedział i uciekł przed dociekliwą córką do pokoju, który służył za bibliotekę i gabinet do pracy. Często tam nocował, kiedy trzeba było posiedzieć dłużej nad robotą.

Zośka nie spała. Siedziała przed lustrem toaletki.

– Muszę udawać, że nic się nie stało. Kto ożeni się z dziewczyną skalaną takim rodzinnym skandalem? Na jakie małżeństwo będą mogli liczyć moi synowie? Kazimierz ani na moment się nad tym nie zastanowił – żaliła jej się Zofia siedząca po drugiej stronie lustra. – Tu już nie chodzi o mnie, ja jestem nieważna.

– Nieważna? – zaprotestowała oburzona Zośka. – Nie można tak mówić!

– Ty może tak nie mówisz, ale robisz to samo co ja. Też postanowiłaś tkwić w małżeństwie mimo upokorzenia!

– Tak, ale tylko przez rok!

Zofia westchnęła ciężko, zaraz jednak zaczęła nadśłuchiwać. Zza okna dobiegł jakiś rejwach.

– Może to Kazimierz wraca! – zawołała i pobiegła w głąb domu, nawet nie żegnając się z Zośką.

Na ganku lutomierskiego dworu zebrali się już: panna Stanisława, uboga krewna powiązana z jej mężem trudnymi do ustalenia koligacjami, pan Franciszek, którego wiedzę o hodowli koni poważali okoliczni mieszkańcy, oraz pani Adamowa Lutomierska, świekra⁶ Zofii.

⁶ świekra – matka męża

Mąż zajechał przed dom wynajętym w pobliskim miasteczku fiakrem. Wyszła na krużganek. Przez chwilę nawet zrobiło się jej żal Kazimierza, tak bardzo był przygnębiony. Przyzwyczała się już do jego wiecznej melancholii, ale teraz wyglądał po prostu na chorego.

– To nieładnie, synu, żeś nas tak nagle opuścił, nie mówiąc, dokąd jedziesz ani kiedy wrócisz.

Zofia chyba pierwszy raz w życiu zgadzała się z matką swojego męża. Stała z boku i przyglądała się powitaniom. Kazimierz z rezygnacją poddawał się uściskom, machinalnie ucałował dłoń matki, niemal z niechęcią potraktował pannę Stanisławę. W końcu stanął przed żoną, najwyraźniej nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Musisz być bardzo zmęczony. – Łaskawie zwolniła go z konieczności tłumaczenia nagłego wyjazdu. – Marcelina zaraz poda kolację. Zjedz, odpocznij.

Pokiwał tylko głową, wyminął ją i wszedł do domu.

Następne dni spędzał zamknięty w gabinecie. Co tam robił, Zofia nie dociekała. Choć żniwa rozpoczęły się na dobre, nie wyjechał w pole. Konieczne rzeczy załatwiał za pośrednictwem pana Franciszka. I trwałyby to nie wiadomo jak długo, gdyby pewnego dnia nie zjawili się w Lutomierzycach sąsiedzi: pan Zenobiusz Karpiński, najmajętniejszy ziemianin w powiecie, i Hieronim Olkowski, znany z nowoczesnych form gospodarowania. Kazimierz przyjął ich w swoim gabinecie. Tylko tam mogli swobodnie porozmawiać.

– Pewnie doszły już do uszu szanownego pana niebezpieczne wieści. Duch buntu szerzy się wśród młodzieży – dowodził pan Hieronim,

poprawiając monokl. Miał z nim kłopot, bo wiecznie mu wypadał, jako że niedostatecznie podtrzymywały go ruchliwe brwi i dolna fałdka oka. Jednak zrezygnować z tej zupełnie niepotrzebnej mu ozdoby nie chciał, bo dodawała mu powagi, co przy jego niezbyt masywnej postaci było konieczne. Przynajmniej tak uważał.

– To może doprowadzić do wybuchu kolejnego powstania – poparł go pan Zenobiusz, częstując się kolejnym ciasteczkiem wiśniowym – a konsekwencje przegranej walki sam pan, drogi panie, rozumiesz, mogą być katastrofalne!

Kazimierz słuchał ich nieuważnie. Złamane serce i związane z tym cierpienie nie pozwalały mu myśleć o sprawach publicznych.

– A cóż ja mogę, panowie? – powiedział, rozkładając bezradnie ręce. Po chwili poprawił się: – Cóż my możemy?

– Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił^Z – odpowiedział mu na to pan Zenobiusz, sięgając po następne ciasteczko. – Pan masz synów, a oni kolegów. Rozmawiać z młodzieżą trzeba w jak największym zakresie.

^Z A. Mickiewicz, *Pieśń filaretów*.

– Tłumaczyć, że warto zabiegać o autonomię naszej biednej ojczyzny, własną administrację, przyłączenie ziem zabranych do Królestwa, co, daj Boże, się stanie dzięki poparciu Francji i Wielkiej Brytanii. – Pan Hieronim nadal walczył z monoklem. – A nade wszystko, panie Kazimierzu, trzeba nam się łączyć w imię przyszłych celów. Dlatego do pana przyszliśmy, by zaprosić na spotkanie Towarzystwa Rolniczego...

– Toż carat rozwiązał tę instytucję – przerwał mu Kazimierz.

– Masz pan oczywiście rację – tokował dalej pan Hieronim. – Stare przyzwyczajenie. Teraz nazywamy się Dyrekcją Wiejską i działamy tajnie. Ale cel ten sam, szanowny panie. Trzeba za wszelką cenę powstrzymać przedwczesny wybuch powstania.

– Przedwczesny? – zdziwił się Lutomierski. – To w ogóle dopuszczacie, panowie, myśl zorganizowania przewrotu?

– Jeśli zabiegi międzynarodowe... dyplomatyczne... jeśli nie uda się nic uzyskać tą drogą... – Pan Zenobiusz wyraźnie zakłopotany strzepywał okruszki ciasteczka wiśniowego z opiętego tużurkiem pokaźnego brzucha.

Po ich wyjeździe Kazimierz długo stał w oknie swojego gabinetu i palił papierosa. Na zewnątrz jesień rozgościła się już na dobre. Chmury

dramatycznie przewalały się po niebie, wiatr szarpał gałęziami drzew, coś jęczało i skrzypiało na strychu, jakby jakieś dusze potępione czy umęczone się tam zagnieździły. Wszystko to i rozmowa z sąsiadami spowodowało, że ocknęła się też dusza pana Kazimierza z letargu miłosnej udręki. Trochę żał mu było, bo owo cierpienie, choć oczywiście bolesne, taką niosło ze sobą podniosłość, takimi pięknymi słowami przemawiało. „Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie”⁸ – powtórzył sobie w myślach ulubiony wers uwielbianego poety i poczuł, że słowa straciły swoją moc, wyświechtały się od częstego wspominania. Za to wizja tajnych spotkań, powstania, a nawet śmierci na polu walki rozjarzała się w nim czarownym blaskiem. Chwilowo brakowało mu jednak szczytu Mount Blanc albo więziennej celi, by przeżyć gwałtowną przemianę, narodzić się na nowo. Jak Kordian albo Konrad. On, Kazimierz, też przecież na K.

⁸ A. Mickiewicz, *Do M**.

Rozdział 7

Jeszcze i to, pomyślała Zośka, żegnając się z drobną osóbką przez uczniów nazywaną Dzesiką, bo wiecznie nuciła jakieś jazzowe kawałki. Kobiетка była wychowawczynią Agaty, a spotkały się zupełnie przypadkiem w Costa Coffee w Galerii Ursynów. Tamta dopijała już jedną kawę, ale kiedy Zośka przysiadła się do niej, zawahała się: wstać czy zostać.

– Może przeszkadzam? – zapytała Zośka, ale Dzesika podjęła już widać decyzję i zaczęła opowiadać.

O Agacie oczywiście. Że zawsze była ambitna, pracowita, a tu masz babo placek, w maturalnej klasie to się zmieniło. Niby nic nadzwyczajnego, ale jest rozkojarzona, zapominalska, niewyspana czy co. I że trzeba by jakoś zareagować.

Rozstały się obie zasmucone, bo niewierzące, że cokolwiek da się zrobić. Zośka przytłoczona wyrzutami sumienia poczłapała niemrawo w stronę metra przez mrok rozjaśniany kolorowymi światełkami licznych już choinek, sań i roześmianych Mikołajów, bo smutne Zaduszki już minęły i można było rozpocząć akcję świątecznych handlowych żniw. Jej to nie obeszło. Listopadowa pogoda nasilała pełzającą od lata chandrę, a tu trzeba było pogadać serdecznie z córką, przekonać się jakimś cudem, czy wszystko w porządku.

Agaty w domu nie było, ale był Konstanty.

– O tej porze? – zdziwiła się na widok męża, bo nie zdarzało się, by przychodził z pracy przed piątą. Po piątej też tylko w nadzwyczajnych okolicznościach.

– Nie wolno? – spytał niby zaczepnie, ale z miną zbitego spaniela.

Wzruszyła tylko ramionami. Wydało jej się, że czasy, gdy go obejmowała, kiedy przychodził z pracy czymś wyraźnie zmartwiony, odgródzone zostały szklaną taflą. Niby dobrze wiedziała, jak mogłaby się zachować, może byłoby jak dawniej, ale to przekłete szkło stanowiło barierę nie do przebycia. Zresztą dlaczego to ona miałaby robić ten pierwszy krok? On niczego nie wyjaśnił, niczego nie obiecał. Nie rozmawiali ze sobą. Nie wiedziała nawet, czy ta jego, delikatnie mówiąc, znajomość trwa jeszcze i co on w związku z tym zamierza. Zimna uprzejmość i pozorna obojętność, w którą obróciło się jej opanowanie,

próba zachowania klasy, ciążyły nieznośnie. Rozdarte między gniewem a miłością serce bolało.

Łzy zakręciły jej się w oczach, więc schroniła się do sypialni. Zajrzał tam.

– Proszę, wyjdź – powiedziała, udając, że zmywa makijaż. – Krępuje mnie to.

Zamknął posłusznie drzwi.

Siadła przed lustrem toaletki. Po jego drugiej stronie nagle drzwi otworzyły się z impetem i wpadła przez nie Zofia.

– Ja nie wiem, jak długo można to znosić! – szepnęła, a potem zanurzyła twarz w dłoniach. – Pamiętasz, jak opowiadałam ci o rozmowie z panną Mrozińską? Wtedy, kiedy wymówiła miejsce na swojej pensji Bogumiłce i Nastusi?

Zośka doskonale pamiętała. Zofia w odpowiedzi na zjadliwie uprzejmy list od przełożonej szkoły jej córek wybrała się do Warszawy. Rozmowa z panną Mrozińską nie należała do przyjemnych.

– Jest mi oczywiście bardzo przykro, że musiałam podjąć taką decyzję, ale sama pani rozumie, że nie mogłam postąpić inaczej – zaczęła, zanim Zofia przedstawiła jej swój pogląd na sprawę.

– Nie sądzi pani, że znacznie gorzej inni rodzice odbiorą wieść, że pod wpływem nieuzasadnionych plotek zamierza pani zrobić krzywdę moim córkom? Co one winne? Dlaczego nie chce pani, by nadal pobierały tu nauki?

– Pani dobrze wie, że to nie są nieuzasadnione plotki! – oburzyła się panna Mrozińska.

– Mój mąż jest człowiekiem poważnym. Współpracuje w dziele propagowania rozwoju cukrownictwa w naszej okolicy z samym Kronenbergiem. Jego artykuły ukazują się w „Gazecie Polskiej”, a jej redaktor, ten znany pisarz Józef Ignacy Kraszewski, był onegdaj⁹ u nas na obiedzie. To dla pani za mało, żeby uznać nas za godną zaufania rodzinę? Będę musiała jakoś uzasadnić konieczność przeniesienia moich dziewcząt do innej pensji tuż przed końcem edukacji. Nie obawia się pani tego?

⁹ onegdaj – przedwczoraj

Mówiąc to, Zofia czuła do siebie odrazę. Upokarzała ją konieczność dowodzenia, że są rodziną zasługującą na szacunek, dopuściła się też

drobnych kłamstewek. Artykuł w „Gazecie Polskiej” był tylko jeden, a ta działalność Kazimierza w cukrownictwie tak niewielka, że szkoda gadać. Tylko Kraszewski naprawdę gościł u nich. Na dodatek ten zawołowany szantaż!

Na pannie Mrozińskiej jednak zrobiło to wrażenie. Anastazja i Bogumiła mogły wrócić do szkoły.

– A co dzieje się teraz? – spytała Zośka.

Zofia złożyła ręce na podołku ciemnej sukni w pełnym rezygnacji geście.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim sądzić. Kazimierz popada ze skrajności w skrajność. To całymi dniami nie wychodzi z gabinetu, leży na kanapie, patrząc w sufit w dziwnym stuporze, i nic do niego nie dociera. Niemalże karmić go trzeba, bo umarłby z głodu. To wdaje się w niebezpieczne dyskusje z Antosiem i Gustawkiem, którzy wrócili już do domu na święta.

Rzeczywiście, zza drzwi sypialni w dworze w Lutomerzycach dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji.

– Skąd u ojca takie radykalne poglądy? – dziwił się Gucio, młodzieniec już wysoki, lecz chudy ponad miarę.

– Zdawało się nam – wtórował mu Antoś ten trochę bardziej przysadzisty i rozrośnięty w barach – że ojciec z racji przynależności do pewnej sfery i znajomości powinien popierać program białych. Zresztą tak, zdaje się, było do tej pory?

– Być wolnym z łaski Moskwicina? Łotry zdejmą nam tylko z rąk i nóg kajdany, ale wtłoczą je na duszę¹⁰! – odpowiedział im pan Kazimierz cytatem z ulubionego poety i znowu zapadł się w swoje zwykłe zamyślenie.

¹⁰ A. Mickiewicz, nie jest to dokładny cytat z III części *Dziadów*.

– Ależ, proszę ojca, to już przebrzmiało. Teraz inne wiatry wieją – odważył się zaprotestować Gustaw.

– Biali uważają, że obecna chwila wymaga pracy, rozsądku – poparł go Antoni.

– Praca, rozsądek! – zaprotestował pan Kazimierz z niezwykłą u niego żywością. – Choć jesteście tak młodzi, nie czujecie, jaką nudą, przytłaczającą szarością to gniecie ducha? Przecież wam trzeba szumu, skrzydeł, wielkich myśli!

– Wielkich czynów potrzeba! Ale przemyślanych, podejmowanych wspólnie z naszymi braćmi Rosjanami. – Obaj tak myśleli. Tyle się o tym mówiło we wszystkich chyba uczelniach. Uważali, że nie ma innej drogi do niepodległości jak powstanie, i całym sercem popierali program czerwonych.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Zapachy dobiegające z pomieszczeń kuchennych nie pozwalały skupiać się na sprawach publicznych. Synowie zgodnie pomaszerowali do kuchni z nadzieją, że Marcelinka zlituje się nad ich młodzieńczymi apetytami. Przedświąteczny post dokuczał im bardzo. Kazimierz tymczasem znowu skrył się w swoim gabinecie.

Rozmowa ucichła, a siedząca przed toaletką Zofia jeszcze chwilę pilnie wsłuchiwała się w nagłą ciszę.

– Słyszałaś? – spytała Zośki. – Gotuje się w całym kraju. Ludzie podzieleni są na dwa wrogie obozy, białych i czerwonych. Nie dosyć im zaborcy, wroga, to jeszcze muszą się kłócić między sobą. Tak się martwię! Ani w domu, ani w sąsiedztwie nie ma zgody. A mnie nie pozostaje nic innego tylko pracować cerować tę rodzinę, choć rozłazi się w szwach. Muszę iść, może da się porozmawiać z Kazimierzem. Ta niepewność mnie zabija.

– Tak, niepewność zabija! – zgodziła się z nią Zośka, choć zupełnie innym tonem. W niej nie było cichej rezygnacji, ale bunt. – Ale swoją godność trzeba mieć!

Zofia nie słuchała jej, wyszła już z sypialni. Zapukała do gabinetu męża, a nie doczekawszy się odpowiedzi, uchyliła drzwi. Kazimierz leżał jak zwykle na kanapie i palił fajkę. Całe pomieszczenie przesiąknięte było tytoniowym dymem.

– Porozmawiajmy, proszę – powiedziała łagodnie.

Z miną męczennika podniósł się, podsunął jej krzesło, a sam ciężko usiadł za biurkiem.

– O czym chcesz rozmawiać?

Zagotowało się w niej! Jak to o czym? Los całej rodziny zależy od jego działań, a on nic nie robi, niczego nie planuje, gdzieś tam buja w obłokach. Zapanowała jednak nad sobą.

– Nie rozumiem, co się dzieje. Nie znam twoich zamierzeń. – Wzrokiem błagała go, by rozproszył jej niepewność.

– To ja nie rozumiem, o co ci chodzi.

To nie było uczciwe z jego strony tak wymigiwać się od rozmowy. Oburzenie w niej buzowało coraz bardziej.

– Twój stosunek do panny Dulpy, nagły wyjazd, fakt, że zostawiłeś mnie na tyle dni bez funduszy na zaspokojenie najbardziej palących potrzeb, zburzyło moje poczucie bezpieczeństwa. Nie chciałabym, żeby sytuacja się powtórzyła.

Ciągle jeszcze mówiła cicho i spokojnie, choć postanowiła, nie bacząc na nic, zmusić go do poważniejszej rozmowy.

– Pieniądze i zawsze pieniądze! Pani wiecznie tylko o jednym! Pani nie potrafi wznieść się ponad najbliższą codzienność! – Zawsze, gdy chciał jej dokuczyć, stawał się bardziej oficjalny.

– Ktoś o tę codzienność musi dbać – odpowiedziała mu już nie tak łagodnie.

Gwałtownie wstał od biurka i podszedł do biblioteczki.

– Tu jest skrytka, w której trzymam kosztowności.

Wyciągnął z szuflady jakiś dokument i szybko wypełnił go.

– A to pełnomocnictwo. Będziesz pani mogła wypłacić z banku pieniądze. O to chodziło?

– Nie tylko. – Poczula się urażona, wzięła jednak papier.

– Może skończymy tę przykrą rozmowę. Pani powinnaś zająć się swoimi obowiązkami, święta się zbliżają.

Widziała, jak nerwowo drga mu brew. Słyszała narastający gniew w jego głosie. Niech mu tam. Nie mogła przeciągać struny, bała się, że znowu zrobi coś nieobliczalnego, co odgrzeje niepotrzebne plotki na temat ich rodziny. Wstała, skinęła mu tylko głową i wyszła. Bóg jeden wiedział, jak wiele hartu wymagało od niej zachowanie spokoju. Zdobyła się tylko na to, by pójść do sypialni i usiąść przed toaletką. Chciała wyzalić się tej po drugiej stronie lustra.

Zośki jednak już tam nie było. Wyszła, bo usłyszała, że ktoś otwiera wejściowe drzwi w jej warszawskim mieszkaniu. To mogła być tylko Agata.

– Nie zadzwoniłaś, że wrócisz później, nie odbierałaś telefonu. Martwiłam się – zaczęła od wymówek.

– Oj, mamuś, przepraszam. – Córka cmoknęła ją w policzek, a potem przytuliła się.

Była najwyraźniej w lirycznym nastroju. No tak, to raczej miłosna historia była przyczyną tego rozkojarzenia, o którym mówiła Dzesika, a nie problemy z Konstantym.

– Coś się dzieje, kochanie? Może porozmawiamy?

– Może kiedy indziej? Taka jestem zmęczona. – Dziecko uśmiechnęło się do niej prosząco, a ona oczywiście zmiękła i słowem nie wspomniała o rozmowie z wychowawczynią. Zbliżały się święta, będzie trochę czasu i lepszy klimat na zwierzenia.

Rozdział 8

Zośka brnęła przez breję zalegającą chodniki. Kolorowe światła migwały na wszystkich sklepowych witrynach, ale jakoś to nie ocieplało mrocznego nastroju ulic. Miasto było wyludnione. Ludzie albo wyjechali, bo trwała świąteczna przerwa w szkole i w pracy, albo siedzieli w domach, wyjadając z lodówek przysmaki i gapiąc się w telewizor.

Rodzinne święta, pomyślała smętnie i masochistycznie. Bo ona była sama. Agata z koleżankami szykowały wystrzałowego sylwestra, a Kostek jak zwykle pracował. W każdym razie tak twierdził. Zazdrość zjadała ją od środka, bo mu nie wierzyła. No, nie wierzyła i koniec! Tyle razy miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, by powiedział jej jasno i wyraźnie, że jej już nie kocha, że nawet nie uważa za przyjaciela, partnerkę, że nie chce z nią być. Przecież gdyby chciał, to zrobiliby coś, przekonał ją, że tanto to jakaś nadmuchana historia, a ta cała Agnieszka nic dla niego nie znaczy. On jednak palcem nie kiwnął, ona zaś nie mogła się zdobyć na ostateczną rozmowę. Czyżby bała się usłyszeć prawdę, którą przeczuwała?

Doszła do domu zmęczona i zniechęcona do całego świata. Samotność w tym ponurym dniu była jeszcze trudniejsza do zniesienia. Usiadła przed toaletką. Tragedia. Przyklapnięte pod czapką włosy straciły fason, makijaż się rozmazał, blade usta i sińce pod oczami. Czy ktoś taki może oczekiwać od życia szczęścia, a od ludzi akceptacji?

Po drugiej stronie przed lustrem usiadła Zofia. Zośka z zazdrością spojrzała na jej włosy jak zwykle spięte w perfekcyjny kok, na świeżą cerę. Imienniczka była zmartwiona, choć z głębi domu dobiegały radosne głosy.

Tej to dobrze, pomyślała Zośka, ale nie odezwała się ani słowem. Taka była przygnębiona, że nie miała nawet na to siły.

Zofia też siedziała w milczeniu. Za oknem lutomierskiego dworu cicho padał śnieg. Jeszcze było spokojnie, ale już niedługo będzie tu rejuwach, że aż strach. Zapowiadał się kulig.

Tej to dobrze, pomyślała, patrząc na Zośkę po tamtej stronie lustra. Nic nie musi. Może sobie siedzieć potargana i nikt od niej niczego nie chce. Tymczasem ona jest taka zmęczona, że nie ma nawet ochoty na rozmowę. Najbardziej nękała ją obecność innych osób. Przez cały czas musiała pilnować się, by nikt nie zauważył jej przygnębienia. Czuła się jak żołnierz na warcie. Przez cały czas na baczność. Dlatego wrywała się z wiru

codziennych obowiązków, by choć przez chwilę usiąść w samotności w swojej sypialni. Odetchnąć.

– Trzeba by zapakować co w kosze na dzisiejszy wieczór. Jakby pani zechciała zarządzić. – Marcelinka wsunęła głowę przez drzwi i popatrzyła na panią Zofię z troską. To niedobrze, jak ktoś tak siedzi w samotności i patrzy w lustro. Jakieś лихо można w nim zobaczyć.

I Zofia musiała iść z nią do kuchni. Tam na stołach stały już ogromne wiklinowe kosze, wcale nie mniejsze od tych, do których chłopki wrzucały na jesieni wykopane kartofle. Już wyłożono je lnianymi serwetami. Należało tylko zapakować wiktuały na dzisiejszy kulig.

W kuchni wrzało. Wiadomo było, że najpierw goście przyjadą, będą hulać przez całą noc, jeść, pić, a potem spać do południa. A po obiedzie, który przeciągnie się pewnie do wieczora, nagle ktoś krzyknie, że teraz trzeba do Smogorzewskich, Łagierskich czy Gosztowiczów i wtedy za późno już będzie na pakowanie. Towarzystwo rzuci się hurmem do sań, woźnice strzelą z bata i tyle po nich zostanie. A pojawić się u kogoś z sąsiedztwa z kuligiem bez specjałów dworskiej kuchni to wstyd dla gospodyni. Co by tu więc nałożyć do tych koszy?

Zofia weszła do spizarni.

– Ze dwie faski¹¹ bigosu weźcie. W tym roku udał się niezmiernie.

¹¹ faska – drewniane naczynie do przechowywania potraw

Marcelinka aż pokraśniała z zadowolenia.

– Pewnie, pewnie! Tydzień gotowałam, choć gdzie indziej kucharki we trzy dni to robią, ale co to za bigos! A i powidła śliwkowe w tym roku wyjątkowego smaku, więc jak się je do kapusty...

– Strucle z makiem też zapakujcie – przerwała Zofia te wywody.

– To może też te z migdałami i miodem¹²? – Marcelinka nieśmiało wskazała na leżące na półkach podłużne ciasta dla zachowania świeżości owinięte w pergamin. Pierwszy raz takie upiekła i smakowały wyśmienicie, ale starsza pani Lutomska była oburzona nowomodnymi wymysłami.

Strucla na Gody¹³ musiała mieć makowe nadzienie i koniec.

¹² Marcelinka napiekła tych strucli strasznie dużo. Dla Zośki na święta wystarczyłyby dwie. Trzeba zrobić zaczyn: rozetrzeć pół paczki drożdży z łyżką miodu, rozpuścić w odrobinie ciepłego mleka i dodać trochę mąki, by całość miała gęstość śmietany. Kiedy zaczyn wyrośnie, należy dokładnie wyrobić ciasto z 50 dag mąki, 3 jajek, 15 dag stopionego masła i pół szklanki ciepłego mleka. Doskonale byłoby dodać także otartą skórkę z cytryny. Po wyrośnięciu należy ciasto

rozwałkować na 2 placki i posmarować je nadzieniem, składającym się z wymieszanych posiekanych migdałów (25 dag), miodu (25 g) i 2 jajek. Piec w temperaturze 180 st. przez niecałą godzinę, a potem polukrować albo posypać cukrem pudrem. Marcelinka zawsze lukrowała.

13 Gody – okres między Bożym Narodzeniem a świętem Trzech Króli

– Tak, tak, znakomite! I jeszcze pieczeń z dzika, sarninę, trochę pasztetu z zająca. I wędzonki oczywiście.

Tego nie brakło. W osobnym pomieszczeniu, żeby zapachy się nie mieszały, na drągach wisiały wędliny: soczyste półgęski, wielkie świńskie szynki zamarynowane i udymione z całą nogą, tłuszcjsze od nich balerony, pęta kiełbas, a nawet litewską modą w żołądkach uwędzone kindziuki.

Nie było można za długo sterczeć w spiżarni. Ledwie Zofia uporała się z ładowaniem jedzenia do koszy, a już trzeba było przejrzeć suknie dziewcząt, wybrać stosowne i dopilnować prasowania. Świeże koszule dla synów i Kazimierza także należało dorzucić pokojówce. Służba musiała przygotować dostateczną ilość pościeli i łóżek dla pań, panienek i panów. Ręczników nie mogło zabraknąć i lawendowych mydełek na umywalniach w każdej sypialni. Dywany musiały zniknąć z salonu, bo tańczący zdeptają je i zniszczą. Co się da, kazała wynieść, a krzesła, sofę, kanapy poustawiać pod ścianami tak, by miejsca na zabawę było dosyć, a gdy kto zmęczony, żeby miał gdzie spocząć.

Ponieważ Kazimierz nosa ze swojego gabinetu nie wystawił, Zofia naciągnęła na siebie kożuszek i wyszła na podwórze. Tu także musiała zarządzić, by przygotowano miejsca dla koni w stajniach, noclegi i pożywienie dla służby, coś na rozgrzewkę.

Zapadł już wczesny grudniowy wieczór, kiedy skończyła przygotowania. Ledwie jednak zdążyła się sama ogarnąć, poprawić włosy, zmienić suknię, kiedy od bramy wjazdowej dobiegły wesołe pokrzykiwania. Tak, już byli. Przed gankiem wokół gazonu widziała światła pochodni, a z sań zaczęło się wysypywać towarzystwo.

– Kazimierz! Goście! – Po drodze na ganek wpadła jeszcze do gabinetu męża.

Przebrał się, chwalał Bogu, tylko łańcuszek przy dewizce zegarka mu poprawiła, bo zahaczył się o materiał, i wyszli oboje witać przybyłych. Jeszcze zerknęła na dzieci. Córki prezentowały się zdrowo i ślicznie. Synowie dawno już ją przerośli i teraz z dumą patrzyła na swoich młodych

mężczyzn. Kazimierz tylko był taki jakiś wymiętoszony, choć to raczej stan ducha tak się objawiał, bo jego ubraniu nic nie można było zarzucić.

Towarzystwo zajęchało rozochoczone i ździebko już chyba podpite, bo stateczny zwykle pan Klemens Smogorzewski, ich najbliższy sąsiad, podając dłoń małżonce, by jej pomóc w wysiadaniu, gesty miał nieco zbyt obfite, a jego połowicy błyszczały oczy. W drugich saniach pani Łagierska zanosila się głośnym śmiechem, a jej wuj Stefan mimo mrozu rznął na skrzypkach z takim wigorem, że struny wydawały się tego nie wytrzymywać. Od Łagierskich przyjechała też konno cała gromada młodzieży, bo syn ich Teoś, studiujący w Warszawie, zaprosił kolegów na święta. W ostatnich saniach panny Gosztowiczówny czystymi głosikami podśpiewywały:

*A jak ci ja na wojenkę pojedę,
wezmę z sobą pistoletkę i szablę.
A jak ci mnie na wojence zabiją,
zieloną mię choineczką nakryją¹⁴.*

¹⁴ *A jak ci...* – pieśń spisana przez Oskara Kolberga.

Wtarabaniło się to całe towarzystwo do dworu i dalejze hulać! Któryś od Łagierskich siadł do fortepianu, wuj Stefan stanął przy nim ze skrzypkami i poszły nuty znane i swojskie: „A kto chce rozkoszy użyć, niech idzie do wojska służyć”, zaraz potem „Dalej, bracie, do bułata, wszak nam dzisiaj tylko żyć”, a kiedy już się zmęczyli, popłynęła melodia bardziej stateczna i powolniejsza: „Gdy człek w taniec polski stanie, wąs podkręci, tupnie nogą, pierś mu rośnie, hej, mospanie, już raźniejszy, już mu błogo”¹⁵.

¹⁵ *Polonez rycerski*, muzyka: Karol Kurpiński, słowa: Jan Nepomucen Kamiński.

Zofia kręciła się między salonem a jadalnią, trochę przypatrując się tańczącym, a trochę doglądając nakrywania stołów, i w pewnej chwili natknęła się wzrokiem na swoją córkę Bogusię. Zaróżowiona była od niedawnego tańca i zdyszana, ale teraz przystanęła niedaleko fortepianu i rozjaśnionymi oczyma patrzyła na siedzącego za klawiaturą chłopaka. On też spoglądał na nią z uśmiechem. Grał balladę g-moll Chopina. Taka w tej muzyce była tęskność i swojskość, że Zofia zatrzymała się na moment. Słuchając tej muzyki, miała wrażenie, jakby stanowiła pożegnanie

szczęśliwych chwil. Jakby melodia miała rozrzewnić ją do łez, bo oto mijało coś, co wrócić już nie mogło.

Skończył. Chwilę patrzyli na siebie z Bogusią z rodzącym się szczęściem w oczach, a potem zagrał nową nutę, nieznaną tutaj, i zaśpiewał całkiem przyjemnym barytonem:

– Hej, ty dziewczyno! pójdiesz ty ze mną, pójdiesz ty ze mną? Czy w dzionek biały, czy w nockę ciemną, czy w nockę ciemną?¹⁶

¹⁶ T. Lenartowicz, *Zostań, dziewczyno!*

Bogusia zarumieniała się jeszcze bardziej, a młody człowiek, jakby przestraszony własną śmiałością, wstał od fortepianu i wyszedł z salonu.

Ciekawe, kto to jest, zastanawiała się Zofia i ruszyła za nim. W sieni sięgnęła po szubę, otuliła się nią i wyszła na ganek. Noc już była, cicha i wilgotna. Z sopli wiszących u dachu z cichusieńkim chlupotem spadały krople wody. Łuna księżycy przedzierała się przez postrzępione chmury, a niedawny grajek też tam stał i patrzył w niebo. Wcześniej wesoły i troszkę swawolny, teraz niemy i uspokojony.

– Zaziębi się pan – zagadnęła go.

– Trochę się tylko ochłodzę. – Uśmiechnął się do niej nieśmiało. –

Pierwszy raz jestem u państwa, pewnie przeprosić powinienem, bo ten kulig najazd tatarski przypomina, ale Teofil Łagierski, z którym razem studiujemy, tak nalegał, że się zgodziłem. Choć to może nie wypada do nieznanomych ludzi, bez zaproszenia...

Coś było w nim ujmującego, choć urodą się nie wyróżniał. Taka czupryna ni ciemna, ni jasna, rysy twarzy przeciętne, tylko jakiś żar w oczach.

– Ależ proszę nie czynić sobie wyrzutów. Gody mamy, a kulig rządzi się swoimi prawami, wciąga w wir.

– To ja może sam się przedstawię, skoro nie ma tu nikogo, kto mógłby dopełnić tego obowiązku, Jan Zarębski.

– Słyszałam to nazwisko. – Zofia zastanawiała się chwilę.

– Tu wszyscy o wszystkich coś tam słyszeli, tylko jak przychodzi co do czego, to trudno wygrzebać z pamięci. – Jan się zaśmiał.

– Ma pan rację – odpowiedziała mu też uśmiechem, ale postanowiła zagadnąć Krysie Łagierską o tę rodzinę. Kiedy się ma córki na wydaniu, trzeba wiedzieć, kto jest kto. – Wejdźmy do środka. Stół już zastawiony. Pewnie przyda się coś przekąsić po tańcach.

Tymczasem goście już obsiedli stół w jadalni. Jeszcze zdyszani od niedawnego tańca, rozgrzani, rozmawiali nieco zbyt głośno, ale powoli, w miarę jedzenia uspokajali się.

Zofia rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie dziwiła się, że nie zna całej młodzieży, ale naraz wzrok jej padł na obcego chyba w tych stronach dojrzałego człowieka. Nieznacznie młodszy był od Kazimierza, dosyć wysoki i z lekka łysiejący. Zrobił na Zofii bardzo przyjemne wrażenie, choć nie umiałaby powiedzieć, co ją do niego tak życzliwie nastawiło. Uważnie przysłuchiwał się rozmowie, ale sam na razie nie zabierał głosu.

Ciekawe, kto to jest, zastanawiała się, a oczy same bezwiednie zerkały co raz na niego. Muszę zapytać Krysę Łagierską.

Dyskurs przy stole dotyczył spraw publicznych i jak to zwykle bywa, kiedy rozmowa stoczy się na takie tematy, nabierał coraz większej gorączki i zajadłości. Kłócono się o racje czerwonych twierdzących, że tylko radykalny czyn mógł przynieść wolność ojczyźnie, i białych, którzy nawoływali do spokoju i rozsądku. Byli też tacy, co uważali, że należy wspierać margrabiego Wielopolskiego w jego staraniach u cara o większą autonomię. Wypite kieliszki wybornych lutomierskich nalewek szumiały coraz mocniej w głowach i awantura wisiała w powietrzu.

Kazimierz powinien był zareagować i ostudzić emocje, ale siedział i nieobecny wzrokiem patrzył w ciemny prostokąt okna. Zofia rozejrzała się bezradnie wokół. Nie miała szans, by przedrzeć się swoim słabym głosem przez ten gwar. Jej oczy znowu ześlizgnęły się niechętnie na nieznanego. Uśmiechnął się do niej leciutko. Chyba zrozumiał jej zaniepokojenie, bo wstał i zadzwonił nożem w kieliszek na znak, że chce coś powiedzieć. Towarzystwo nagle się uciszyło. Wśród Łagierskich nieznanemu widać cieszył się autorytetem, a reszta poszła śladem tej rodziny.

– Umiaru nam dzisiaj potrzeba, rozsądku – zaczął, a Zofii bardzo spodobał się jego głos – a my odurzeni jesteśmy brzękiem poetycznych słów, widokiem czamar i kontusików, w które tak lubią się przebierać teraz panie i panowie. Samo patriotyczne nadstawienie bezbronnej piersi na kule i bagnety nie wystarczy. Trzeba nam systematycznej pracy.

– Pan masz bezwarunkową rację – poparł go Zenobiusz Karpiński, który zwykle w takich imprezach nie brał udziału, ale teraz postanowił rozejrzeć

się za żoną dla swojego jedynaka. Panien w okolicy mieszkało wiele, ale ożenku spadkobiercy jego majątku nie można było zlekceważyć.

– Kto to jest? – Zofia nachyliła się do siedzącej obok niej Krysi Łagierskiej i wskazała oczami nieznanego.

– Nie znasz Konstantego Gosztowicza? Nie słyszałaś jego historii? – zdziwiła się.

– Ach, to on! – odpowiedziała Zofia, bo doskonale pamiętała opowieści o heroicznej walce, którą stoczył pan Konstanty, próbując ratować życie swojej żony. Cała okolica płakała ze wzruszenia, opowiadając sobie historie o podróży do Berlina, do znanego specjalisty chorób serca. Pan Konstanty wniósł na rękach osłabłą żonę do wagonu kolejowego, w którym wykupił cały przedział, by zapewnić jej jak największe wygody. Wymościł też słomą drogi, przez które musiała przejechać, by dodatkowo zamortyzować wstrząsy, tak ogromną czułością ją otaczał. Wreszcie słyszała też o jego rozpaczach i żałobie, kiedy już umarła. Zresztą przypomniawszy sobie, że kiedyś, w młodości zetknęła się z panem Konstantym, tylko tyle czasu już minęło, że go nie poznała.

Zofia znała te historie, ale mimo to z ciekawością słuchała opowieści Krystyny o Gosztowiczu, a jej wzrok mimowolnie ku niemu wędrował. Czasem ich oczy spotykały się, a wtedy Zofia czerwieniła się jak pensjonarka, a nie kobieta zamężna i przeszło czterdziestoletnia. Peszyło ją to i obiecywała sobie nie patrzeć więcej w jego stronę, ale potem zapominała się i znowu zerkała. Coś w nim było intrygującego.

Rozdział 9

Świat po obu stronach lustra rozciągał się daleko, daleko poza sypialnie Zośki i Zofii. Z mieszkania Zośki można było wyjść na skrzyżowanie alei Komisji Edukacji Narodowej i ulicy Indiry Gandhi nieopodal stacji Imielin, a potem dostać się metrem na Świętokrzyską, by tam ruszyć w stronę Ogrodu Saskiego, przejść koło Zachęty w stronę Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia, a potem jeszcze dalej i dalej. A kiedy wyszło się z dworu pani Zofii w Lutomerzycach, to lipową aleją dochodziło się do Traktu Kowieńskiego, jednej z najstarszych bitych dróg w Królestwie. Jadąc na północ, można nim było dotrzeć przez Zegrze, Serock, a potem przez Łomżę, Kowno, Łotwę i Estonię aż do samego Sankt Petersburga. A na południe jadąc, dojeżdżało się do Warszawy, która dla Zofii wydawała się bramą do całej Europy, bo miała dworzec kolejowy, skąd można było się udać, gdzie kto chciał.

*

Panna Agnieszka Grabarczyk przemierzała się Traktem Kowieńskim, nie zdając sobie sprawy z jego nazwy i starożytności pochodzenia. Siedziała koło Kostka Przywary w jego nowej hybrydowej toyocie z miną odrobinę nadętą. Stała się taka na widok różowawej szminki do ust, należącej najwidoczniej do żony Kostka, a spoczywającej sobie jak gdyby nigdy nic w samochodowym schowku od strony pasażera.

Sprawa żony irytowała Agnieszkę w stopniu najwyższym. Kiedy ma się męża na stanowisku, zasobnego finansowo, to należy o niego dbać. Zośka, zdaniem Agnieszki, nie dbała o Kostka wystarczająco. Najwidoczniej też nie stać jej było na wytyczenie sobie sensownej życiowej drogi. Temu jednak Agnieszka nie dziwiła się w ogóle. Co o sensownej drodze może wiedzieć ktoś, kto został nauczycielem?! No, święci pańscy! Nikt w miarę inteligentny nie zdecyduje się na taki zawód! Miała więc Agnieszka nad Zośką niewątpliwą przewagę intelektualną, była młodsza, ładniejsza, prężniejsza życiowo. Czego zatem ten głupek jeszcze chce?

Zerknęła na Kostka, a on na nią, więc uśmiechnęła się do niego najczulej, jak tylko potrafiła.

– Zaraz będziemy na miejscu. – Odwzajemnił uśmiech.

Agnieszkę zzerła ciekawość, bo o domu letniskowym szefa, położonym na wysokiej skarpie nad Zalewem Zegrzyńskim, krążyły pełne podziwu wieści. Teraz, na początku stycznia, teren z budynkiem pewnie nie wyglądał tak pięknie jak latem, ale Agnieszka i tak postanowiła rozejrzeć się po włościach, które kiedyś muszą należeć do niej. Dotąd wierciła dziurę w brzuchu Kostkowi, aż zgodził się ją tu przywieźć.

Dojechali. Furtka w murku, za nią duży trawnik do koszenia i dom. Poczowała zawód. Szary, z łupkowym prostym dachem, który podobno jest drogi jak jasna cholera, ale nieefektowny. Kostek siłował się z zacinającym się zamkiem u drzwi, a Agnieszka poszła na tyły domu. Trochę drzew. Na pewno strasznie śmiecą liśćmi jesienią i zasłaniają słońce. Trzeba będzie namówić Kostka, żeby je wyciął. Widok na zalew faktycznie ładny. Tylko te chaszczki poniżej. Latem musi tu być strasznie dużo komarów!

Kostek uporał się z zamkiem, więc i Agnieszka weszła za nim do domu.

– Obejrzałaś już sobie otoczenie?! – zawołał do niej z pomieszczenia, w którym przestawiał ogrzewanie na wyższą temperaturę. – Pięknie tu, prawda?

– Jak w raju. – Uśmiechnęła się do niego słodko, odnalazła kuchnię i zaczęła wypakowywać jedzenie z koszyka.

Wszystko nabyła w odkrytej już jakiś czas temu knajpce Wiem, co Zjem. Knajpka przygotowywała rzeczy proste i oryginalne, nadające się na wynos. Agnieszka często z niej korzystała. Teraz rozpakowała kanapki i zagotowała wodę na herbatę. Wybrała takie, które powinny smakować Konstantemu: z pieczonym schabem, cienkimi plasterkami ogórka kiszzonego i konfiturą z czerwonej cebuli¹⁷.

¹⁷ Agnieszka nie miała pojęcia, jak się przygotowuje ten rewelacyjny dodatek do kanapek czy mięs, ale autorka zdradzi tę tajemnicę czytelnikom. Kilogram czerwonej cebuli kroimy w piórka i smażymy na oliwie, cały czas mieszając. Potem dodajemy do smaku sól i pieprz, może być także tymianek, czosnek, liście laurowe, nawet cynamon. Kiedy cebula zmięknie, dokładamy 3 łyżki miodu i 6 łyżek octu balsamicznego. Smażymy, aż wszystko zgęstnieje. Słoiczki z konfiturą trzymamy krótko w lodówce lub pasteryzujemy.

– Pycha! – pochwalił ją z ustami wypchanymi po brzegi jedzeniem.

– Nie... – Chciała powiedzieć: nie mów, kiedy jesz, ale przypomniało jej się, jak opowiadał, że Zośka często go sztorcowała. – Nieprawdaż? Taka prosta rzecz, a jaka smaczna.

– Jesteś doskonałą kucharką!

O, matko! Też ci komplement! Ale cierpliwości. Niech no on tylko załatwi rozwód i ożeni się z nią, to wtedy będzie można zacząć tresurę.

– Dla ciebie wszystko. A ty dla mnie? – Cholera jasna! Znowu to kłopotliwe milczenie. Zapłacisz mi za to, mój miły panie! – Przytul mnie...

Agnieszka miała swoje sposoby, by rozgrzać mężczyznę do czerwoności, i korzystała z nich obficie w związku z Kostkiem. Lubiała obserwować, jak z rozsądnego, trochę nudnego faceta przemienia się w niepanującego nad sobą sztubaka.

– Bądź ze mną, tylko ze mną – dyszała mu w ucho w chwili największej namiętności. – Będziesz?

– Tak, najdroższa, tylko z tobą!

Kostek obietnicę składał w stanie częściowego władania wolą i umysłem, ale Agnieszka wiedziała, że będzie o niej pamiętać. Wprawdzie nie był jeszcze gotów jej dotrzymać, ale nad tym to już ona popracuje.

*

W Warszawie późną jesienią tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku buzowało. Postępowe towarzystwo siedziało w salonie pani Żmichowskiej. Mieścił się on przy jednej z zacisznych uliczek Śródmieścia i niemal każdy mógł go odwiedzić. Narcyza Żmichowska była już co prawda osobą mocno wiekową, ale chętnie odwiedzali ją młodzi.

– Staliśmy niedaleko figury Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu – opowiadał ubogo odziany młodzieniec o wydarzeniach sprzed kilkunastu miesięcy. – Majewski organizował tam zwykle śpiewy patriotyczne. Naraz spod budynku poczty przy Trębackiej wyjechała karetka pocztowa. O tej godzinie, to chyba do Lublina. Pocztylion zagrał na trąbce *Jeszcze Polska nie zginęła*. To się wtedy całkiem często zdarzało. Lud pobiegł za karetką na plac Zamkowy, a tam czekało już carskie wojsko. Najpierw tylko nacierało końmi, płazowało ludzi szablami, ale oni tu ustąpiwszy, gdzie indziej nacierali. Aż padła komenda: pal! Gruchnęła salwa, lecz tłum się nie rozproszył, jak to zwykle w takich razach bywa, tylko szedł bezbronny na to wojsko w jakimś świętym uniesieniu.

Panna Dominique Dulpy, która zwykle na spotkaniach kursów dla kobiet nazywanych pogadankami pedagogicznymi siedziała za fortepianem, przejęta słuchała tej opowieści.

– Trup padał gęsto – opowiadał dalej młody człowiek. – Jedni szli, nie zważając na zabitych, naprzeciw tych salw, inni opadli na klęczki i śpiewając: „Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami”, czekali na swoją kulę. A na przedzie szedł Nowakowski, niosąc krzyż.

– Z których to Nowakowskich? – spytała jedna ze słuchaczek.

– Chyba z żadnych – odpowiedział jej z uśmiechem młodzian. – Student ubogi ze Szkoły Sztuk Pięknych. On często demonstracje urządzał.

– I co było dalej? – ponagliła go sama pani Narcyza Żmichowska. Z racji wieku i zajmowanego stanowiska na takie demonstracje nie chodziła, ale bardzo ją interesowały.

– Szarża kozacka obaliła go. Krzyk się podniósł wielki, bo to sam Pan Jezus mógł być rozniesiony w strzępy przez kopyta kozackich koni. Wtedy Żyd jeden, student, Lande się nazywał, podniósł krzyż i ruszył naprzód. I w tej samej chwili salwa kozacka rozerwała mu piersi!

– Patrzcie, Żyd, a na ratunek Krzyżowi Świętemu poszedł – szeptali jedni.

– Zginał, bo parszywymi łapami ważył się dotknąć Świętego Krzyża – mruzcili pod nosem inni, ale ci byli w mniejszości.

– I dopiero wtedy ruszyła bitka na całego. Młodzież rzuciła się na wroga, za jedyne uzbrojenie mając tylko jakieś drągi, kije, szczapy. Rwali bruk, rzucali w kozactwo kamieniami. Kobiety sypały piaskiem po oczach oficerom. Ze wszystkich stron zaś nadciągały następne posiłki wojsk carskich.

Opowiadający zamilkł, westchnął ciężko i widać międlął w głowie wspomnienia, nie bardzo wiedząc, jak kontynuować swoją relację.

– No i? – Ktoś spróbował go ponaglić.

– Wiadomo, jak się musiała skończyć walka bezbronnych z kozactwem uzbrojonym w karabiny i bagnety. – Młody człowiek bezradnie rozłożył ręce. – Komunikat rządowy mówił o dziesięciu zabitych, ale oni dobrze wiedzą, że była ich ponad setka. Miał tę świadomość Górczakow, namiestnik na całe Królestwo Polskie, bo podobno stał w oknie Zamku Królewskiego i obserwował te wydarzenia. Za to kłamstwo Bóg go pokarał, bo zmarł niedługo.

Panna Dominique pomyślała sobie, że jeszcze bardziej pokarał Polaków, bo z Górczakowem można się było jakoś dogadać. Po nim car Aleksander

II mianował na namiestnika Nikołaja Suchozanetowa, który wprowadził terror, a niedługo potem powołał na to stanowisko hrabiego Karola Lamberta. Ten zafundował krajowi stan wojenny. Teraz został nim książę Konstanty brat samego cara.

Tymczasem słuchacze zaczęli się rozchodzić. Dominique także rozejrzała się za swoimi rękawiczkami i woreczkiem z kluczami i sakiewką.

– Zostań jeszcze chwilę, kochana. – Pani Narcyza spoglądała ku niej z widoczną troską. – Opowiedz, co się u ciebie dzieje. Jakoś mam wrażenie, że unikasz mnie ostatnimi czasy.

Dominique zaczerwieniła się gwałtownie.

– Wiesz przecież, że przez pamięć dla twojej matki zawsze masz we mnie wierną przyjaciółkę, gotową pomóc w każdej sytuacji – nalegała Żmichowska.

– To sytuacja dla mnie tak kłopotliwa, że aż trudno się do niej przyznać – zaczęła dziewczyna.

– Cóż ty możesz wiedzieć, moja droga, o sytuacjach, do których trudno się przyznać – westchnęła pani Narcyza.

Była już starą kobietą, otoczoną szacunkiem, który zdobyła ciężką pracą. To, co działo się w jej sercu, zawsze musiała głęboko skrywać, bo u większości nie znalazłaby żadnej tolerancji. Oprócz paru kobiet. Należała do nich matka Dominique. Spotkały się wiele lat temu, kiedy Narcyza, młoda dziewczyna, wyjechała do Paryża, towarzysząc rodzinie hrabiów Zamoyskich jako guwernantka. Studiowała tam, chodziła na wykłady Akademii Francuskiej i na jednym z nich spotkała Annabelle. O, jakże stosowne było to imię! Annabelle była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek Narcyza widziała. A Dominique była do niej nadzwyczaj podobna.

Dominique milczała, więc pani Narcyza próbowała ją ośmielić.

– Powiedz mi szczerze, co się stało. Przecież wiesz, że przez bardzo różne koleje życia przechodziłam, dlatego nic mnie nie zaskoczy i zrozumieć wszystko.

Wtedy Dominique opowiedziała jej o natarczywej miłości pana Lutomierskiego, o postawie przełożonej pensji, o tym, że wynajmuje teraz nędzny pokój na Powiślu i zarabia korepetycjami, ale trudno się z tego utrzymać, a jej kapitałik topnieje w zastraszającym tempie.

– Zwyczajny kobiecy los – powiedziała Żmichowska i poklepała ją delikatnie po ręce. – Ale spróbujemy coś na to zaradzić. Z twoją francuszczyzną i kwalifikacjami nie powinno to być trudne.

Pani Narcyza miała bardzo rozległe kontakty. Znały i szanowały ją wszystkie bardziej postępowe rodziny, a inne ze zgrozą powtarzały sobie plotki o tym, że marzy jej się, by kobiety miały takie same prawa jak mężczyźni. Czasem jeszcze gorzej o niej mówiono i to były takie rzeczy, że nie godzi się o nich wspominać. W każdym razie państwo Morawscy spod Pruszkowa należeli do tych postępowych i tam trafiła Dominique w charakterze damy do towarzystwa młodziuteńkiej pani Eweliny Morawskiej. Po prawdzie to postępową była tylko pani Morawska, bo jej mąż, grubo od niej starszy, tak był zajęty prowadzeniem ogromnego gospodarstwa sadowniczego, że nie miał czasu na żadne poglądy. Poza jabłkami zajmował się jedynie uwielbieniem swojej żony, co było zajęciem dosyć męczącym, zważywszy jej temperament. Z Dominique pani Ewelina porozumiała się szybko i serdecznie. Wszystko więc układało się nad wyraz pomyślnie, z wyjątkiem faktu, że zbliżał się rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci.

Rozdział 10

– Ja tego już dłużej nie mogę znieść! – Agata z rozmachem przysunęła krzesło i usiadła do niedzielnego śniadania, demonstracyjnie opierając się o stół łokciami.

Zośka postawiła na stole dzbanek z wodą doprawioną plasterkami pomarańczy, cytryny, listkiem świeżej bazylii i odrobiną startego imbiru. Reszta była już gotowa.

– Czego nie możesz znieść, córeczko? – spytała, udając całkowitą nieświadomość ewentualnych przyczyn, ale cała drżała z niepokoju. Usiadła i by się uspokoić, delikatnie ostukiwała łyżeczką czubek jajka na miękko. Zerknęła na Konstantego. Na twarz wypłynął mu rumieniec.

– Ano właśnie tego! – odpowiedziało jej dziecko stanowczo zbyt głośno. – Niby nic się nie dzieje, tak? Wszystko w porządku, tak? Tylko atmosfera tu taka nabuzowana, że strach! Nie odzywacie się do siebie z ojcem, a mnie traktujecie, jakbym była psycholem, którego nie można drażnić!

– Naprawdę przesadzasz, kochanie. – Kostek udawał, że zupełnie spokojnie nakłada sobie na talerz plasterki pomidora i awokado. – Może to matura tak cię denerwuje?

Agata spojrzała na ojca zwięzonymi ze złości oczami.

– Idziecie w zaparte? Tak? To spytam wprost: które z was jest chore? I na co? Raczysko? Mam prawo wiedzieć!

– To nie tak! – wyrwało się Zośce, bo ogarnęła ją fala współczucia. Biedne dziecko... To takich strasznych rzeczy się domyśla?

– Nie tak? Więc jak? Bo coś jest na rzeczy!

– Nie będziemy rozmawiać podniesionym tonem. – Współczucie współczuciem, ale takiego sposobu prowadzenia rozmowy przy śniadaniu tolerować nie mogła.

– Dobrze, ale porozmawiajmy.

Zośka spojrzała niepewnie na Konstantego. Jej mąż niezwykle starannie smarował kromkę chleba masłem. Nie odzywał się.

– Tato?

Cisnął nożem, wstał i wyszedł.

– Mamo, proszę...

– Nie wiedziałam, jak mam się zachować – zwierzała się później Zośka imienniczce, siedząc przed lustrem starej toaletki. – Ale wyobraź sobie, że

Konstanty wrócił i przyznał się.

– Chyba nie taki zły ten twój Konstanty. – Pani Lutomierska westchnęła, najwyraźniej myśląc o czymś zupełnie innym.

– Nie taki zły? – zaperzyła się Zośka. – Kłamał i usprawiedliwiał się, jak mógł. To nic nie znaczy, mówił, to nie jest dla mnie ważna sprawa. Wy jesteście ważne. Tak mówił. Ale to przecież nieprawda! Gdyby tak było, to on nigdy...

Z tyłu, gdzieś w głębi dworu trzasnęły drzwi. Zofia drgnęła nerwowo. Obejrzała się za siebie, ale nie wstała od toaletki. Widocznie dobrze wiedziała, co się tam stało, i nie zamierzała reagować. Międlila tylko nerwowo w dłoniach chusteczkę. Milczała, ale wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

Zośka zamilkła. Miała dziwne wrażenie, że tam, po drugiej stronie lustra rozgrywają się rzeczy, przy których jej zmartwienia są nieistotnymi błahostkami. Zrobiło się ciemno. Wstała, by zapalić światło, i zerknęła przez okno. Śnieg walił z nieba gęstymi, grubymi płatkami migającymi w świetle neonów i ulicznych latarni.

Matko Boska! Koniec stycznia! Toż tam już wybuchło powstanie!

– Co się dzieje? Co się u was dzieje? – Nagle zapomniała o swoich problemach. Zofia i jej świat stały się jej już bardzo bliskie.

Lutomierska sięgnęła po ulotkę leżącą na toalecie i zaczęła czytać:

– „Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa...”. Kazimierz właśnie wyjechał do powstania. Niemal bez pożegnania, zapatrzony w te swoje wzniosłe idee nie widzi, że ktoś może się martwić, chciałby pomóc. – Zofia otarła łzę chusteczką ozdobioną wymyślną koronką.

– Jak to bez pożegnania?

– On lepiej wie, co myślę i co czuję. – W głosie pani Lutomierskiej gorzycz mieszała się z ironią. – Doszedł do wniosku, że nie jestem zdolna do żadnych podniosłych uczuć, że nie wiem, co to patriotyzm. Nie ma sensu ze mną rozmawiać, nie pojmę rzeczy choćby ociupinę bardziej skomplikowanej niż przepis na konfitury. A tymczasem to ta jego romantyczna egzaltacja zabijała wszystko co dobre w naszym zwykłym życiu. Nic dla niego nie było wystarczająco wzniosłe, nic warte jego uwagi.

A życie przecież wymaga mrówczego starania o rzeczy wydawałoby się drobne: wychowania dzieci, dbania o dom, majątek. – Coś widocznie zaniepokoiło ją, bo wyjrzała przez okno, ale chyba nic tam nie zobaczyła, bo wróciła przed lustro. – Co się dzieje z chłopcami, nie wiem – mówiła dalej. – Obaj są chyba w Warszawie. Mieli wrócić wczoraj, ale nie wrócili. Zosiu! Tak się o nich martwię!

Zamilkła na chwilę. Drzwi do jej sypialni uchylły się nieco.

– Mamo...

Zofia odwróciła się gwałtownie i wstała. Do sypialni wszedł chłopak, a w zasadzie już młody mężczyzna.

– Gustaw! Skąd się wziąłeś? Tak po cichu zajechałeś! Jakim cudem nikt cię nie zobaczył?

Zośka przez ramę lustra przyglądała się wysokiemu, blademu młodzieńcowi. Usta okalały mu delikatny wąs i krótko przycięta broda. Był po chłopięcemu chudy, a w oczach czaiła się romantyczna melancholia. Chyba jej nie widział. W buduarze Zofii musiało być ciepło, bo zdjął czamare i rzucił ją na krzesło, na którym niedawno siedziała jego matka.

– Mamo, pomóż mi.

– Jak? Co mogę zrobić? – zdążyła spytać Zofia, kiedy na podjeździe pokazali się konni z pochodniami. Obcy byli, bo psy rozjazgotały się straszliwie.

– Żandarmi! – zawołał przerażony Gustaw. – Nie mogą mnie tu znaleźć.

Już chciał rzucić się do okna, uciekać, kiedy matka go zatrzymała.

– Załóż tę suknię! – Wyciągnęła z szafy coś błękitnego i niesłychanie falbaniastego. – Ogol się i siedź na fotelu. Pod żadnym pretekstem nie wstawaj! Jesteś trochę za wysoki na kobietę. Czepek załóż! – Jeszcze tylko skoczyła do pokoju męża po brzytwę i pędzel i już musiała biec, bo słychać było łomot do drzwi. – Otwieraj, Marcelinko, otwieraj – słychać było tylko jej oddalający się głos.

Tymczasem młody człowiek usiadł na miejscu, które zwykle zajmowała Zofia. Wymieszał w miseczce mydło i wyostrzył o przytrzymywany zębami pasek brzytwę. Zośka po drugiej stronie lustra umknęła i schowała się za skrzydło toaletki, ale nie mogła się powstrzymać, by nie podglądać tego, co się wydarzy. Czy Gustaw zobaczy przez lustro jej pokój tak, jak ona sypialnię Zofii? Chyba nie. Może zdenerwowany nie zwrócił na nic uwagi,

bo Zośka widziała w jednym skrzydle, jak uważnie się sobie przygląda, mydli twarz i goli zarost.

– Prosić wszystkich domowników do salonu! – Z głębi domu aż tu dobiegł głos dowódcy oddziału kozaków.

– Oczywiście, oczywiście! – Zofia mówiła głośno, prawie krzyczała. – Tylko siostrzenica nogę zwichnęła i tu dojsć nie może. W sypialni biedaczka leży z okładami na kostce.

Gustaw już wiedział, co ma robić. Błękitna, falbaniasta suknia nie była potrzebna. I tak chyba nie poradziłby sobie z wciągnięciem tego na grzbiet. Wrzucił ją więc do szafy, a sam założył matczyną koszulę i wsunął się pod kołdrę. Poczul się tu bezpiecznie. W dzieciństwie tak lubił wieczorem przychodzić do rodzicielki. Teraz otulił go ten sam zapach.

Rozległ się trzask otwieranych gwałtownie drzwi. Gustaw podciągnął pod brodę kołdrę. Czepek przesunął mu się na lewe ucho. Aż zaczerwienił się na myśl, jak idiotycznie musi wyglądać. W drzwiach stanął krępy, ale mocno zbudowany kozak w czarnej papasze i szynelu sięgającym kolan. Za nim wsunęła się do pokoju matka, by nie pozwolić wejść innym Rosjanom.

– Mówiłam, że siostrzenica ze zwichniętą nogą w łóżku leży – mówiła zdenerwowana. – Jak tak można...

Zofia najpierw zadowolona była z aktorskich umiejętności Gustawa. Wyglądał rzeczywiście na wystraszoną dziewczynę, ale chwilę potem wzrok jej padł na jego ręce. Dłonie miał Gustaw duże, pokryte siatką grubych żył, brud za paznokciami. Z rękawów koszuli wyłaniały się ramiona pokryte jasnym gęstym owłosieniem. Podeszła szybko do syna. Poprawiła mu poduszkę i kołdrę.

– Schowaj ręce – szepnęła.

– Hę? – zaniepokoił się dowódca. – Co za szepty? Co ona ma pod kołdrą?

– Nic! Klnę się na Boga! – zawołała gospodyni. – Nie będziesz pan, panie oficerze, przecież dziewczynie pod kołdrę zaglądał!

– Ja? Nie! Sama mi pokaże – odpowiedział kozak, rechocząc. – No, panienko, wstań.

– Jak pan śmie! Nie pozwolę na takie rzeczy w moim domu! – Lutomierska własnym ciałem osłoniła łóżko, w którym leżał Gustaw.

– Jeśliby cioteczka zechciała podsunąć mi tu fotelik, to ja wstanę – szepnęła Gustaw stosownie zboliałym głosem. – I peniuar...

Zofia pomogła mu przenieść się na fotel tylko po to, by przesłonić jego widok żandarmom, a potem troskliwie okryła zbyt długie nogi szydełkową kapą.

– Czego wy tak szukacie? – dopytywała.

– Bandyty – odpowiedział dowódca kozaków, patrząc na nią groźnie.

– W łóżku mojej siostrzenicy!?

Kozak chyba wreszcie zorientował się, że trochę przeholował, bo odrobinę łagodniejszym tonem zaczął tłumaczyć:

– Jechaliśmy za nim od Warszawy w nadziei, że doprowadzi nas do swoich kamratów, ale zniknął gdzieś w okolicznych lasach.

– Sami widzicie, że nikogo obcego nie ma we dworze! – Zofia powoli zaczęła odzyskiwać rezon.

Kozak przez chwilę kiwał głową niezdecydowany, ale potem chyba przyszło mu coś do łba, bo wrzasnął do podwładnych:

– Wszystkie zabudowania gumna przetrząsnąć!

Kozacy stojący do tej pory w progu sypialni natychmiast rozpierzchli się, wskoczyli na konie i zaraz doszły ich odgłosy tumultu z czworaków, obór i stajni. Dowódca podszedł do okna, ale drzewa parku przesłaniały mu widok, odwrócił się więc do pani Zofii.

– Gdzieś tu musi być – powiedział groźnie. – I ja go znajdę!

Siedząca po drugiej stronie lustra przerażona Zośka nie mogła już zobaczyć, jak oddział kozacki opuścił Lutomerzyce, a dowódca wybąkał na odjezdnym jakieś niezręczne słowa przeprosin. Nie widziała też, że zaraz potem w salonie Gustaw musiał się gęsto spowiadać matce, siostrom i reszcie domowników.

– Dostałem zadanie, by broń, którą w tajemnicy przed zaborcą wyprodukowali warszawscy rzemieślnicy, dostarczyć do oddziałów Padlewskiego¹⁸ pod Płock. Ale jechali za mną. Zorientowałem się i wjechałem w puszcę tą drogą koło Dziekanowa, a potem do Palmir. Tam udało mi się ich zgubić. Wyprzągłem konia, wóz ukryłem w gąszczu i przyjechałem po pomoc.

¹⁸ Zygmunt Padlewski – naczelnik wojenny województwa płockiego podczas powstania styczniowego

– Ja tego Padlewskiego znam – przypomniała sobie Waleria Adamowa Lutomierska, której nikt w tym domu nie ośmielił się poufale nazywać

babunią. – Spotkałam go kiedyś w Kondrajcu u Ojrzanowskich. On podobno z Potockimi spokrewniony.

– A teraz wyznaczyli go na dowódcę nad całym Mazowszem. Póki...

– A to znaczy, że ja z dziewczynkami muszę złożyć wizytę w Kondrajcu – przerwała Gustawowi starsza pani. – Drzewo do kominków się kończy, niech Franciszek zarządzi jutro wyjazd do lasu. Gustaw parobków dopilnuje.

– Trzeba zaufanych jakichś dobrać. – Pan Franciszek, daleki krewny Zofii, mieszkał we dworze niby na łaskawym chlebie, ale jego pomoc przyczyniała majątkowi okazałych zysków. Lutomierska hodowla koni, która jego głową i staraniem szła, sławna była wśród warszawskiej arystokracji i bogatego mieszczaństwa. Łebski był to człowiek i teraz też domyślił się, o co chodzi pani Adamowej.

– Ja byłabym ostrożna – wyraziła swoje wątpliwości Zofia. – A jeśli gdzieś tam postawiony jest jakiś kozak, by obserwował, co się u nas dzieje? Jeśli każe zrewidować powóz? Bo rozumiem, że chcecie, matko, tę broń do Kondrajca dowieźć.

Pani Adamowa spojrzała na synową chmurnie.

– A ty zawsze swoje! Ostrożność tchórzem podszyta! Ale niech ci będzie. Najpierw wyjedzie Gustaw ze swoją furką. Pociągnie żandarma, jeśli jaki będzie na niego czekał, w las, a my z dziewczynkami spokojnie głównym traktem sobie pojedziemy i zawieziemy, co trzeba.

Zofia już nie odważyła się oponować dłużej, a obie dziewczynki tylko ręce sobie nawzajem ścisnęły z wielkiej emocji. Taka przygoda! A i czyn patriotyczny wielki! Gdyby tylko wypadało, z piskiem rzuciłyby się sobie w ramiona z wielkiej uciechy.

Rozdział 11

Zofia nie wiedziała jeszcze, że powinna martwić się także losem swojego starszego syna. Mimo że wielu młodych uciekło już z miast do lasu, by tam wstąpić do partyzanckich partii, to Antoni wciąż tkwił w Warszawie. Trzymała go tu konspiracyjna robota, bo młody Lutomierski ze swoim prawniczym wykształceniem był potrzebny w pracach Tymczasowego Rządu Narodowego kierującego powstaniem. Trzeba było przecież stworzyć całą administrację, ustalić zasady pobierania podatków, działania tajnej poczty, wydawania informacyjnych biuletynów. Roboty było huk, więc Antoni dwoił się i troił. Zasużył sobie tym na uznanie samego Stefana Bobrowskiego, który podczas przeciągającej się nieobecności generała Ludwika Mierosławskiego, powołanego na dyktatora powstania, próbował kierować wydarzeniami. Bobrowski był to człowiek niespożytej energii, ale wąskiego ciała. Przez grube szkła okularów nie widział dalej niż na półtora metra.

Kiedy Gustaw umykał przed kozackim patrolem na furmance wypełnionej bronią, Antoni ze swoim zwierzchnikiem kończyli redagowanie kolejnego artykułu tłumaczącego szlachcie konieczność uwłaszczenia chłopów, bo tylko to mogło ich przyciągnąć do powstania.

– Zanieść go trzeba do drukarni jak najszybciej, to może zdążą jeszcze dołączyć do najnowszego numeru „Niepodległości” – nakazał mu Bobrowski.

– Zaniosę, nie martw się.

W tych dniach w Warszawie posłuszny caratowi „Dziennik Powszechny” ukazywał się z najwyższym trudem, co było niezwykle. Żadna drukarnia nie chciała go wydawać. W końcu rosyjski rząd jeden z takich zakładów musiał kupić na własność i siłą przetrzymywał tam zecerów. A drukowana potajemnie powstańcza gazeta „Niepodległość” wychodziła regularnie, na dobrym papierze i złożona z ładnych czcionek. Tak samo wydawano codzienne rozkazy polskiego rządu, rozwieszane potem na płotach stolicy i mazowieckich miast.

Nie było to jednak zadanie łatwe ani bezpieczne. W mieście czuło się stan oblężenia. Wojsko obsadziło rogatki, na niektórych stały nawet armaty. Brzegi Wisły obstawiono posterunkami policji. Kozackie patrole krążyły po ulicach raz za razem. Co kilka dni zgarniano ludzi z Krakowskiego

Przedmieścia czy Nowego Świata, uprowadzano ich z omnibusów i kawiarni, rewidowano, sprawdzano papiery. Byle powód wystarczał, by znaleźć się w cytadeli.

Antoni był tego doskonale świadomy, kiedy znalazł się na Krakowskim Przedmieściu z niebezpiecznymi papierami za pazuchą paltota. Zaraz chciał skręcić w Trębacką, by dojść do teatru, bo tam w jego podziemiach znajdowała się niewielka drukarnia, oficjalnie wydająca tylko teatralne programy, ale w konspiracji drukująca także niektóre powstańcze pisma. Niby był luty, a pogoda listopadowa. Padała lodowata mżawka, więc Antoś postawił wysoko kołnierz palta i naciągnął na czoło cylinder. Nie rozglądał się wkoło i to był błąd. Niemal wpadł na patrol żandarmów.

– Aaaa! *Izwinitie!*¹⁹ – Uśmiechnął się szeroko, usiłując ich wyminąć. Nic z tego. Może przedobrzył? Ktoś widział w Warszawie człowieka, który uśmiecha się do żandarmów? Cholera! Cholera! Cholera! – Ja na Warecką... Tam poczta... Chciałem... Nie wiecie, panowie, jak dojść? Bo ja z Łomży, nietutejszy – łągał, zastanawiając się, co dalej ma robić.

¹⁹ Przepraszam (ros.).

– To z nami prosimy – odpowiedział mu dowodzący patrol.

Co było robić. Poszedł Antoni, ciągle grając nierozgarniętego prowincjusza, choć widział już, że wcale nie na Warecką się kierują, a na Bednarską, a tam, wiadomo, cyrkuł²⁰. Jeśli go zrewidują, to tiuma²¹ go czeka i podróż na Syberię. Teraz już bacznie się rozglądał, szukając jakiejś okazji, by pozbyć się kompromitujących papierów. A tu jak na złość na ulicach pustki!

²⁰ cyrkuł – tu: posterunek policji

²¹ tiuma – więzienie

Już czuł, że ogarnia go panika, kiedy zza rogu, niedaleko nowo otwartej Szkoły Głównej wyłoniła się panienka. Śliczna panienka. Ciemne oczy ocienione długimi rzęsami patrzyły łagodnie i niewinnie, usteczka maleńkie przypominały barwę wiśni, do tego lekki rumieniec. Wlepiły się w niego te oczy, a on nie pozostał dłużny i też zagapił się w nie z prośbą, błaganiem o pomoc. A potem wyjął z kieszeni chustkę, a razem z nią kompromitującą bumagę²² i wytarł starannie nos.

²² bumaga – papier, dokument

Upuścić to wszystko na ziemię czy nie upuścić? Przystanął na moment, zerknął na konwojujących go żandarmów i kucnął, by zawiązać

sznurowadło od trzewika. Jakoś nie mieli nic przeciwko temu. Panienska obserwowwała go nieznacznie, choć idąca za nią opiekunka ciągnęła ją w inną stronę. Zanim wstał i cokolwiek postanowił, panienska znalazła się tuż koło niego.

– Chustkę pan upuścił – powiedziała przecudnym głosem ze słodkim wschodnim zaśpiewem.

Wziął ją od niej. To była tylko chustka. Papier, przez który mógł trafić na Syberię, zniknął.

– Dziękuję – odpowiedział, a dziewczyna skinęła mu głową, rękę położyła na swojej kieszeni, odwróciła się i odeszła.

– Ach, jaka piękna panienska, a jaka uprzejma! – zachwycił się Antoni, dalej udając człowieka zupełnie niezdarzącego sobie sprawy z powagi sytuacji, w jakiej się znalazł, choć dochodzili już prawie do cyrkułu. Jednak zachwyt jego był szczery.

– Lubow Andriejewna Zamiatina jest córką lekarza pułku stacjonującego już od lat w Warszawie. Kto tylko był w naszym lazarecie, ten ją zna, bo niezmordowanie pomaga ojcu. Gdyby urodziła się chłopakiem, na pewno zostałaby lekarzem. – Wyższy i ważniejszy z żandarmów także oglądał się za dziewczyną z maślanym wzrokiem.

– Rosjanka? – Antoniemu trudno było ukryć zawód. Co ona zrobi z jego papierami? Pokaże ojcu? Dlaczego mu pomogła? A taka śliczna!

Tak go te myśli obsiadły, że przestał udawać prowincjonalnego idiotę i pozwolił zaprowadzić się na Bednarską. Oczywiście nic przy nim nie znaleziono i puszczono wolno, ale na wszelki wypadek Antek przez parę dni nie wrócił do maleńkiego mieszkania na Koziej, które wynajmował od kilku miesięcy.

*

Zośka ostatnio często siadała przed lustrem starej toaletki, ale jakoś nie mogła spotkać tam Zofii. Widać była bardzo zajęta. Rozpamiętywała więc swoją sytuację samotnie, raz rozpaczając po utraczonej miłości Konstantego, a raz gotując się w gniewie. Rozmyślała też o tym, jak ciężkie chwile musieli przeżywać jej przodkowie podczas powstania. Nie spodziewała się, że ją także czekają nowe kłopoty.

Po ostatniej rozmowie z Agatą wydawało się, że przynajmniej w jej sprawie wszystko jest w porządku. Dziecko uczyło się całymi dniami, bo

w szkole sprawdzian gonił test i klasówką poganiał. Jak to zwykle przed maturą bywa. Szkoła Agaty mieszcząca się przy Hożej z zewnątrz nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale miała swój klimat i trzymała poziom. To ostatnie liczyło się najbardziej w miarę zbliżania się matury. Ważne było także, że na korytarzach mogła natknąć się od czasu do czasu na Jakuba. Coś mu tam nie poszło, bo powtarzał rok, i Agata upatrywała w tym fakcie ingerencję palca bożego.

Zwróciła na niego uwagę dopiero podczas ostatnich wakacji na obozie językowym w Anglii. We wrześniu cieszyła się, że przed nimi cały rok. Przez ten czas te kilka miłych słów i romantyczny pożegnalny wieczór w Londynie mogły rozwinąć się w piękną znajomość, może nawet miłość. Tymczasem styczeń miał się ku końcowi, a Agata ciągle tylko rozglądała się stęsknionym wzrokiem po szkolnych korytarzach za wysoką sylwetką Jakuba, nasłuchiwała, czy skądś nie dobiegną wybuchy śmiechu i jego niski, melodyjny głos. Bo tam, gdzie był Kuba, tam był śmiech. On jednak zdawał się jej nie zauważać.

Pogoda była jak zwykle pod psem. Agata usiadła na parapecie okna. Chwilę pogapiła się na moknące w zimnym deszczu podwórko i dramatycznie wymachujący na wietrze konarami pozbawiony liści klon. W szkole panowało tego dnia dziwne podniecenie, ale Agata nie miała czasu, by się tym bliżej zainteresować. Westchnęła ciężko i wróciła do zakuwania słówek oraz nowych konstrukcji z hiszpańskiego.

– Jednak języki? – usłyszała tuż obok.

Zanim zdążyła o czymkolwiek pomyśleć, podniosła uszczęśliwiony wzrok na siadającego obok niej chłopaka. Bo to był Jakub! Podszedł do niej! Chciał z nią rozmawiać! Doczekała się wreszcie!

– Języki mają przyszłość – odpowiedziała mało oryginalnie.

Popatrzył na nią z uśmiechem i jakoś mu ten brak oryginalności nie przeszkadzał.

– No, no. – Pokręcił głową z uznaniem. – W wakacje szlifowałaś angielski w Londynie, w wolnym czasie zaprzyjaźniałaś się z kudłatą Francuzką, by pogadać w jej języku, a tu widzę hiszpański. To już wszystko czy jeszcze coś?

– Nie, to już wszystko. Na razie – odpowiedziała, wpatrując się w niego wzrokiem, z którego mógłby wyczytać wiele obietnic i zachwyty. Gdyby chciał.

I chyba chciał, bo dotknął krótkim, ale czułym gestem jej policzka. Zaczerwieniła się.

– Muszę mieć przecież czas na jakieś przyjemności. Kino na przykład – dodała, mając nadzieję, że skorzysta z okazji i może coś zaproponuje.

Wtedy zadzwonił dzwonek.

– Masz rozpięty plecak – powiedział i pochylił się nad nim. Pomajstrował przy sprzączkach, a potem podał jej go z uśmiechem i odszedł.

Odprowadzała go wzrokiem z lekkim zawodem – poszedł sobie... Ale i szczęściem w duszy. Odezwał się do niej, pierwszy podszedł! Teraz i ona będzie mogła tak zupełnie normalnie zamienić z nim kilka słów. A kto wie, może on kiedyś skorzysta z podsuniętej mu okazji i zaprosi ją do kina albo gdzieś indziej? Agata była zbyt nieśmiała, by sama mu coś zaproponować.

Hiszpanka, wysoka, żyłasta kobieta lat chyba ze sto, najwyraźniej zapomniała o zapowiadanej klasówce. Puściła na ekranie fragment książki Paulo Coelho, za co Agata ją znieubiła jeszcze bardziej, i kazała tłumaczyć, zwracając uwagę na grę słów i zastosowane wieloznaczności. Ćwiczenia językowe były spoko. Nauczycielka jednak sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała.

I rzeczywiście. Nie minęła jeszcze połowa lekcji, kiedy do klasy wparowało dwóch policjantów i pies.

– Kolejna prelekcja? Wolałabym, żeby nam tego oszczędzili przed samą maturą – szepnęła Agata do Kaśki Mąkosy, z którą siedziała od zawsze w jednej ławce.

– Nie słyszałaś? – odszepnęła jej koleżanka. – Ktoś w naszej szkole rozprowadza narkotyki. Pewnie to dlatego.

Policjantka najpierw poleciła im dla formalności sprawdzenie, czy torby i plecaki stojące przy ławkach są ich własnością.

– A czyją mają być? – burknęła pod nosem Agata, zła na takie marnowanie czasu.

Potem funkcjonariusz z psem powoli przechadzali się między ławkami. Piesek był grzeczny i sumiennie obwąchiwał plecaki. Agaty też obadał, a potem usiadł obok i zadowolony zamachał ogonem, froterując nim podniszczoną podłogę.

– To twój plecak? – zwrócił się do Agaty policjant.

– Tak – odpowiedziała, czerwieniąc się gwałtownie, bo zdała sobie sprawę, że Hiszpanka i cała klasa wpatrują się w nią intensywnie. Bardzo

powoli zaczęło do niej docierać, że coś tu jest strasznie nie w porządku.

– Wyjmij zawartość na ławkę.

Zacząła wyklądać: książki, zeszyty, pudełko z niezjedzonym do końca śniadaniem, podpaski, portfel ze szkolną legitymacją i kartą miejską oraz dziwną paczkę ciasno zamotaną folią. Wszyscy przyglądali jej się tak intensywnie, jakby miała zamiar z własnego plecaka wyjąć minę przeciwpiechotną albo zmumifikowaną głowę południowoamerykańskiego Indianina.

– Czy to twoje? – zapytał policjant, unosząc tę właśnie paczkę.

Zdobyła się tylko na zaprzeczający ruch głową. W oczach zbierały jej się łzy.

„Masz rozpięty plecak”, brzmiały jej w uszach słowa Kuby. Nie, to niemożliwe, skarciła się zaraz potem w myślach. Niemożliwe!

– Chyba powinniśmy porozmawiać – powiedział policjant i gestem wskazał, że ma pójść za nim.

Wyszli z klasy, odprowadzani żądnym sensacji wzrokiem koleżanek i kolegów.

– Więc powiadasz, że to nie twoje. – Dyrektor Hanna Kuska uniosła wysoko precyzyjnie wydepilowane brwi i zmrużyła w niedowierzaniu nie mniej starannie zrobione oczy.

Agata w milczeniu wykonała niedookreślony ruch głową, który jednocześnie miał oznaczać: tak, tak właśnie twierdzi, i nie, to nie jej.

Dyrektor teatralnym gestem uniosła ramiona i omiotła wzrokiem swój dostojny gabinet, jakby wzywała na świadków swej anielskiej cierpliwości półki zastawione kolorowymi teczkami i książkami z tytułami nobilitującymi rezydującą tu osobę. *Nadzór pedagogiczny, Monitor dyrektora szkoły, Zarządzanie szkołą* – krzyczały tytuły i wpływały na Agatę deprymująco. Czowała się nadzorowana, monitorowana i zarządzona. Polegało to na tym, że musiała poddać się wszechstronnej indagacji dokonywanej przez szanowne grono pedagogiczne w osobach dyrektor Kuski, jej zastępczyni Joanny Chrobak, szkolnej pedagog Krystyny Nowaczyńskiej, niecierpliwie i szeptem dopytującej się, co się właściwie stało, i wychowawczyni Dzesiki. Jedynie Dzesika patrzyła na Agatę autentycznie zmartwionym wzrokiem.

– No więc? – dopytywała dyrektor Kuska. – Oczywiście nie jesteś winna, a to jest tylko naszą fantazją i omamem. – Tak ironizując, wskazała na

leżącą na jej biurku paczkę z marihuaną, ostateczny i bezapelacyjny dowód winy Agaty.

– Skąd to wzięłaś? – włączyła się w śledztwo pedagog Krystyna Nowaczyńska tonem osobistej urazy.

Agata nie dziwiła się temu niezadowoleniu, bo głównym zadaniem, jakie postawiła sobie ich szkolna pedagożka, było zohydzenie społeczności szkolnej narkotyków. A tu masz babo placek!

– Nie wiem – odważyła się wreszcie odezwać i rozpląkała się rzewnie. Bo przecież wiedziała, tylko czy na pewno?

– Agatko, powiedz nam, co robiłaś na przerwie? – Dżesika ani przez chwilę nie wierzyła, by to Przywarówna była osobą rozprawdzającą narkotyki w szkole. Nie sądziła też, by w ogóle miała z tym procederem cokolwiek wspólnego.

– Uczyłam się hiszpańskiego.

– Gdzie?

– Siedziałam na parapecie, przy oknie naprzeciwko...

– Można im powtarzać setki razy, że nie wolno siadać na parapecie! Wystarczy, żeby ktoś popchnął, a szyba pójdzie i nieszczęście gotowe! – zdenerwowała się wice.

– To gdzie mają siadać? – zaperzyła się pedagożka. Widać nie od dziś był to między nimi temat zapalny.

– Drogie panie, doprawdy, może kiedy indziej – zaprowadziła porządek dyrektorka. – Ktoś do ciebie podszedł? Z kimś rozmawiałaś? – Dyrektor Hanna Kuska była zbyt wytrawnym pedagogiem, żeby nie zauważyć wyrazu popłochu, który mignął w oczach dziewczyny.

Agata pokiwała głową.

– Dziewczyno! Chyba zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji! – natarła ostro pedagożka. – Albo sama zajmujesz się tym potwornym procederem, albo chronisz groźnego przestępcę. Odpowiadaj na pytania! Tak czy owak...

Nikt nie zdążył się jednak dowiedzieć, jakie były owe dwie możliwości, bo drzwi gabinetu otworzyły się nagle i wszedł niewysoki mężczyzna o zmęczonych oczach, lekko posiwiałej głowie i z zaczątkiem piwnego brzuszka. Machnął przed dyrekcją policyjną legitymacją i przedstawił się:

– Inspektor Karol Karpiński z wydziału narkotykowego. Jest rodzic?

– Zawiadomiliśmy, już jedzie – pospieszyła z odpowiedzią dyrektor Chrobak.

– Gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– Tutaj, oczywiście, że tutaj. – Hanna Kuska poderwała się z krzesła i wyrzała do sekretariatu. – Jeszcze jedno krzesło poproszę.

– Za dużo nas tutaj. – Karpiński skrzywił się. Powiódł półprzymkniętymi oczyma po zebranych i dostrzegł panikę w oczach Agaty oraz to, że szukała pociechy i wsparcia u Dzesiki. – Chciałbym porozmawiać z dziewczyną tylko w pani towarzystwie.

Wskazana Dzesika poczuła się zakłopotana, tym bardziej że dyrekcja w dwóch postaciach i pedagożka kiwnęły na zgodę głowami z widoczną urazą i godnie zadzierając nosy, opuściły gabinet.

– Przyjedzie matka czy ojciec? – zaczął nietypowo Karpiński.

– Pewnie mama. – Agata siąknęła nosem.

– Nie ucieszy się pewnie...

Odpowiedzią była nowa porcja łez.

– Surowa? Wszystkiego zabrania? – próbował się domyślać inspektor, ale obie, i uczennica, i jej wychowawczynie, przecząco pokręciły głowami.

– Zapracowana i na nic nie ma czasu? – zgadywał dalej Karpiński.

– Mama jest w porządku. – Mimo przygnębienia Agata nie mogła dopuścić, by ten człowiek snuł jakieś bzdurne domysły na temat jej matki.

– Z moich obserwacji wynika, że ich stosunki są poprawne – poparła swoją wychowankę Dzesika.

– A jednak postanowiłaś jej zgotować taką niespodziankę. – Karpiński przepracował w wydziale narkotykowym już ponad dziesięć lat i przez skórę czuł, że ta mała jest przez kogoś wrabiana. Musiał tylko wyciągnąć z niej jakąś informację, by móc pójść dalej.

– Ja już mówiłam, te narkotyki nie są moje – powtórzyła Agata bez większych nadziei, że ten facet jej uwierzy.

Jakoś nie naciskał, by przyznała się do nie swoich win, za to wyciągnął ze swojego plecaka sfatygowaną kartonową teczkę, a z niej kilka zdjęć. Wszystkie były zrobione na Chmielnej, na odcinku między Instytutem Goethego a kinem Atlantyk, i przedstawiały młodych ludzi. Karpiński już od jakiegoś czasu podejrzewał, że właśnie w tych okolicach działa większy narkotykowy hurtownik, u którego zaopatrują się mniejsze płotki tego biznesu.

Położył te zdjęcia przed Agatą.

– Wybierz te, na których pojawiają się znajome ci osoby.

Dzesika także pochyliła się nad fotografiami. Jednym ruchem ręki inspektor rozłożył je w wachlarz i Agata od razu zauważyła na jednym z nich Jakuba. Udając, że przegląda pozostałe, zasłoniła je. To był pierwszy odruch. Potem ze zdziwieniem stwierdziła, że nie tylko Kubę uchwycił policyjny aparat.

– Kacper Ślaski z trzeciej c! – Dzesika wyłowila jedno ze zdjęć.

Agata zorientowała się, że nie ma co się opierać, trzeba pokazać jeszcze kogoś.

– Ten. Nie wiem, jak się nazywa, ale też chodzi do naszej szkoły. –

Wskazała na jedną z fotografii, nagarniając na zdjęcie Jakuba jeszcze większą kupkę innych.

– Proszę pokazać. – Karpiński, wyciągając rękę po zdjęcie, strącił łokciem kilka z nich na ziemię. Podniósł je i rzucił na stół.

– O! A to Jakub Rzekotko! – zauważyła natychmiast Dzesika. – To nie z nim byłeś w wakacje na obozie językowym?

Agata poczuła, jak fala gorąca zalewa jej policzki. Nie było sensu się wypierać. Pokiwała głową.

– Rozmawiałś z nim przed tą feralną lekcją hiszpańskiego? – zapytał dla pewności inspektor.

– Ale to przecież nie znaczy, że podrzucił mi tę paczkę z marihuaną! – Agata chciała, by jej głos brzmiał pewnie. Czuła, że ma obowiązek zwrócić tym dorosłym uwagę, by nie rzucali zbyt pochopnie oskarżeń. Sama przecież biła się przez ten cały czas z myślami. Raz ogarniała ją rozpacz i przygnębienie, że Kuba mógł zrobić jej coś tak strasznego, a zaraz po tym obawa, by nie splamić się czynem tak okropnym jak oskarżenie niewinnego człowieka. Tymczasem w jej głosie pojawiła się nutka niepewności, a nawet prośby do nich, by sprawili cud i by podejrzenie nie okazało się prawdziwe.

Dzesika zrozumiała to doskonale.

– Nie, nie znaczy – ulitowała się nad nią. – Ale pan inspektor będzie musiał to sprawdzić.

Kiedy Zośka dotarła do szkoły, Agata stała przed sekretariatem na korytarzu i czekała na nią. Tymczasem sekretarka dostała polecenie, by sprowadzić do gabinetu dyrektorki ucznia Jakuba Rzekotkę. Przechodził właśnie koło czekającej Agaty.

– Ładnie tak donosić? – rzucił w jej stronę z miną tak pełną pogardy i potępienia, że Agata aż skuliła się pod jego spojrzeniem. Zadowolony z efektu, zadarł dumnie głowę i wszedł za sekretarką do gabinetu z pełnym przekonaniem, że nic na niego oprócz słów tej głupiej gęsi nie mają i grunt to się do niczego nie przyznawać!

*

Ledwie Agata z Zośką weszły do domu, ledwie ściągnęły z grzbietów płaszcze, a z nóg buty, ledwie doczłapały obie do kanapy, padły na nią i zaczęły płakać.

– Mamuś, nie przejmuj się tak. Przysięgam ci, że nie ma w tym najmniejszej mojej winy. Ktoś mi te narkotyki podrzucił. – Pierwsza opanowała się Agata.

– Ale ty wiesz, kto to był?

Agata znowu spłonęła rumieńcem. Co jest, by tak się czerwienić w dwudziestym pierwszym wieku! Takiego raka to mogły sobie piec dziewiętnastowieczne pensjonarki. No, ostatecznie dziewczoje zakochane w Aleksandrze Żabczyńskim lub innych przedwojennych amantach. Agata nie cierpiała tej swojej niedzisiejszej przypadłości!

– To był ten chłopak? Ten, którego poznałaś w Londynie?

Bezradnie pokiwała głową.

– Ale przecież nie mogę mieć pewności – powiedziała łzawym głosem. – Choć...

Zośka przytuliła ją.

– Choć?

Agata opowiedziała jej o spotkaniu przed gabinetem.

– Oj, córciu! Widzisz, jak to jest.

Więcej nie rozmawiały, tylko tkwiły tak przytulone niemal nieruchomo, a tymczasem za oknem zapadał zmierzch. Mrok także je otulał, a one nie wiedziały, czy wypływa z za okna, czy z ich czarnych myśli. Zośka bowiem przypominała sobie swoją poranną rozmowę z Bożenką Strachulą, z której wynikało, że romans Konstantego kwitnie. A ona tak w tych ciężkich dniach tęskniła za dawnym czułym, życzliwym Konstantym!

*

Konstanty tymczasem siedział w swoim gabinecie i ciężko wzdychając, wpatrywał się w ekran telefonu, na którym widniał numer szkoły, do której chodziła Agata. Właśnie skończył rozmowę, a właściwie skończyła swój monolog dyrektor Hanna Kuska. Wynikało z niego, że dopuścili się razem, on i jego współmałżonka, ciężkich niedopatrzeń w wychowywaniu córki Agaty, czego dowodem jest paskudna afera narkotykowa, w którą to aferę ich córka została uwikłana w sposób skandaliczny. Konstanty nie całkiem pojmował, na czym ta skandaliczność polega, bo wydawało mu się, że Agata była w nią zaplątana przypadkowo, ale nie zdołał przedrzeć się przez potok słów pani dyrektor i zadać jej paru pytań. Dlatego też, mimo że pani dyrektor pożegnała się już z nim jakiś czas temu, trwał w stuporze, z którego wyrwało go dopiero gwałtowne wejście Agnieszki.

– Coś się stało? – zapytał trochę z obawą, bo jej mina nie wróżyła niczego dobrego. Naprawdę miał już na dzisiaj dosyć prywatnych perturbacji.

– Unikasz mnie!

Westchnął znowu, bo cóż miał powiedzieć. Było to prawdą. Jak wytłumaczyć kobiecie, że lubi sytuacje jasne, że ekscytacja zwykle nie trwa długo, że przyzwyczajenie ma wielką siłę i najchętniej wróciłby do swojego dawnego, drepczącego utartymi ścieżkami życia. Ktoś tak intensywnie pracujący jak Konstanty powinien mieć ustabilizowane, zapewniające wytchnienie życie prywatne. Wszystko jednak zepsuła jego karygodna głupota. Czuł wyrzuty sumienia. Wiedział, że musi jakoś naprawić sytuację, ale wiązało się to ze zrobieniem krzywdy Agnieszce. Tak było mu przykro, głupio, wstyd!

– Jesteś piękną kobietą, Agnieszko, ale...

Usiadła po drugiej stronie jego biurka i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Co chcesz mi powiedzieć, Konstanty?

– Nasza znajomość, choć tak fascynująca, to... Znaczy się... Chciałem powiedzieć...

Bluzka Agnieszki, jak zwykle odpięta o jeden guzik za daleko, poruszała się gwałtownie w rytm szybkiego oddechu, unoszącego kształtny biust. Konstanty nie mógł oderwać oczu właśnie od tego guzika, tym razem nie dlatego, że przypomniał sobie kształt piersi Agnieszki, tylko po prostu nie

śmiało spojrzeć jej w oczy. Czuł się jak smarkacz, który uwiódł dziewczynę, a teraz nie bardzo wie, co z tym fantem zrobić.

Ona za to wiedziała. Zdawała sobie sprawę, że chce się jej wymknąć, ale robił to tak niezdarnie, że ogarniał ją pusty śmiech.

O niedoczekanie twoje, pomyślała sobie i zrobiła zrozpaczoną minę. Wypuścić go mogła tylko po dokładnym oskubaniu, a mina Konstantego świadczyła o tym, że należy jak najszybciej przystąpić do dzieła.

– Chcesz mnie zostawić? – Postarała się, by głos jej zachrypiał dramatyczną rozpaczą. – Właśnie teraz chcesz mnie zostawić?

– Jak to właśnie teraz? – Jednak odważył się spojrzeć jej w twarz, choć ogarniała go coraz większa panika. Nie rozumiał, co jest grane.

Przymknęła oczy, westchnęła ciężko, by pokazać, jaką walkę musi ze sobą stoczyć, nim sięgnie po ostateczne argumenty. Wreszcie otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej jakiś przedmiot.

– Co to jest?

– Nigdy nie widziałeś? Test ciążowy!

Konstanty oklapł zupełnie. Matko Boska! Nie! I co on ma teraz zrobić? Powiedzieć o wszystkim Zośce? Zostawić ją i Agatę po odpowiednim zabezpieczeniu ich bytu? Związać się z Agnieszką? O Boże, przecież to zupełnie nie to! Naraz z całą jasnością zobaczył, że niewiele go łączy z tą kobietą! Że nie chce niczego nowego!

– Nie zostawię cię z tym – odpowiedział jednak bohatercko, mając nadzieję, że skończy się na wizycie w odpowiedniej czeskiej klinice. Jakoś nie wyobrażał sobie, że taka kobieta chciałaby być matką. Tylko jak to się stało?!

– Ja urodzę to dziecko! – Agnieszka rozwiąła natychmiast jego nadzieje.

– Nie będziemy rozmawiać o wycieczce do Czech. Święci pańscy! Toż to byłby najcięższy grzech!

Wiedźma, pomyślało się Konstantemu. Poczuł, że jedyne, co mu pozostało, to poddać się jej woli.

– Musisz dać mi trochę czasu, te sprawy zwykle długo trwają.

– Rozwód? Chcesz się ze mną ożenić? – Wybuchnęła gorzkim śmiechem. Udało się jej to doskonale. – Przecież widzę, że mnie nie kochasz. Byłam tylko zabawką.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale jakie to miało teraz znaczenie? Wyrzuty sumienia kąsały go boleśnie.

– Więc czego ode mnie oczekujesz?

Mina zbitego psa była sygnałem, że można już przystąpić do skubania. Ze zboląłą miną Agnieszka zaczęła więc opowiadać o kredycie na mieszkanie, którego nie będzie w stanie spłacić, kiedy jako młoda matka zostanie zmuszona przynajmniej częściowo zrezygnować z pracy, o starym samochodzie, który w każdej chwili może się rozkręcić na drodze, o kosztach, jakie trzeba ponieść w związku z przyjściem na świat małego człowieka.

Gotów był na wiele. Na przejęcie jej rat, na wsparcie, gdyby ten samochód rzeczywiście się rozpadł, jednak ona wyobrażała sobie to inaczej. Już teraz miał zaspokoić te wymagania.

– Tobie nie można wierzyć – dobiła go. – Wyciąłeś numer swojej żonie, a teraz chcesz zrobić to samo ze mną. Nie! Nie będę czekać!

I co miał odpowiedzieć? Może i był fujarą, bo nigdy nie potrafił poradzić sobie z kobietami. Za wolność od Agnieszki będzie musiał słono zapłacić.

Rozdział 12

Na próżno Zośka siadywała co kwadrans przed starą toaletką. Tak potrzebowała rozmowy ze zrównoważoną i mądrą panią Zofią, ale lustro, jak to lustro, odbijało tylko to, co widziało, a pani Lutomierskiej nie było.

Nie było jej, bo razem z obiema córkami i panią Adamową pędziły co koń wyskoczy traktem w kierunku Ciechanowa. Nad wyraz niewygodna to była podróż, bo kanapy ich kocza²³ zostały zdemontowane, pozostałe po nich stelaże wypełniono bronią osłoniętą tylko cienką warstwą słomy, a na zewnątrz dla pozoru obito prowizorycznie pluszem. Cierpiały więc męki, siedząc na tym żelastwie w trzęsącym się na wybojach powozie. Żadna z nich w obecności najstarszej pani Lutomierskiej nie odważyła się jednak poskarżyć, bo jak to niby zrobić, nie używając słowa oznaczającego tę część ciała, która boli najbardziej?

²³ kocza – kryty powóz konny

Sama pani Adamowa siedziała nieruchoma i milcząca, więc i one też. Zlitowała się jednakże nad nimi, a może i nad sobą, bo w tej podróży zarządziła odpoczynek w Pułtusku u sędziny Dobraczewskiej, siostry Zofii, którą można było wtajemniczyć w szczegóły misji. Choć obie panienki oczekiwały jakichś nadzwyczajnych niebezpieczeństw, to jedynym wrażeniem, jakie wyniosły z tej eskapady, był ból zasinionej... Och, mój Boże, i jak ją nazwać, skoro nawet myślenie o niej było nieprzyzwoitością?

Mroczniało, bo ciężkie chmury przewalały się po niebie i siała marznąca w drobnusieńkie igielki mżawka, kiedy wreszcie zajechały przed dwór w Kondrajcu. Wytarabaniły się we trzy z powozu na potwornie rozjeżdżony podjazd, jedynie pani Adamowa zwlekała z jakiegoś powodu z wysiadaniem. Żadna z nich nie odważyła się jednak zainterweniować, czekały tylko, by podać jej rękę, kiedy już zacznie wychodzić.

Wreszcie Zofia zebrała się na odwagę i wspięła się na schodek kocza.

– Gdyby matka zechciała... – Słowo „matka” zwykle ciężko przechodziło jej przez gardło, bo pani Adamowa trzymała wielki dystans i rezerwę w stosunku do niej, ale tym razem panią Zofię ogarnęło współczucie, starsza pani bowiem miała ściągnięte rysy i przymknięte oczy. – Stało się coś?

– Pomóż mi, córko.

Chyba pierwszy raz od dwudziestu niemal lat małżeństwa z jej synem pani Adamowa tak zwróciła się do Zofii. Okazało się, że od niewygodnej podróży złapał ją w okolicach krzyża ból tak silny, że podniesienie się z niewygodnego siedziska wydało jej się niepodobieństwem. Nie wstanie, nie wyprostuje się! Dopiero przy pomocy synowej osunęła się na kolana, a potem tyłem, ciągle zgięta w pół, macając po omacku nogą schodki i zupełnie nieprzystojnie wypinając ową część ciała, o której się nie mówi, wysiadła i podtrzymywana przez wnuczki dotarła do ganku dworu.

Dwór był dostatni i rozłożysty, otulony od frontu krzewami i nagimi gałęziami dzikiego wina. O dziwo, nikt nie wyszedł witać gości. Schroniły się więc pod dach i stanęły niezdecydowane. Wtedy jednak drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich Janek Zarębski.

– Panna Bogumiła! – zawołał zaskoczony i rozpromieniony na widok starszej panny Lutomierskiej. Zaraz jednak zdał sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania i rzucił się do powitalnego całowania rąk pani Adamowej i Zofii. – Panie wybaczą, bo też tu taki rozgardiasz, że strach. Pani Ojrzanowska leży w połogu, starszy pan trochę niedomaga, jego syn poszedł do powstania, ale właśnie go oczekujemy, bo tu się nowa partia formuje. Ale ja zaraz...

– Spocząć bym chciała, młody człowieku – przerwała mu pani Adamowa. Jej zdaniem nic nie tłumaczyło podobnego bałaganu, lecz nie z wizytą tu przyjechały, ale z misją, więc powstrzymała się od komentarzy.

Salon pełen był obcych mężczyzn. Czekano na obiad, a służba na widok kolejnych gości czym prędzej dostawiała nakrycia na stole w jadalni.

– Oczom swoim nie wierzę! – Pan Gracjan Ojrzanowski, gospodarz tego domu, mimo choroby zszedł do salonu. – Pani Waleria! – Cmoknął panią Adamową w rękę z widoczną atencją, a potem zawołał jeszcze: – Panno Oktawio, proszę przyjść do nas koniecznie!

Panna Oktawia okazała się krewną Ojrzanowskich i teraz kręciła się po dworze jak fryga, usiłując podołać natłokowi gości, potrzebom młodej matki i jej dopiero co urodzonemu synkowi, a także zadbać o zdrowie pana Gracjana. Była to niemłoda już, ale bardzo żwawa kobietka. Wraz z nią niemal natychmiast znalazł się okład gryczany na bolące plecy pani Walerii i obiad na stole. Podano jedynie rosół i sztukamięs z sosem chrzanowym, a na deser leguminę z krajanych naleśników²⁴.

24 Ten pomysł panny Oktawii, a w zasadzie pani Lucyny Ćwierciakiewiczowej, wart jest uwagi. Pokrojone w grubsze łażanki 4 naleśniki wymieszać trzeba z łyżką miękkiego masła i taką samą ilością cukru oraz mielonych migdałów (mogą być płatki migdałowe), przełożyć do wysmarowanego masłem naczynia do zapiekania i połączyć pianą z 2 białek wymieszanych ze startą tabliczką czekolady. Całość posypać grubym cukrem i zapiec w temperaturze 180 st. do lekkiego zrumienienia się bezy na wierzchu.

Dopiero przy obiedzie pani Waleria zdradziła starszemu panu Ojrzanowskiemu, z czym tu przyjechały.

– Pan Gosztowicz z pani synem zaraz się tym zajmą – odpowiedział.

– On tu jest? – zdziwiła się pani Adamowa.

Był. Okazało się, że wielu ich znajomych zjechało do dworu w Kondrajcu i wielu siedziało po sąsiednich dworach, jako że naczelnik wojsk mazowieckich Zygmunt Padlewski zbierał się do wielkiego marszu przez całe północne Mazowsze aż do granic Litwy, by rozpalić powstanie na tych ziemiach i pociągnąć za sobą ludzi. Wszyscy tylko o tym mówili, więc głośno było przy obiedzie. Podnieceni przyszłą walką ludzie nie zważali na konwenanse i Zofii nie miał kto usłużyć przy stole, radziła sobie zatem sama i rozglądała się dookoła. Jej świekra pogrążona była w rozmowie z panem Gracjanem, Bogusia z błyszczącymi oczyma słuchała Janka Zarębskiego, Nastusia żywo rozmawiała z jakąś młodziutką dziewczyną. W tym rozgardiaszu Zofia poczuła się przeraźliwie samotna. Coś ważnego i groźnego toczyło się tuż obok niej, a ona nie miała na to żadnego wpływu.

Wstawali już od stołu, kiedy jeszcze dwaj mężczyźni weszli do jadalni. Zofia ledwie poznała w jednym z nich Kazimierza, tak zmieniły go błyszczące oczy i pełne energii ruchy. Zapomniał już o swojej wielkiej miłości i cierpieniu? A może to ona go tak unieszczęśliwiła? Nawet na nią nie spojrzął, za to towarzyszący mu mężczyzna utkwiał w niej wzrok i uśmiechnął się. Skinęła mu głową. Był to Konstanty Gosztowicz. Ponieważ Kazimierz nie podszedł się przywitać ani nie zamierzał żony odprowadzić od stołu, Konstanty go w tym wyręczył.

– Jestem pełen podziwu dla dzielności pań – powiedział.

Blask jego oczu zmieszał panią Zofię. Mimo że miała już czterdzieści lat, często paraliżowała ją nieśmiałość. Teraz też milczała skępowana okrutnie, że to obcy mężczyzna zajmuje się nią, choć mąż siedzi tuż obok.

Pan Kazimierz zwrócił uwagę na przybyłe kobiety dopiero po dłuższej chwili i trudno mu było opanować uczucie niechęci. Przecież on tu żył już innym życiem. Konno przemierzał leśne dukty, galopował po polach

z szablą u boku i myśliwską flintą przewieszoną przez plecy. Na razie nie miał lepszej broni, ale liczył, że po pierwszej potyczce to się zmieni. Jego życie stało się pełne uniesień, wiatru we włosach, kropli deszczu na twarzy, męskich dosadnych rozmów o szczytnych celach, miłości do ojczyzny, dla której każdy gotów był poświęcić życie. Nie było w nim miejsca na kobiety i ich drobne, prozaiczne problemy. Za Mickiewiczowskim Konradem czy Kordianem Słowackiego nie włączyły się żadne baby, kiedy już obaj przystąpili do wielkiego dzieła.

Synowska powinność jednak nakazywała mu przywitać się z matką. Z powodu obolałego krzyża pani Adamowa nie była w stanie podnieść się z kanapy, choć gorczycowy okład przyjemnie ją rozgrzewał i przynosił ulgę. Podała synowi rękę do pocałowania.

– Wróc mi z tarczą albo na tarczy – powiedziała potomkowi z miną godną starożytnej Spartanki. Chciała pochylić się jeszcze, by pocałować go w czoło, ale nieprzystojny ból nieobłożonych gorzycą sińców na najniższej części pleców nie pozwolił jej na to. Mimo to jej syn docenił patetyzm tej sceny. Tak, pasowała do podniosłego dramatu, jakim stawało się jego życie.

Niestety żona nie potrafiła się zachować tak jak matka. Stała przed nim z oczyma pełnymi łzawej cikliwości, co wydało się panu Kazimierzowi niestosowne w obliczu czekających go chwil bohaterskich uniesień.

– Spieszę się – rzekł mało grzecznie i uciekł przed nią oraz córkami tak szybko, że Bogusia z Nastusią ledwie zdążyły przed nim dygnąć.

Zofia została na środku salonu z cudownym medalikiem Niepokalanego Poczęcia w ręce. Chciała go założyć mężowi na szyję, bo coraz powszechniej po świecie rozchodziły się wieści o jego mocy. Cuda też o nim opowiadał ojciec Dionizy, franciszkanin, którego spotkała w klasztorze w Skępem i od którego go dostała.

Obserwował tę scenę Konstanty Gosztowicz.

– Ja także chciałbym się z panią pożegnać. Wyruszamy o świcie, a dopilnować trzeba jeszcze wielu rzeczy. Sam jestem na tym świecie, więc nawet krzyża na drogę mi nikt nie da. Ale choćby uśmiech czy dobre słowo może sobie u pani wyproszę?

Taki straszny żal ścisnął panią Zofię za gardło, że znowu nie mogła wypowiedzieć słowa. Bo jakże to? Jej ślubny małżonek idzie w bój i słowa od niej nie chce jednego? Choć kto wie, czy to nie ostatnie ich spotkanie

jest na tej ziemi? O tym myślała pani Lutomierska, kiedy stanęła przed Kazimierzem, i dlatego łza czała się w jej oku. Przypomniały jej się też ich czasy narzeczeńskie, kiedy była czczona niemal jak bóstwo, kiedy słuchała słów o największej miłości na ziemi, o przeznaczeniu, które ludzi pcha ku sobie i wiąże więzami słodkimi i od najcięższych oków mocniejszymi. Teraz jak nigdy Zofia tę jedność poczuła, i żal, i strach o tego, z którym taki szmat czasu przeżyła. Tymczasem on na pięcie się od niej odwrócił i poszedł.

– Nic mi pani nie powie? – dopytywał pan Konstanty z zawodem w głosie.

Już nie zdołała zatrzymać pod powiekami łez. Popłynęły po policzkach. Wyciągnęła tylko do niego rękę z medalikiem.

– Niech pana chroni – powiedziała i wyszła z salonu.

*

Janek z Bogusią wyszli na ganek. Wiatr ucichł, a wilgotne od niedawnej mżawki powietrze stało się tak przejrzyste, jak to się zwykle dzieje, kiedy nadchodzi mróz. Chmury, do tej pory grubą warstwą zaścielające niebo, teraz poszarpały się i gdzieś tam udawało się przez nie przedrzeć pojedynczemu promieniowi słońca. Padał wtedy na nagie gałęzie drzew i krzewów, na których zbierały się grube krople wilgoci, rozświetlał je diamentowym blaskiem, przepełniał tak, że robiły się ciężkie i spadały na ziemię, by zrobić miejsce dla następnych.

– Jakież to piękne! – westchnęła Bogusia, goniąc wzrokiem za kolejną spadającą kroplą rozjaśnioną promykiem.

– Pani mi oczy otwiera i urok świata pokazuje. Ja chyba żyć nie będę już umiał bez tego.

– Niech pan tylko wróci z powstania, a myślę, że tej przypadłości jakoś się uda zaradzić. – Uśmiechnęła się do niego dzielnie, choć myśl, że mógłby nie wrócić, mroziła jej serce.

– Będę się starał – odpowiedział jej z tym samym uśmiechem.

Musiał już iść, bo na podjeździe za rozdeptanym teraz gazonem, latem pewnie pełnym kwiatów, już na niego kiwali rękoma dosiadający koni żołnierze. Konstanty Gosztowicz i Kazimierz Lutomierski stanęli na czele. Czas było wyruszać.

Rozdział 13

Za oknem szadź obrosła drzewa. Rozbłysły kolorowe neony, ludzie zamknięci w tramwajach, autobusach, samochodach gdzie się spieszyli. Do domów, do pracy, na zakupy, spotkania. Na wszystkich ktoś gdzieś czekał, tylko nie na Zośkę. Ktoś tam w tym wielkim mieście do kogoś mówił. Ktoś do kogoś się uśmiechał. Miał jakąś sprawę. Ktoś komuś był potrzebny. Tylko do Zośki nikt nic nie mówił, nie uśmiechał się, nie miał sprawy. Była sama, zbędna.

Zajrzała w lustro starej toaletki. Widniał w nim ciemny, pusty pokój lutomierskiego dworu, przesłonięty lizajami chorego szkła. Tam też nie było nikogo. Westchnęła ciężko i przysiadła przed komputerem. Tak bardzo potrzebowała kontaktu z kimkolwiek. Chwili rozmowy o czymkolwiek, byle nie myśleć, byle nie czuć się jak nieistotny paproch.

Facebook. Konto założyła jej Agata, ale Zośka nie miała pojęcia, co miałyby z nim robić. Wrzucała więc tam od czasu do czasu jakieś refleksje po przeczytaniu książek czy zdjęcie, które jej się spodobało na tyle, że miała je ochotę skomentować, a akurat nie było nikogo, z kim mogłaby się uwagami podzielić. Teraz otworzyła tę stronę i rzuciła jej się w oczy reklama portalu randkowego. Razem po Czterdziestce – kusila jego nazwa. Niewiele myśląc, kliknęła. Konto za darmo? A co jej szkodzi! Fotografia? Lepiej nie... Stchórzyła. Wyświetliło się okienko, w którym można było napisać kilka słów. Napisała więc: *Odezwij się do mnie, bo pada deszcz. Choć mówiłam tobie już pięćdziesiąt kilka razy, żebyś już poszedł sobie, przecież pada deszcz, to przecież śmieszne takie stać tak twarz przy twarzy, to jest naprawdę niesłychanie śmieszna rzecz; żeby tak w oczy patrzeć: kto to widział?*²⁵ *Ale ty odezwij się do mnie, bo marzę, by postać z tobą tak twarz przy twarzy.*

²⁵ K.I. Gałczyński, *Deszcz*.

Kliknęła *Wyślij* i czym prędzej zamknęła komputer. Nie zajrzy tam więcej! Że też takie głupie pomysły przychodzą jej do głowy!

To przez ten pusty dom. Ferie. Agata pojechała na narty, a Konstanty mówi, że jest w pracy, ale cholera go wie, czy to prawda. Poczytać coś? Bashevis Singer? Kalicka? Czegóż ona, Zośka, w zasadzie chce? Przecież ma pusty dom, nikt nie zawraca jej głowy, może się spokojnie rozłożyć na

kanapie, wziąć książkę do ręki. Czy przypadkiem nie o tym marzyła? Tymczasem teraz nie mogła się skupić. Nic ją nie obchodziły losy rodziny Muszkatów czy dzieje Irenki Góreckiej z trylogii Manuli Kalickiej. Muzyka? Chopin w wariacjach Leszka Możdżera? Płynął sobie gdzieś obok, a ona ciągle odczuwała ssącą pustkę.

Siadła znowu do komputera i całkiem bezmyślnie otworzyła swoje randkowe konto. Może jednak dodać to zdjęcie?

O, niespodzianka. Ktoś do niej napisał. Dalszym ciągiem tego samego wiersza Gałczyńskiego: *Żeby tak w oczy patrzeć: kto to widział? Żeby pod deszczem taki niemy film bez słów? Żeby tak rękę w rękę trzymać: kto to słyszał? A przecież jutro się spotkamy znów.*

Podpisał się: Kazimierz. Kto to słyszał, by nazywać się Kazimierz? Kazik? Nie! Kazik nie cytowałby Gałczyńskiego. Kazimierz. Przecież to idiotyczne, besztala samą siebie.

Jednak dzięki tym kilku słowom obcego i nieznanego faceta nagle świat przestał wydawać się tak potwornie ponury. Kręciła się po domu, szykując kolację, wyciągając z pralki pranie i nuciła dalszy ciąg: „i tak się trudno rozstać, i tak się trudno rozstać. Nas zaczarować chyba musiał deszcz...”. To była jedna z ulubionych piosenek jej mamy, a śpiewała ją Irena Santor.

Kilkanaście dni później Bożenka doniosła jej, że Agnieszka chodzi po firmie rozpromieniona. Konstanty w domu starannie zaś unikał okazji do rozmów, uciekał przed nią wzrokiem i najwyraźniej coś knuł. Wówczas to Zośka postanowiła, że zgodzi się na spotkanie z Kazimierzem. Na zdjęciu facet robił pozytywne wrażenie. Albo był po prostu fotogeniczny. Umówili się na Starym Mieście.

Mój Boże! Zośka od stu lat nie była na randce! Jak się ubrać? Jak zachowywać? Czy randki z obcymi facetami w wieku lat czterdziestu wyglądają tak samo jak te, na które chodziła jako dwudziestoparolatka? Szczerze mówiąc, sprawa była ekscytująca! Granat! Tak! Zośka postawiła na granat i ubrała się w granatową sukienkę z białym kołnierzykiem w kształcie obszerniejszej stójki. Trochę jak uczennica, trochę młodzieńczo, ale pasowało to do jej sposobu bycia. Jeszcze perłowe kolczyki i włosy spięte za pomocą magicznej spinki w kunsztowny kok, którego nie powstydziliby się elegancka pani Lutomińska.

Długo przeglądała się przed wyjściem w lustrze toaletki. Miała nadzieję, że pojawi się tam Zofia i oceni jej wygląd. Nie pojawiła się, co było

niepokojące. Jednak perspektywa pierwszej od prawie dwudziestu lat randki ten niepokój trochę przesłaniała. Jaki jest ten mężczyzna, który cytuje Gałczyńskiego?

Herbaciarnię Same Fusy urządzono w głębokiej piwnicy różowawej kamieniczki przy Nowomiejskiej. Zośka zeszła w chłodną głębię pięknie utrzymanymi schodami i rozejrzała się po surowym nieco wnętrzu. Ceglane ściany i kolebkowe sklepienia, miękkie pufy i fotele, nastrojowe światło licznych kinkietów i lampek. Podobało jej się. Znad jednego stolika uniósł się mężczyzna, który chyba właśnie na nią czekał, a ona ledwie na niego spojrzała i ogarnęło ją poczucie *déjà vu*. Miał w sobie coś swojskiego, od dawna znajomego, emanował spokojem i bezpieczeństwem. Jakby znała go już od lat albo może w przeszłym życiu.

– Mam nadzieję, że to na mnie pan czeka. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. – Zośka.

– Aż do tej pory nie byłem tego pewien, ale teraz jestem. Tak, na panią.

Zabrzmiało to tak, jakby za tym zdaniem kryło się Bóg wie co. Ten sam charakter miało spojrzenie i uścisk ręki: jednocześnie ciepły i mocny.

Rozmowa potoczyła się im gładko i tylko od czasu do czasu zduszonym ze zdziwienia głosem mówili sobie: ja mam tak samo, podobnie to odczuwam, też to lubię. Takie porozumienie? Taka wspólnota zainteresowań? Upodobań? I czemu ten Kazimierz wydał jej się tak znajomy? Przyglądała mu się. Trochę za długie włosy opadające z dwóch stron twarzy, skupione spojrzenie bladoniebieskich oczu, rysy twarzy troszeczkę azjatyckie, z jakąś nutą dzikości. Groźne? Nie. W każdym razie nie tylko, bo coś przykuło jej uwagę w tej twarzy, coś subtelnego, dzięki czemu łatwo ją było sobie wyobrazić w chwili czułości.

Leonardo DiCaprio w *Zjawie*, oświeciło ją nagle. Dobrze pamiętała ten film i tego aktora. Kazimierz był chyba trochę niższy, miał większe zakola nad skroniami, ale podobieństwo do Leonarda z każdą chwilą wydawało jej się bardziej widoczne.

Wyszła z tej pierwszej randki zauroczona.

*

Tymczasem sto pięćdziesiąt i jeszcze trochę lat wcześniej pan Kazimierz Lutomierski pędził traktem ciechanowskim do Głinojecka, bo tam wojewoda Padlewski naznaczył im spotkanie. Był luty. Czas na

prowadzenie wojny partyzanckiej nieodpowiedni, ale dopóki nie zebrali sił potrzebnych do stawienia czoła wojskom rosyjskim, dopóty tylko taka forma walki była dla powstańców dostępna. Każdy z powiatowych naczelników działał do tej pory na własną rękę, atakując drobniejsze rosyjskie posterunki, niszcząc drogi, tory kolejowe, szczególnie te wiodące od wojskowego garnizonu w Gieorgijewsku²⁶ na północ. Wielu było tych powiatowych dowódców – Chądzyński, Pomianowski, Ojrzanowski, Kolbe. Teraz wszyscy oni dążyli do Głinojecka, bo tam zaplanowano większą akcję.

²⁶ Gieorgijewsk – twierdza i koszary wojskowe Modlin

Mróz nadszedł po wielu dniach odwilży i ściał kruchymi szybkami wodę stojącą w kałużach. Pękały one z cichym trzaskiem pod kopytami koni. Grudki zmarzniętej ziemi wrywane w czasie galopu uderzały w twarze tak, że ocierać się trzeba było raz po raz, a obłoki pary unosiły się za zdyszanyimi jeźdźcami i końmi. Kiedy wpadli na wielki plac przed cukrownią w Głinojecku, już tam było tłoczno. Niektórzy sami oporządzali zmęczone konie, inni, zostawiwszy ten obowiązek służbie, tłoczyli się we wrotach ceglanego budynku cukrowni i dyskutując, czekali na rozkazy dowództwa.

Kazimierz Lutomierski i Konstanty Gosztowicz zostawili swoje konie pod opieką młodych i już na piechotę poszli do dworu, który znajdował się za zabudowaniami cukrowni. Tam zastali Edmunda Ojrzanowskiego i innych naczelników, a także samego Padlewskiego. Pan Kazimierz widział go po raz pierwszy, dlatego przyglądał mu się uważnie. Nie zrobił na nim dobrego wrażenia.

– Nasz wódz jakby zbyt nerwowy – podzielił się swoimi wątpliwościami z Gosztowiczem.

– Teraz nie czas na takie uwagi. Jedność i dyscyplina nam najbardziej potrzebne. – Pan Konstanty od początku powstania z racji przynależenia do jednego oddziału sporo czasu spędził z Kazimierzem i miał go czasem dosyć. Był to indywidualista, gotów głupstw narobić, bo z trudnością podporządkowywał się rozkazom innych.

– Ja tylko dla dobra sprawy tak mówię. Zdecydowania tu trzeba większego – bronił się Kazimierz, gdyż wyczuł w słowach towarzysza naganę.

– Rozumiem, rozumiem – odpowiedział mu Konstanty – ale każdy z nas wie, że sam tego powstania nie wygra.

Uciszyli się, bo Padlewski wyszedł na środek salonu i zaczął mówić cichym, czasem łamiącym się ze zdenerwowania głosem.

– Taki mam plan, by z wiosną ruszyć na rajd w stronę Puszczy Kurpiowskiej, a po drodze ludzi zwoływać, własnym przykładem do czynu zachęcać. Bez masowego wystąpienia ludu nie ma co marzyć o pokonaniu wojsk rosyjskich. Przed tym zaś przygotować się nam trzeba, broń zdobyć. Czeka ona na nas po drugiej stronie granicy. Bracia spod Niemca chcą nam ją przesłać, tylko trzeba by znieść graniczne posterunki w Dąbrowie, Chorzelach, opanować Rypin, bo on także blisko granicy jest położony, a także Ciechanów i Maków. Do tego zadania wyznaczam panów Kolbego, Ostrowskiego, Skowrońskiego...

– A mnie się widzi, że należy wrócić do pierwotnego planu i zająć Płock. To on powinien być centrum, wokół którego gromadzić się będą przyszłe nasze wojska! – Pan Kazimierz wyszedł na środek salonu i stanął obok Padlewskiego.

– Co racja, to racja – poparł go ktoś ze zgromadzonych.

– Za dużo srok na raz łapać to niemądre – odpowiedział mu Padlewski, ze źle tajoną niecierpliwością odgarniając włosy z czoła. – Walczyć trzeba mieć czym.

– Jeśli Rosjanie ściągają tam posiłki, to nigdy nie uda się zdobyć tego miasta, trzeba korzystać z tego, że jeszcze tego nie zrobili – upierał się pan Kazimierz.

– Już raz próbowaliśmy i się nie udało! – starał się uciszyć towarzysza Gosztowicz. Był poirytowany. Kazimierz znowu się ferment w mazowieckich wojskach, a i tak brakowało tam jedności.

Lutomierski nie zamierzał się tym przejmować. On jeden, na przekór tej podszytej tchórzem zgrai, pójdzie, zdobędzie stolicę dla odradzającej się ojczyzny! Siedzący w Płocku generał Siemieka teraz pewnie świętuje zwycięstwo i nie spodziewa się ponownego ataku. W pył rozwałą go Polacy pod dowództwem Kazimierza!

Rozejrzał się po zebranych. Sporo stało niezdecydowanych. Spoglądali oni raz na Padlewskiego, raz na Kazimierza. Sam wódz sczerwieniał i wyraz zawodu rozlał mu się po twarzy. Widać było, że obawia się kolejnej niesubordynacji.

Cóż to za dowódca, myślał pan Kazimierz z rodzącą się pogardą. Ta sytuacja tylko upewniła go, że powinien iść za głosem własnego serca, a ono wiodło go drogą Kordiana. Działać! Nie słuchać, co inni powiedzą!

– Kto ze mną, panowie?! – krzyknął tylko i nie oglądając się na nikogo, wyszedł.

Poszło za nim paru. Na placu przed cukrownią Lutomierski wygłosił płomienną przemowę. Udało mu się zwerbować jeszcze wielu. Kiedy zawrócił konia na ciechanowski trakt wiodący w kierunku Sierpca, długi sznur koni i luda ruszył za nim.

Rozdział 14

Wojska rosyjskie w owym czasie pochowane były po garnizonach i bały się z nich wyściubić nosa. Poza nimi czuć było ferment, wzburzenie. Nadzieja i zuchwałość wstąpiły w naród. Powszechne zbratanie budziło entuzjazm. Jechał więc pan Kazimierz przez pola, wsie i mizerne laski, nie napotykając wroga. Wiedział, że bezpieczny będzie aż do Sierpca, bo ten zdobył już oddział Ostrowskiego. Potem pewnie trzeba będzie pochód spowolnić, w dzień się kryć, a nocami przemykać, bo dalej już łatwiej natknąć się na rosyjskie oddziały. Był dobrej myśli, choć coś mu przeszkadzało. A raczej ktoś. Janek Zarębski przyczepił się do niego, nie wiadomo po co. Zagadywał, śmiał się. Pan Kazimierz umyślnie mu na te zaczepki nie odpowiadał, bo przecież nie mógł liczyć na zrozumienie młokosa. W ogóle nie mógł liczyć na czyjekolwiek zrozumienie. Wesołość Janka, zabieganie o różne prozaiczne rzeczy uważał za niestosowne w obliczu wielkiego celu, a być może męczeństwa. Rozmowy o rodzinie go drażniły. Och, jak irytujący był ten młody człowiek! Uciążliwa jego troska o Kazimierza. Doprawdy bardziej odpowiednia byłaby choćby drobna refleksja o wolności ojczyzny niż dążenie do tego, by nie spocił się Kazimierzowy koń!

*

Kiedy Kazimierz jechał na spotkanie ze swoim przeznaczeniem, jego żona zasiadła wreszcie przed lustrem swojej toaletki. Ledwie szubę rzuciła, nie przebrała się nawet z zakurzonej od podróży sukni. Leniwym, zmęczonym ruchem wyciągała z włosów długie spinki przytrzymujące kapelusz i przyglądała się sobie. Smutek i przygnębienie miała wypisane na twarzy, ale naraz coś przykuło jej uwagę. Wręcz zaczerwieniła się na myśl, która pojawiła się i nie chciała zniknąć. Ni z tego, ni z owego zauważyła, że z tą melancholią jest jej do twarzy! Podobała się sobie mimo przekroczonej już czterdziestki!

Aż prychnęła na siebie ze złością na te głupie myśli i już miała wstać sprzed lustra, kiedy zobaczyła w odbiciu, że drzwi w sypialni się otworzyły i Zośka z impetem siadła przy toalecie. Ona także się zmieniła. Zofia od razu zauważyła błysk w jej oku, energię w ruchach i pewną dozę... nie, nie myliła się... pewną dozę zalotności! Chęć do flirtu po czterdziestce?!

To nie mieściło się w ramach przyzwoitego zachowania! Lutomińska poczuła się wręcz zgorzona.

– Stało się coś? – zapytała ostrożnie, choć nie wiedziała, czy ma ochotę wysłuchiwać zwierzeń, być może nieprzyzwoitych. Z Zośką należało uważać. Wiedziała to już od pierwszego spotkania, kiedy ta młodsza od niej o przeszło sto pięćdziesiąt lat kobieta namówiła ją na picie koniaku do lustra. Do dziś Zofia nie mogła o tym pomyśleć bez krępującego zakłopotania.

– Daruj, to raczej ja powinnam o to zapytać. Nie było cię tak długo, a wy tam przecież macie wojnę!

– Tak – odpowiedziała Zofia i zwierzyła się, jak to pożegnała męża, jaki smutek i niedobre przeczucia ją ogarnęły, kiedy odjeżdżał zagniewany i zniecierpliwiony. A przecież przeżyli razem tyle lat i teraz, choć to mogło być ich ostatnie spotkanie, nie znalazł dla niej odrobiny cieplejszych uczuć. Ona zaś tego dnia gotowa mu była wszystko wybaczyć, o wszystkim zapomnieć, bo przecież jechał w bój. – W zasadzie powinnam się już przyzwyczaić, że dla Kazimierza zawsze było coś ważniejszego ode mnie – mówiła przygnębiona. Mimo to zauważyła, że oczy jej rozmówczyni zapłonęły jeszcze żywiej na dźwięk imienia jej męża.

– Kazimierz... – powiedziała Zośka z dziwnym rozmarzeniem. – Poznałam pewnego Kazimierza i powiem ci, że ten człowiek wzbudził we mnie nowe emocje. Jestem nim w jakiś niecodzienny sposób zaabsorbowana. Niby obcy facet, a jednocześnie z jakichś powodów mi bliski. Mam wrażenie, jakby obudził we mnie od dawna uspioną kobietę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się taka... tylko nie śmieję się... młoda, piękna, warta miłości. Chwilami zapominam, ile mam lat.

– Zakochałaś się? A Konstanty? – Zofia poczuła taki niesmak, że zadrżała jej dłoń wysupłująca kolejną spinkę z włosów, a uwolniony kapelusz zsunął jej się z głowy.

– Nie! – zaprzeczyła Zośka gwałtownie, ale dodała już mniej zdecydowanym głosem: – Nie wiem.

Najwyraźniej nie radziła sobie ze swoimi emocjami i taka była w tym bezradna, że Lutomińskiej zrobiło się jej żal.

– Uważaj na siebie. Twój Konstanty robi na mnie wrażenie nie całkiem złego człowieka.

– A Agnieszka?

– Tak, Agnieszka... Porozmawiaj jeszcze z nim.

– Mówisz, porozmawiaj... – Zośka westchnęła z rezygnacją, bo chociaż czasem miała na to ochotę i czuła, że powinna, to zupełnie nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Omijali się z Konstantym tak, jak omija się bolące miejsce, by go nie dotknąć, nie urazić.

Dłużej obie Zofie nie mogły rozmawiać, bo do pokoju dworu w Lutomerzycach wbiegła Nastusia.

– Marcelinka za obiad się bierze i powiada, że mama jej w kuchni na moment jest potrzebna.

To był stały wybieg Marceliny. Niby rady bez niej sobie dać nie mogła, a przecież o co innego szło. Trzeba było ściągnąć tam także dziewczynki, by się wprawiały w domowym gospodarstwie. Dziś był piątek. Przyszykować należało postny obiad, a ryby wymagały od kucharki większego starania. Dobrze przyrządzenie jej było sztuką, którą musiała opanować każda panna na wydaniu, dlatego Marcelina chciała, by szczególnie w ten dzień w kuchni towarzyszyły jej Bogumiłka z Nastusią. Jednak nakazać mogła tylko ich matka i ona powinna dać przykład zaangażowania w kuchenne prace.

Zofia pochyliła się, by podnieść leżący ciągle na podłodze kapelusz, i szepnęła do lustra:

– Przepraszam, sama widzisz. Będę tu wieczorem.

Potem, chowając się za parawanem, przebrała się szybko w domową suknię i poszła za córką.

W kuchni zastała już Bogusię wałkującą pod czujnym okiem Marcelinki ciasto francuskie. Miały dziś przygotować zupę grzybową, kulebiakę z ryby²⁷, sandacza w białym sosie i leguminę. Post, niepost, obiad musiał być pożywny. Gustaw ciągle odzyskiwał siły w domu i ciężko przeżywał fakt, że sam sobie nie poradził z transportem broni. Taki był wrażliwy i szczupły. Trzeba go było odkarmić, dopóki z nimi mieszkał.

²⁷ Marcelina kulebiakę ze szczupaka robiła tak: dokładnie obierała rybę ze skóry i ości, a potem dusiła na maśle, doprawiając solą i pieprzem. Ugotowała też na twardo 6 jaj. W osobnym garnku dusiła drobno poszatkowaną kapustę suto doprawioną zmielonymi na proszek suszonymi grzybami, a kiedy wszystko zmiękło, rozkładała na płacie francuskiego ciasta najpierw kapustę, potem rybę, a na końcu pokrojone na plasterki jajka. Wszystko to posypywała natką pietruszki, która przez całą zimę rosła w doniczkach ustawionych na kuchennych parapetach. Zawijała nad tym wszystkim ciasto i formowała na górze ozdobny szew. Smarowała pieróg rozmaconym jajkiem i piekła w dobrze nagrzanym piecu (około 200 st.) przez 45 min.

*

Antoś Lutomierski tymczasem siedział w swoim pokoiku na Koziej i gapił się na tyły pałacu Wessłów widoczne przez okno. Po głowie dreptały mu myśli o odezwie opracowanej przez Agatona Gillera do polskich obywateli innych zaborów, mówiącej, że nie powinno tam dojść do walk powstańczych. Antoni nie wiedział, co ma o tym sądzić, bo przecież Agaton był członkiem Rządu Narodowego, w którym większość mieli czerwoni, a gadał jak biały. Pisać o tym czy nie, zastanawiał się chłopak, a potem myśli jego uciekły do żuawów śmierci²⁸. I znowu dumał, czy pisać o tym, a jeśli tak, to co. Żuaw nie cofnął się, nie poddał. Mógł tylko walczyć i zginąć. Taką składali przysięgę.

²⁸ żuaw śmierci – polski oddział wojskowy powstania styczniowego

Dzień wcześniej Antoni rozmawiał z Karolkiem Moszyńskim, swoim dawnym kolegą z gimnazjum, który przystał do tych szwadronów i był saperem. Młody Lutomierski niby uważał, że jego postawa jest godna szacunku, ale w skrytości ducha przerażała go aż taka determinacja. Kłóciła się z zasadą złotego środka, której był wyznawcą. W ogóle nie podobała się Antoniemu obecna sytuacja. Koło jego szefa Stefana Bobrowskiego też krążyły podejrzane indywidua z hrabią Adamem Grabowskim na czele. Tymczasem powinna zapanować jedność, mobilizacja... Ech, szkoda gadać. Dlatego właśnie Antoni siedział przy stole, drapał obsadką pióra we włosach i czuł narastającą panikę, bo już zaraz miał przyjść posłaniec z drukarni, a on nie skończył jeszcze wstępnego artykułu, w którym miał przedstawić bieżącą sytuację. Kolejny numer powstańczej gazetki bez niego się nie ukáže!

No tak! To już, pomyślał, słysząc delikatne pukanie do drzwi.

Otworzył. Przed nim stała panna Dominique.

– To pan? – Była równie zaskoczona jak on. I skępowana. Zrobiła coś, co jeszcze tak niedawno uważałaby za szczyt nieprzyzwoitości. Przyszła do mieszkania obcego, samotnie żyjącego mężczyzny.

– Proszę wejść. – Antoni czuł jej wahanie i je rozumiał. – Świat jest mały.

– Ja z meldunkiem – wyjaśniła od razu.

Okazało się, że Dominique znalazła miejsce guwernantki u państwa Morawskich, niedaleko Czerska w Małej Wsi. Rodzina była bardzo

patriotyczna i ledwie wybuchło powstanie, pan Maurycy Morawski przystąpił do oddziału dowodzonego przez Mariana Langiewicza.

Usłyszawszy to nazwisko, Antoś nadstawił ucha, bo już nie raz słyszał o tym dowódcy, który prał Rosjan aż miło w rejonie Gór Świętokrzyskich. Panna Dominique miała relacje o tym z pierwszej ręki. Ledwie parę dni temu bowiem pan Maurycy wpadł do domu, by się obmyć trochę, odkarmić i zmienić ubrania, i przy okazji opowiadał tak budujące rzeczy o zwycięstwach, o wolnym od Rosjan Szydłowcu, entuzjazmie wśród ludu, że postanowiła spisać to wszystko i zanieść komuś, kto wydaje powstańczą gazetę. Adres Antoniego dostała od sąsiada Morawskich.

Lutomierski wziął od niej kilka zapisanych kartek i zaczął czytać. Uderzyła go klarowność wywodu i żywość jej języka.

– Pani z taką werwą opisała te wydarzenia, tak plastycznie – pochwalił.

– Szczerze mówiąc, łatwiej mi się wypowiadać na piśmie. – Aż się zarumieniała od tych komplementów.

– Nie podjęłaby się pani redagowania artykułów do naszej gazety? – zaproponował.

– Wolność dla każdego Francuza jest rzeczą świętą – odpowiedziała stanowczo zbyt patetycznie.

Taka już była. Życie brała bardzo na serio i w sposób troszkę egzaltowany. Teraz zaś znowu nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić, bo pani Morawska z siedmioletnim synkiem wyjechała dla bezpieczeństwa do swojej siostry w głąb Rosji. Pozbawiona zajęcia Dominique szwendała się bez celu po dworze, więc bez namysłu zgodziła się na propozycję Antosia. W Warszawie w tych nadzwyczajnych okolicznościach mogła zatrzymać się u panny Narcyzy.

Antoni odetchnął z ulgą. Wręczył plik meldunków pannie Dominique i ustąpił jej swego miejsca przy poplamionym atramentem stole. Sam wziął dla niepoznaki jakieś papiery i udając, że zagłębia się w ich studiowanie, rozciągnął się na szezlongu. Morzyła go senność. Nim jednak zdążył się zdrzemnąć, Dominique skończyła artykuł, nad którym on ślęczał od rana, i trzeba go było przeczytać.

– No wspaniale! – powiedział, kiedy skończył lekturę. – Sam nie ująłbym sprawy lepiej!

Rozdział 15

Z Zośką nie sposób było się porozumieć. Zofia spotykała się z nią przed lustrem, dręczona obawami o stan jej ducha, Zośka zaś tych spotkań unikała, ale przecież obie musiały wieczorem zasiać przed swoją toaletką. Coś niedobrego działo się z tą kobietą. Lutomierska czuła przez skórę, że ta po drugiej stronie lustra jest o krok od zrobienia piramidalnego głupstwa. Aż wzdrygnęła się na tę myśl. Kto słyszał, by kobieta używała takich stwierdzeń! Nawet w myśli!

Otóż obcy mężczyzna wzbudzał w Zośce emocje! Był jej bliski! Toż to skandal! Sama Zofia pod wpływem imienniczki zaczęła wyrażać się w sposób karygodny, bo kto słyszał, by dama z towarzystwa, którą przecież była, używała słów: piramidalne głupstwo! Kiedy tak określił postępek swego starszego syna pan Zenobiusz Karpiński, miało to swój urok, ale w jej ustach było niedopuszczalne. Zresztą nie dziwiła się zbytnio panu Zenobiuszowi, bo Franek Karpiński ożenił się w tajemnicy przed rodzicami z wdową z trójką dzieci, prowadzącą stancję dla uczniów gimnazjum. Skandal wybuchł z tego powodu na cały powiat. To były sprawy sąsiedzkie, ale dużo mniej obchodzące panią Zofię niż to, co robiła ze swoim życiem jej imienniczka. Pani Lutomierska uważała święcie, że najważniejszym zadaniem Zośki jest ratowanie małżeństwa.

– Rozmawiałaś z Konstantym? – spytała któregoś razu lustrzaną bliźniaczkę, a ta zmieszała się trochę i powiedziała, że jeszcze nie miała okazji.

Jakoś tak lekko to powiedziała, że Lutomierska zgorszyła się. W tym dwudziestym pierwszym wieku chyba nie dba się o stabilność związku. W głowie jej się to nie mieściło, bo przecież przyjmowało się sakrament! A Zośka się tym nie przejmowała i na dodatek uśmiechała się czasem z rozmarzeniem do siebie. Zdaniem Zofii ta niefrasobliwość była bardzo niebezpieczna.

Zdarzyły się jednak wypadki, które kazały jej zapomnieć o problemach, w jakie się wikłało jej żyjące w przyszłości lustrzane odbicie. Jeszcze dwa tygodnie nie minęły od pożegnania z Kazimierzem, jak pod dwór zajęchała zwykła chłopska furka, a z niej wypakowano rannych. Było ich trzech.

Pani Zofia, Nastusia i Bogumiłka wybiegły na ganek.

– Tych dwóch powinno przeżyć, jeśli będą mieli dobre koło siebie staranie. Ale... proszę być dzielną... pani mąż szans nie ma – powiedział Janek Zarębski zamiast powitania, bo to on był furmanem, który przywiózł powstańców.

W wielkim chłopskim kozuchu, brudny, z kilkuniedniowym zarostem na twarzy i batem w ręce ledwo go poznały. Do tego cuchnął. Bogumiłka nie zwróciła jednak na to uwagi. Żył! Cały i zdrowy! Z wielkim zamętem w duchu podeszła do niego, złapała za ręce, sama nie wiedząc, czy potrzebuje od niego otuchy, czy cieszy się, że go widzi. On nie uśmiechnął się, tylko ucałował jej ręce.

– A ojciec?

– Przykro mi – powiedział, patrząc na panią Zofię.

Na sianie w furce, w przesiąkniętej krwią czamarze²⁹ leżał pan Kazimierz. Tamtych dwóch taszczono po schodach na ganek. Już tam Marcelinka dyrygowała służbą i nakazała posadzić ich na razie na kanapie w salonie i przygotować łóżka na pięterku w schowku niedaleko wejścia na strych, by w razie rewizji łatwo się mogli gdzieś między rupieciami schować. Pana Kazimierza służba bała się ruszyć. Błady był. Postarzały nagle o wiele lat, z zapadniętymi policzkami pod siwawym, niechlujnym zarostem. Półprzymknięte oczy robiły wrażenie, jakby ten świat już go nie obchodził. Sina obwódka wokół nich wydawała się Zofii niechybnym znakiem zbliżającej się śmierci.

²⁹ czamara – męski płaszcz, często podbity futrem z szamerowaniami z przodu, w XIX w. uważany za strój narodowy

– Ściągnijcie jakieś drzwi z zawiasów, posłużą jako nosze – powiedziała do starego guwernera, który zdążył już przyczłapać na ganek. – A wy – zwróciła się do córek i rezydentki panny Stanisławy – naszykujcie łóżko w składziku koło pieca chlebowego w suterynie. Tam nikt nie będzie niepokoił chorego.

Rana pana Kazimierza wyglądała paskudnie. Cięcie szablą zadane nietypowo, bo od tyłu i z boku, jednak otworzyło jamę brzuszną i głęboko ją zainfekowało. Tak orzekł sprowadzony z Serocka doktor Orzelski.

– Co można dla niego zrobić? – zapytała Lutomińska.

– Dać mu spokojnie umrzeć – odpowiedział i zostawił jej kilka porcji opium, by chory zbytnio nie cierpiał.

Cały wieczór, noc i następny dzień spędziła Zofia, siedząc przy łóżku męża. Czuła się bezradna. Niewiele mu mogła pomóc. Zmieniała kompresy na coraz bardziej rozgorączkowanym czole, podawała opium, gdy jęczał z bólu, obmywała z potu. Widziała, że odchodzi, ale nie dana im była ostatnia rozmowa. Pan Kazimierz nie odzyskiwał przytomności. Czasem tylko rzucał się w malignie i z wielkim wysiłkiem charczał: „Jezusie Nazareński, wróg! Kryć się!”.

Nie polepszyło mu się nawet wtedy, kiedy sprowadzony ksiądz udzielił mu, i na wszelki wypadek tym dwóm na górcie, ostatniego namaszczenia. Siedziała więc i czuwała. Ileż to myśli przebiegło przez ten czas przez głowę Zofii!

Przede wszystkim wspominała.

Pierwszy raz zobaczyła Kazimierza na balu świętego Antoniego w Warszawie. Podczas zabawy zbierano pieniądze na niezamożnych chorych leczonych w ambulatorium pod wezwaniem świętego i stąd pochodziła dziwna nazwa tego rautu. Spotkać tam można było w ostatni poniedziałek karnawału niemal całe ziemiaństwo, ale też i co bogatszych mieszczan.

To był jej pierwszy bal! Dobrze pamiętała, jak pojechała z rodzicami wybierać swoją pierwszą balową toaletę. Wystawy sklepowe mieniły się barwami tęczy. Tu widać było pianę lekkich tiulów, tam błyszczącymi kaskadami spływał jedwab, a jeszcze gdzieś indziej pyszniły się cięższe materie – mora, tafta, aksamit, brokat. A co naoglądała się wstążek, koronek, galonów³⁰ naszywanych perłami, złotymi nićmi, pajetami³¹! Na innych wystawach zaś wachlarzy ze strusich piór lub sztywnej gazy, maleńkich torebek balowych z naszywanymi cekinami, zwanych *ridicules*, chusteczek cieniutkich jak pajęczyna, barwnych szali. Aż uśmiechnęła się do siebie na te wspomnienia, ale zaraz potem zgaśniła, bo przecież siedziała przy łożu umierającego męża, a o takich zbytkach myślała!

³⁰ galon – ozdobna taśma tkana z dodatkiem metalowych nitek

³¹ pajety – cekiny

Ciężkie życie miała Zofia u boku Kazimierza, bo nigdy nie mogła być pewna, czy odpowiednio zadba, czy będzie w nastroju, by sprostać obowiązkom. Trudny to był człowiek, w obłokach wiecznie bujający, a dla bliskich zgryźliwy, nieprzyjemny. Narzeczeńskie czasy wspominała jednak

jako wspaniałe. Dlatego teraz pozwoliła sobie przywołać w pamięci tamten bal.

Miała perłową suknię ze wzorem kłosów lawendy. Modny duży dekolt mama kazała jej przykryć jedwabnym szalem z frędzlami. Wokół tego dekoltu wyhaftowano pająkami błyszczący wzór. Czuła się taka piękna z popielatymi włosami po raz pierwszy upiętymi wysoko. Tańczyła najpierw z ojcem i ze Staśkiem, swoim pryszczatym kuzynem, który później ożenił się z panną z Wołynia i podobno teraz świetnie gospodarował na majątkach żony. Już wtedy zauważyła, że przygląda jej się młody człowiek o tak rozmarzonych oczach, że zawrotu głowy można było dostać od tego rozmarzenia. Jej wzrok sam go szukał w tłumie i raz po raz znajdował. Czerwieniła się wtedy gwałtownie i spuszczała oczy. On też widocznie zwrócił na nią uwagę, bo kiedy wodzirej zarządził przerwę na odpoczynek, widziała go, jak się niedaleko przechadza. Wreszcie zdobył się na odwagę i poprosił ją do tańca. Mama, która siedziała obok niej, koniecznie chciała najpierw wiedzieć, kto on i skąd, ale w końcu dała swoją zgodę.

Tańczyli walca, on jej szeptał do ucha słowa wiersza *Dobranoc...*, a ona straszliwie przejęta w myślach liczyła, by nie pomylić kroku – raz, dwa trzy. „W każdej ze mną przemówionej chwili...”. Raz, dwa, trzy... „Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy...”. Raz, dwa, trzy... „Niech gra w twoim uchu...”. Raz, dwa, trzy... „A gdy myśl zamroczy, niech się mój obraz sennym źrenicom przymili...”³².

³² A. Mickiewicz, *Dobranoc*.

Naraz jej źrenice zrobiły się coraz senniejsze, powieki coraz cięższe, dźwięki walca płynące z jej wspomnień coraz cichsze. Tylko zdążyła przypomnieć sobie, że jakiś czas potem, już po ślubie, Kazimierz odważył się wyrecytować jej dalszy ciąg tego wiersza: „Daj mi pierś ucałować. Dobranoc, zapięta”. Zasnęła.

Taka była zmęczona, że spała snem mocnym i zdrowym, bo mimo swoich lat organizm służył jej jeszcze nieźle. Obudziło ją czyjeś delikatne dotknięcie. Słońce zaglądało już przez okno suteryny, a nad nią stała kochana Marcelinka z zasmuconym wyrazem twarzy.

– On już nie żyje, proszę pani.

Od czasu kiedy Janek przywiózł jej rannego męża do domu, wiedziała, że tak się to musi skończyć. Czekala na tę chwilę z niepokojem, ale teraz, kiedy nadeszła, spłynął na nią spokój.

– Pomódlmy się za niego, Marcelinko.

Osunęła się na kolana i słowa cichej modlitwy popłynęły razem z równie cichymi łzami. Teraz dopiero Zofia zdała sobie sprawę, że był to człowiek nieszczęśliwy, goniący za ułudą, marą świata nie z tej ziemi, pełną blasków i wielkich emocji, a życie przecież zwykłe jest.

Formalnościami pogrzebowymi zajął się Janek Zarębski. Jego też, jako świadka śmierci pana Kazimierza, wdowa poprosiła o wygłoszenie wspomnienia o zmarłym. Próbował się wymigać od tego, ale tak nalegała, że wreszcie się zgodził. Tylko wypowiedzieć je chciał w domu przed najbliższymi i Zofia musiała mu przyznać rację. Niepotrzebne było rozgłaszanie całemu światu, że pan Kazimierz zginął w walce. Szpicli wszędzie czaiło się pełno, a losy powstania pozostawały niepewne. Bolało ją, że to tak wbrew obyczajowi, ale rozsądek zwyciężył. Na pogrzeb przyjechał także zawiadomiony o tragedii Antoś. Przywiózł ze sobą pannę Dominique.

Kiedy ksiądz skończył modły i karawan stanął przed dworem, otwartą jeszcze trumnę wyniesiono na ganek, by po raz ostatni wiosenne lutomierskie powietrze owionęło twarz pana Kazimierza.

– Opuszczasz nas, panie Kazimierzu Lutomierski – powiedział Janek na pożegnanie. – Odchodzisz, choć czas niepewny, a rodzina potrzebuje twej opieki. Ale złożyłeś swoje życie w służbie ojczyzny, zginąłeś, walcząc o jej wolność. – Głos Janka zadrżał niebezpiecznie.

Bogusia, wpatrując się w ukochanego oddającego cześć jej ojcu, poczuła, że wzruszenie i żal dławi ją nieznośnie i przymusza do szlochu. Jednak to nie wzruszenie odbierało Jankowi głos, ale świadomość, że w obliczu Boga, śmierci i księdza będzie musiał skłamać. Zebrał się jednak w sobie i z mocą wygłosił najgorsze kłamstwo:

– Zginąłeś śmiercią bohatera!

Potem słowa popłynęły Jankowi płynnie, ale myśl powróciła do tego deszczowego popołudnia, kiedy to już za Sierpcem, kryjąc się po lasach, przedzierali się w kierunku Płocka. Lasy tam rosły niewielkie, więc osłona słaba. Byli przemoknięci, a pan Kazimierz nabawił się potężnego kataru. Wyjechali właśnie na otwartą przestrzeń. Teren był falisty, unosiła się mgła.

Gdzieniedzie wiatr rozganiał ją trochę, ale w zagłębieniach leżały grube poduchy oparu. Panowała waciana cisza, jak to tylko w gęstej wilgotnej parze bywa, kiedy człowiek ma wrażenie, że coś zatkało mu uszy. Zwiad poszedł pierwszy, by zbadać teren, ale wrócił zaraz i gestami dał znać, że tam w tumanie kryje się jakiś oddział. Rosjanie. Niewielu ich... dadzą radę! Zerknęli na pana Kazimierza, czy wyda rozkaz do ataku, ale on niezdecydowany był, jakby przestraszony.

Faktycznie. To, co działo się, nie podobało się panu Kazimierzowi. Konrad Mickiewicza nie trząśł się nigdy w przemoczonej czamarze, nie czuł przy ognisku smrodu chłopskich kozuchów. Kordiana Słowackiego nie dręczył katar! Przede wszystkim zaś żaden z nich nie miał pojęcia, jak to jest, gdy rana zaognia się i gnije, jak cierpi człowiek, któremu choć tylko lekko oszołomiony był bimbrem, obcina się resztę zmasakrowanej wybuchem ręki czy nogi. Śmierć jawiła się panu Kazimierzowi dotychczas w pełnym majestacie jak śmierć generała Sowińskiego: na białym ołtarzu, poprzedzona długą i podniosłą przemową, piękna, patetyczna i szybka: „Aż go jeden żołnierz stary uderzył w piersi i przebił... Opartego na ołtarzu...”³³. Dlatego zawahał się pan Kazimierz i bał narazić na tak ohydne rany czy śmierć w błocie mazowieckich pól. W nosie go tylko wierciło nieznośnie i choć powstrzymywał się, jak mógł, to nagle kichnął tak potężnie, że odgłos ataku artyleryjskiego przy tym kichu przypominał szmer.

³³ J. Słowacki, *Sowiński w okopach Woli*.

– Naprzód! – wrzasnął wtedy Janek, bo czekać nie było już na co, jako że od strony Rosjan usłyszeli trąbkę wzywającą do ataku.

– Bij! – usłyszał za sobą prastary okrzyk bojowy i puścili się pędem w ten tuman, kierując się głosem instrumentu.

Mgła rzedniała przed nimi, a kiedy wjeżdżali w dolinkę, zobaczyli, że wojsk rosyjskich jest znacznie więcej, niż wydawało się zwiadowi, i że nie dadzą sobie z nimi rady.

– Do tyłu! Wiejemy! – darł się Janek co sił, bo atak na tak liczного wroga nie miał najmniejszego sensu.

Tumult się zrobił najpierw i zamieszanie, ale nim się Rosjanie zorientowali, o co chodzi, okulbaczyli konie i ruszyli, to Polacy już zmykali ile sił. Pędził też Janek w kierunku pobliskiego lasu, bo tylko tam miał

szansę na ratunek. Tam należało się ukryć i tych Rosjan, którzy odważą się za nimi w leśną głusz wejść, poszarpać.

Dojeżdżali już, kiedy zobaczył, że pan Kazimierz stoi tam, gdzie kichnął tak potężnie. Koń zaś pod nim spokojny i niespocony. Znaczy, nie poszedł do ataku! Stchórzył? On, dowódca?

Lutomierski rozglądał się zdezorientowany. Szarpnął konia, by go zawrócić i uciekać razem z innymi chyba zbyt nerwowo, a koń, nieprzyzwyczajony do takiego traktowania, wierzgnął nagle, skoczył, grzbiet wygiął w pałąk i pan Kazimierz wyleciał z siodła jak z procy. Zebrał się jednak szybko i ruszył do ucieczki.

Zauważył to Janek i popędził, by wciągnąć go na swojego wierzchowca, ale już go któryś z Rosjan wyprzedził, już szablą machnął i sięgnął nią pana Kazimierza od tyłu i trochę z boku. Lutomierski padł, ale Janek nie zdołał zobaczyć, co się z nim stało. Wjechali w las. Tu zwolnili. Ukryli się za drzewami, a nabite strzelby trzymali w gotowości. Kto tylko z wroga podejdzie bliżej, trupem położą. Tu dopiero rozegra się walka!

Rosjanie już wiedzieli, czym pachnie partyzancka wojna z Polakami. Nie kwapili się zatem za nimi do lasu. Widać jakieś inne rozkazy mieli, bo pokręcili się tylko trochę w pobliżu i odjechali.

Kiedy zapadł zmrok, Janek wysłał jednego z oddziału do wsi, by skołował jakąś furkę dla rannych. Tak, w zasadzie to im się udało. Tylko pan Kazimierz ucierpiał w tej potyczce. Ale za to jak! Janek od razu wiedział, że ojciec jego Bogusi żywy z tej kabały nie wyjdzie.

Zarębski otrząsnął się trochę ze wspomnień, które błyskawicą przemknęły mu przez głowę. Rozejrzał się po zgromadzonych na ganku ludziach i zobaczył oczy ukochanej pełne łez, ale i patriotycznego uniesienia, jak przystało na córkę tak wychwalanego za bohaterstwo człowieka.

– Żegnamy dzielnego żołnierza! – powiedział na zakończenie, całkowicie rozgrzeszając się pod wpływem tego wzroku z kłamstw, które wygłosił przed chwilą.

Synowie, pan Franciszek i on sam podnieśli trumnę. W powadze złożyli ją na karawan. Konie ruszyły, a za nimi formował się pochód żałobników. Znowu padał deszcz i przeciekał przez wieko trumny, ale panu Kazimierzowi było to już obojętne.

Rozdział 16

Tymczasem na górze dochodziło do siebie dwóch rannych powstańców. Jednym z nich był Konstanty Gosztowicz, a drugim Teofil Łagierski, ten sam, który jeszcze niedawno ściągnął na kulig do Lutomerzyc Janka Zarębskiego.

Teofil ocknął się pierwszy i rozejrzył po maleńkim pomieszczeniu ze skośnym stropem, perkalową zazdrostką³⁴ rozwieszoną w oknie w kształcie wolego oka i szmacianymi dywanikami przy łóżkach. Nie znał tego pokoju. Nie przejął się tym zbyt, zadowolony, że dane mu było ciągle oglądać piękno tego świata, choć w tej chwili ubożuchne i schludne. Czyjaś troskliwa ręka postawiła przy jego łóżku stołek zmajstrowany przez domorosłego stolarza, a na nim kubek z rumiankiem i pajdę chleba suto obłożoną plastrami cudownie pachnącej szynki, pewnie na wypadek, gdyby się ocknął i był głodny. Był. Dzięki jego ukochanej chemii, którą z zapałem studiował w Szkole Głównej w Warszawie, nabył też trochę wiedzy medycznej, a ta nakazywała mu najpierw rozejrzeć się po własnym ciele. Przesunął więc czujnymi dłońmi po swoich ramionach, brzuchu, nogach i domacał się dużego opatrunku na udzie.

³⁴ zazdrostka – niewielka firaneczka zawieszona w połowie okna

Pamięć wracała mu powoli. Przypomniawszy sobie, jak wyruszyli z wojskiem w kierunku Myszyńca. Wiódł ich sam Padlewski, a dojść chcieli aż na Kurpie, by podnieść bunt przeciwko carowi na całym Mazowszu. Teoś był w oddziale, którym dowodził Gosztowicz. Nie mieli szczęścia. Niedaleko Zakroczymia natknęli się na duży oddział rosyjski. Choć Rosjanie siedzieli w większej części po garnizonach, to ci spotkani pewnie dostali rozkaz, by przenieść się do Georgijewska, bo szli w tamtą stronę. Partyzanci chcieli ominąć wroga chyłkiem, ale trafili na zwiadowców, którzy zaalarmowali resztę. Gosztowicz dał rozkaz wycofania się. Zaraz padły strzały. Jeden sięgnął pana Konstantego. Spadł z konia. Teoś skoczył na ratunek dowódcy. Tuż za nim byli Rosjanie. Poczł nagły ból w udzie, a potem jak przez mgłę pamiętał, że Gosztowicz ciągnął go w pobliskie zarośla, jak sił mu ubywało z każdą sekundą, jak zdał sobie sprawę, że ma krwotok i jeśli nie założy sobie opaski powstrzymującej krwawienie, to koniec z nim. Potem już Teoś niczego nie pamiętał, ale widocznie jakoś się opatrzył, skoro żyje.

Znowu otworzył oko, by znaleźć jakiś stały punkt. Wydawało mu się, że łóżko, na którym leży, spada w bezdenną przepaść, ale pokój zawirował mu przed tym okiem tak gwałtownie, że zamknął je czym prędzej.

Sporo tej krwi musiałem stracić, pomyślał sobie, rozpoznając u siebie objawy, o których mówił mu Jaś Zarębski, a ten się znał, bo na innym wydziale Szkoły Głównej studiował medycynę. Ale żył, tylko jeść trzeba będzie solidnie, ale przeciwko temu Teoś nic nie miał. Wręcz przeciwnie.

Kiedy tak leżał i zbierał siły, by podnieść się i sięgnąć po ten chleb i szynkę, drzwi pokoiku otworzyły się i ktoś wszedł lekkim krokiem. Jakaś postać zwiewna, biała, w koronie ciemnych włosów. Twarzy nie mógł Teoś rozeznaczyć, bo w wirowaniu, które objęło całą jego głowę, rysy jej się rozmazywały.

– Obudził się pan. Trochę bulionu dobrze panu zrobi. – Zjawa głos miała melodyjny i z lekkim francuskim akcentem, co szczególnie słychać było w wyrazie: trochę.

Teosiowi wydało się to urocze.

Zjawa z zadziwiającą zręcznością i siłą uniosła go nieco, podłożyła pod plecy dodatkową poduszkę i podała do ust łyżkę pełną ciepłego, pożywnego wywaru.

Szczęście ma na imię bulion, pomyślał sobie Teoś, czując, jak ożywczy płyn ścieka mu rozkosznie do żołądka. Przymknął oczy. Nakarmiony zasnął.

Kiedy obudził się, nadal panował dzień i słońce zaglądało do okna. Zobaczył na swoim stołku szklaneczkę z zawilcami. Tak go to rozczuliło, że łza potoczyła mu się po policzku. Zaraz ogarnęła go radość i przypomniały mu się skoczne dźwięki skrzypiec jego stryja oraz słowa przyśpiewki, którą ktoś, nie pamiętał już kto, zaśpiewał mu podczas sąsiedzkiego wesela: „Bo wystarczy tylko chwilka, by rozkochać Teofilka!”. Wtedy śmiał się rozochocony tańcem i winem, a teraz melodia ta brzmiała mu w uszach, słowa pioseneczki skojarzyły mu się z ciemnowłosą zjawą tak zabawnie wypowiadającą „r” w wyrazie „trochę” i białymi zawilcami w szklance z grubego szkła.

Czekał na swojego anioła i czekał. Serce biło mu gwałtownie za każdym razem, kiedy drzwi do ich pokoiku otwierały się ze zmęczonym skrzypieniem. Jednak wpadały tu czasem tylko obydwie panny

Lutomierskie, a najczęściej panna Stanisława, osoba z lekka zgorzkniała i zrządzająca.

Aż kiedyś weszła do pokoju pani Zofia. Było w niej coś cichego i łagodnego. Czarna suknia podkreślała bladość jej cery, delikatny róż warg i szaropopielaty kolor włosów. Nie była to bezbarwność, tylko jakaś świetlistość. Teofilowi wydawała się przez to podobna do rodu aniołów i dlatego odważył się spytać o tę pannę z francuską manierą.

– Panna Dominique wróciła już do Warszawy – usłyszał.

Zmartwiło go to i ucieszyło. Zmartwiło, bo to znaczyło, że przez najbliższy czas jej nie zobaczy, a ucieszyło, bo okazało się, że wiedzą tu o niej dostatecznie dużo, by mógł ją znaleźć.

Pani Zofia tymczasem podeszła do drugiego rannego.

– Panie Konstanty! – Dotknęła lekko jego ramienia, bo wydawało się, że śpi. – Panie Konstanty, trzeba coś zjeść.

Konstanty Gosztowicz znajdował się w trudnym położeniu. Kula ugodziła go w lewe ramię, przechodząc pod obojczykiem, a kiedy spadał z konia, złamał sobie drugi. Teraz więc nie władał ani jedną, ani drugą ręką i zdany był całkowicie na opiekę innych. Upokarzało go to, choć bardzo starał się nie dać tego po sobie poznać. Zastanawiał się, czy otworzyć już oczy, czy poczekać chwilę, bo może ona muśnie jego ramię jeszcze raz.

Pan Konstanty tęsknił za tym dotykiem od lat. Kiedyś, dawno temu, jego kolega ze studenckich lat poprosił go o to, by świadkował mu na ślubie. Konstanty wtedy odbywał praktykę w Bawarii, bo interesowało go profesjonalne browarstwo. Przyjechał na ten ślub do Lutomierzyc tuż przed ceremonią. Czekał razem z Kazimierzem, panem młodym, u stóp ołtarza i wtedy zobaczył ją po raz pierwszy. W białej sukni, zwiewna, jasna, jakby nierzeczywista patrzyła na swojego przyszłego męża z taką miłością, że Konstantemu aż dech zaparło z żalu, że to nie on jest tak kochany. Pamiętał, że pomyślał sobie wtedy: jaki ja podły jestem, bo tak zazdrościł, że ta panna młoda nie jego miała być, ale najlepszego przyjaciela.

Sam był już po słowie ze swoją przyszłą żoną Cecylią. Całe ich małżeństwo potem starał się wynagrodzić jej fakt, że tak naprawdę jego miłość była nic niewarta, skoro tamta kobieta, żona jego przyjaciela, zrobiła na nim takie wrażenie. Dlatego też wynieśli się oboje z okolic Lutomierzyc. Gorąco współczuł Cesi, kiedy zachorowała. Zrobił wszystko, by ją ratować

i by nie cierpiała. Dobra z niej była kobieta i Konstanty wspominał ją czule. Ale to nie było to. Nie, nie było. Wiedział o tym od dawna.

– Proszę się obudzić, panie Konstanty. – Pani Zofia dotknęła jego ramienia jeszcze raz.

Uśmiechnął się, zanim otworzył oczy. Ciekawe, jak by się zachowała, gdybym jej teraz nagle powiedział, że kocham ją od lat, zastanowił się przez moment, a potem spojrzał. Czarna suknia przypominała o niedawnej śmierci Kazimierza. Nie może jej teraz tego zrobić. Poczekaj trochę.

Zofia zmieszała się pod wpływem tego uśmiechu i spojrzenia.

– Proszę usiąść, poprawię poduszkę.

Znaleźli się tak blisko, że jeden maleńki ruch, a ich ciała zetknęłyby się ze sobą i to by wystarczyło, żeby przywrzeć do siebie i już nigdy się nie rozdzielić. Przynajmniej takie uczucie miał Konstanty.

Pani Zofia odwróciła się gwałtownie, by ze stojącego nieopodal krzesła przynieść jeszcze jedną poduszkę i podłożyć mu pod plecy. Gdy wróciła do niego wzrokiem, Konstanty dostrzegł w nich siłą gaszony ogień, rumieńce na policzku, usłyszał nawet tłumione westchnienie. A może tylko mu się wydawało?

Tymczasem jego opiekunka kroїła na talerzu wołowy stek, starannie nabierała na widelec porcje okraszonych kartofli, świeże liście sałaty, którą już wyhodowano w przydworskich inspektach, i starała się całkowicie skupić na tych czynnościach. To, co właśnie poczuła, wydało się jej tak nieprzyzwoite, że wzburzyło ją do głębi. Jak ona, wdowa dopiero od tygodnia, mogła pozwolić, by taka grzeszna chętką... tak, chętką, bo przecież nie pragnienie czy, uchowaj Boże, namiętność... mogła ją opanować choćby na chwilę. Uspokoić się i przestać myśleć! – nakazywała sobie. Musiała tymczasem podnieść na niego wzrok, kiedy podawała mu widelec z jedzeniem do ust. Musiała popatrzeć na te usta i na białe, nieco drapieżne zęby.

Uśmiechnął się do niej.

– To trochę krępujące – zaczął się tłumaczyć.

– Proszę tego w ten sposób nie odbierać. Pan walczył, jest ranny...

On jakby nie słyszał jej słów.

– Taka intymność w tym jest – mówił dalej z lekka rozmarzonym tonem.

Widelec zatrząsł się jej w rękach, a liść sałaty suto omaszczony śmietaną spadł na kołdrę.

– Przepraszam, zaraz zmienimy pościel.

– Nie, nie trzeba!

– I tak miałyśmy to zrobić dziś z panną Stanisławą.

Choć tak strasznie speszona, spróbowała się uśmiechnąć do niego i nic nie mogła poradzić, że to uczucie intymnej bliskości rozgaszczało się w jej świadomości coraz bardziej.

Wieczorem usiadła przed lustrem i szczotkowała włosy. Niemal czuła na sobie wzrok Konstantego. Niepokoiło ją to w najwyższym stopniu, a jednocześnie rozlewała się w niej cudowna słodycz.

Tak zatopiła się w swoich myślach, że niemal nie zauważyła, iż po drugiej stronie zwierciadła usiadła Zośka i z jawnie rozanielonym wzrokiem także sięgnęła po szczotkę do włosów.

– Kobieta musi usłyszeć od czasu do czasu, że jest ósmym cudem świata – odezwała się.

– Konstanty ci tak powiedział? – Dopiero kiedy przebrzmiało to pytanie, Zofia zdała sobie sprawę, że zadała je jedynie po to, by móc wymówić to imię.

– Konstanty? – W głosie Zośki słyhać było wyraźnie frustrację. – Konstanty chodzi jak chmura gradowa i się do mnie nie odzywa.

– Ach tak? – Mimo swoich rozterek Zofia poczuła się tą wiadomością trochę zaniepokojona.

– To Kazimierz. Ten człowiek tak dobrze rozumie kobiety! Ale u ciebie coś się stało. Jesteś taka... inna.

– Inna...

Naraz Zofia poczuła gwałtowną potrzebę zwierzenia się ze swoich niestosownych uczuć. Chciała usłyszeć samą siebie, jak się gani, jak potępia. I chciała ostrzec Zośkę. Ona przecież dobrze знаła jednego takiego Kazimierza, który recytował wiersze, który potrafił zrozumieć najlżejsze drgnienia kobiecej duszy, ale potem okazało się, że to był tylko pozór, fasada, za którą krył się twardy egoizm. Dla takich mężczyzn kobieta bywa często tylko lustrem, w którym ma się odbijać ich wspaniałość. Tłumaczyła się więc gwałtownie przed Zośką ze swoich karygodnych emocji, nie bacząc na to, że ona tam po drugiej stronie zwierciadła też domaga się głosu, nerwowo machając rękoma.

– Gdybym była tobą... – Zofia usłyszała, że Zośka wypowiada identyczne słowa.

– Gdybym była tobą... – Zośce wreszcie udało się wtrącić w monolog imienniczki w momencie, kiedy ta lekko ściszyła głos.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, poczuła, że stało się coś dziwnego. Co? Nie wiedziała.

Wiele lat potem, a przez ten czas nie odważyła się mówić o tym z kimkolwiek, myślała, że czasoprzestrzeń, w której ona i Zofia były uwięzione, musiała się jakoś zagiąć w sposób niekontrolowany albo – jeśli KTOS to kontrolował – zrobił jakiś niezwykły eksperyment. W tym momencie, kiedy wypowiedziały te słowa w idealnie tym samym czasie, a głosy ich miały zupełnie taką samą amplitudę drgań. W każdym razie stało się COŚ!

W efekcie poczuła, że nie może oddychać. Duszno jej się zrobiło straszliwie, chciała odetchnąć głębiej, ale coś ją krępowało. Położyła dłoń na brzuchu tuż poniżej żołądka, bo tam ją uciskało najbardziej i poczuła pod palcami jakiś pancerz wzmocniony fiszbinami, w który jakimś cudem została włoczona. Spojrzała na to coś, co ją tak dokuczliwie uwierało. Przerażliwie ciasna góra sukni zrobiona była z czarnej, miłej w dotyku wełny i ozdobiona drobno plisowaną falbanką. Jak to się nazywało? Zośka zastanawiała się przez moment, jakby nie miała w tej chwili poważniejszych zmartwień, i niemal natychmiast nasunęło jej się odpowiednie słowo: riuszka! Leciuteńko tym pocieszona odważyła się spojrzeć niżej. Od pasa w dół jej suknia miała rozłożystą spódnicę. Ale cóż to była za spódnica! To nie spódnica, a namiot przynajmniej dwuosobowy rozpostarty na stelażu, który wyraźnie czuła pod dłońmi, bo niemal bezwiednie obmacywała szczegóły swojego stroju. Matko Boska! Krynolina!

Wszystko czarne! Niczym nieozdobione, jeśli nie liczyć cieniutkiej białej tasiemki okalającej kołnierzyk ciasno opinający szyję. A pod kołnierzykiem? Brosza też oczywiście czarna w formie medalionu. Przerazona spojrzała w lustro. Po jego drugiej stronie siedziała nie mniej przerażona Zofia, bezskutecznie próbując zasłonić nogi łatwo rozciągliwą dżersejową sukienką sięgającą tylko kolan.

– Wracaj tu natychmiast! – próbowała niemal na bezdechu krzyknąć Zośka, bo gorset uniemożliwiał jej oddychanie. – Przecież ja się w tym świństwie uduszę!

– Jaka nieprzyzwoitość! – Lutomierska była wzburzona. – Co za brak skromności i wstydu!

Obie niemal równocześnie rzuciły się obmacywać lustro w poszukiwaniu tajemniczego portalu, który umożliwiłby im powrót do własnych światów. Ale nic takiego nie dało się znaleźć w toalecie. Wyglądała najzwyczajniej na świecie i nigdzie nie kryła tajemnej zapadni, która otwierałaby drzwi do podróży czasie.

– No, nie wytrzymam! – wysapała Zośka, którą podczas nerwowych poszukiwań gniółł coraz bardziej gorset. – Muszę ściągnąć to ohydne okucie!

– Boże cię broń! – zawołała przerażona Zofia. – Przecież w każdej chwili ktoś tam może wejść! Marcelinka! Pokojówka! Nastusia albo Bogumiłka!

– Bez pukania?!!

Zośka zerwała się z całkiem wygodnego fotelika, na którym siedziała do tej pory przed toaletką, by jakoś zabarykadować się w pokoju, i poczuła, jak rozkołysane gwałtownym ruchem obręcze krynoliny pozbawiają ją równowagi. Trwało to tylko sekundę, która wystarczyła jedynie na to, by obrócić się w kierunku łóżka.

– Ach! – usłyszała stłumiony krzyk Zofii i padła jak długa. Zadarta w górę krynolina odsłaniała Zosine nogi w grubych czarnych pończochach i długich pantalonach. Także czarnych! Wszystko to dokładnie mogłaby obejrzeć sobie jej imienniczka przez lustro tej niebezpiecznej toaletki, ale skromnie przymknęła oczy.

– Krynolina wymaga delikatności i elegancji w ruchach! – udzieliła porady Lutomierska. – Ma się przy chodzeniu tylko bardzo lekko kołysać. Żadnych szybkich ruchów!

– Jak się tego pozbyć!? – jęczała Zośka, gramoląc się z łóżka.

– Nie będziesz mnie kompromitowała! – syknęła Zofia nad podziw energicznie. Pierwsza zaczęła myśleć, co robić w tym nadzwyczajnym położeniu. – O rozbieraniu się w środku dnia nie może być mowy! Tu raczej ubrać się trzeba!

– Jeszcze? W co? – Krew chyba nie dopływała Zośce do głowy, bo nagle straciła zwykłą werwę.

– Ja się powinnam ubrać! Te barchany są nieprzyzwoite! Nawet jako koszula na noc się nie nadają, bo krótkie! I co ja mam na głowie?!

Pani Lutomierska włosy miała zebrane w koński ogon gumką frotką trochę byle jak. Była to fryzura Zośki na domowe dni, a dziś sobota, nie wybierała się nigdzie. Wolne.

Cóż z tego?! Na takie niechlujstwo nie można było pozwolić! Używając chyba wszystkich szpilek, wsuwek, spinek, które znalazła na toaletce, Zofia spięła włosy z tyłu głowy. Za to cudem przeniesiona do dworu w Lutomierzycach Zośka miała kunsztowną fryzurę. Popielate włosy rozdzielone były idealnie prostym przedziałkiem i zaplecione w warkocz, a ten upięty nad karkiem w kok. W uszach złote kolczyki z czarnego onyksu kołysały się łagodnie i podkreślały koloryt lekko zaróżowionej cery. W tej czerni było jej do twarzy, choć przydałby się także akcent w innym kolorze.

– Co ty z tą czernią? – Zośka wszystko rozumiała, ale czarne pantalony uważała za przesadę.

– Żałobę mam – odparła Lutomierska ze zniecierpliwieniem. Brak gorsetu i krynoliny błyskawicznie rozluźniał jej obyczaje. W swoim czasie nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie okazanie rozdrażnienia. – W co ja się tu mogę ubrać?

– Bierz, co chcesz. – Przyduszona Zośka machnęła ręką.

– Skąd? – Zofia stała bezradnie przed przesuwanymi drzwiami szafy.

– Odsuń – Zośka gestem pokazała, jak sobie z nimi poradzić.

Wtedy obie zdały sobie sprawę, jak trudno im będzie w nieznannej rzeczywistości. Usiadły więc przed lustrem i przerywając sobie nawzajem, zaczęły jedna drugiej udzielać wskazówek.

– Dzwonek na służbę leży na sekretarzyku.

– Żeby zapalić światło, trzeba pstryknąć tym pstryczkiem na ścianie koło drzwi.

– Szwaczce, co ma przyjść jutro, wydaj materiał, który leży w składziku za kredensem, by uszyła domowe suknie dla dziewcząt i dla mnie. Ten czarny. To tylko wełna, ale do obszycia i delikatnych ozdób pozwól dziewczętom wziąć skrawki mory.

– W kuchni nie ma żywego ognia. Postaw na płycie naczynie i przekręć odpowiednią gałkę. To wystarczy.

– W lampie knot trzeba od czasu do czasu przycinać specjalnymi szczypczykami, żeby nie kopcił.

– Jaka płyta? Jaka gałka?

– Szczypczyki? Gdzie są szczypczyki?

Im więcej mówiły, tym bardziej nabierały pewności, że to się musi skończyć dramatycznym nieporozumieniem i kompromitacją. Nastrój paniki ogarniał je z coraz większą siłą.

– Ja to cholerstwo muszę przynajmniej trochę rozluźnić! – błagała ze łzami w oczach Zośka.

– Źle się pani czuje? – W drzwiach stanęła Marcelinka i z wyraźnym niepokojem spojrzała na swoją pracodawczynię.

Zośka milczała i zastanawiała się, jak należy się zwracać do służby. Na ten temat Zofia nie udzieliła jej żadnych wskazówek.

– Może gorset trochę rozluźnię? – domyśliła się nadzwyczaj trafnie Marcelinka.

– Och, tak!

Operacja okazała się skomplikowana. Trzeba było najpierw odpiąć kołnierzyk, potem całe mnóstwo haftek z tyłu sukni, wreszcie poluzować jakieś sznurówki na plecach, ale dzięki temu udało się Zośce przynajmniej trochę głębiej odetchnąć. Na moment.

– Pan Konstanty chyba gorzej się czuje – rzekła służąca, a Zośka znowu wpadła w panikę. – Gdyby pani do niego zajrzała.

Gdzie? Przecież zgubi się we własnym domu! Znała tu tylko sypialnię! Nie miała pojęcia, co jest za jej progiem!

– Poświecę pani. – Marcelinka zapaliła stojącą na toaletce lampę. – Ściemnia się.

– Tak! – ucieszyła się Zośka. – Idź przodem.

Wyszły do małego korytarzyka, z którego prowadziły drzwi do kilku pomieszczeń, potem do większego pokoju, w którym stały ogromny stół obstawiony kilkunastoma krzesłami i wielkie kredensy pod ścianami. Zośka rozglądała się uważnie. Tu najwyraźniej była jadalnia, a dalej przez otwarte szeroko dwuskrzydłowe drzwi widać było rozległy pokój z fotelami i kanapami. W kącie stała wielka palma, a niedaleko niej piękny fortepian. Tu jest salon, zanotowała Zośka w pamięci, ale nie weszły tam, bo Marcelinka skręciła w następny korytarzyk, z którego jedne otwarte drzwi prowadziły schodami w dół do kuchni, o czym świadczyły zapachy stamtąd dochodzące. Tamtędy jednak nie poszły. Marcelinka otworzyła pomalowane na biało niewysokie drzwiczki widniejące naprzeciw. Za nimi znajdowały się schody na górę. Trochę wąskie i strome. Krynolina Zośki

ledwie się w nich mieściła. Na piętrze z maleńkiego podestu znowu gdzieś prowadziła para drzwi. Weszły do niskiego pokoju z ukośnym dachem i oknem umieszczonym tak wysoko, że trzeba by się było wspiąć na palce, by przez nie wyrzeć. Stały tu tylko dwa łóżka z niewielkimi nocnymi szafkami obok, a w kącie staroświecka umywalnia z porcelanową miednicą i dzbankiem na wodę. Na jednym z łóżek siedział młody człowiek, który schował pod kołdrę gołe i owłosione nogi, kiedy tylko weszły.

– A cóż to, pan Teoś uciekać zamierza? Na bosaka? – zazartowała Marcelinka.

– Przepraszam najmocniej – zmieszał się młodzieniec, patrząc na Zośkę.
– Ale tak sobie pomyślałem, że może wstać już powinienem.

– Może – odpowiedziała mu, nie bardzo wiedząc, co ma z tym wspólnego.

Znowu z pomocą przyszła Marcelinka.

– Ubrania każe naszykować, bo przecież goły po salonie nie będzie biegać! I może pan Teoś na chwilę zejść na dół, ale się nie przemęczać!

– Dziękuję łaskawej pani – odpowiedział pan Teofil, ciągle patrząc na Zośkę, która nie wymyśliła nic innego prócz niepewnego uśmiechu i skinięcia głową.

Marcelinka postawiła lampę na szafce przy drugim łóżku, a sama poszła po obiecane ubrania. Zośka została sama. Pochyliła się nad śpiącym mężczyzną.

Boże drogi, pomyślała, toż to Konstanty! Ta sama z lekka siwiejąca czupryna, szerokie czoło, zarys trochę za dużego nosa i ten sam kształt ust! Miał gorączkę. Cienie pod zamkniętymi oczami świadczyły o chorobie. Co mu jest? Aha, ranny! Jaki bliski się jej wydał w tym obcym, nieznanym świecie!

Odkryła kołdrę. Leżał w lnianej koszuli zawiązanej u szyi długimi troczkami. Rozwiązała je. Delikatnie odsłoniła ramiona. Jedno całe było zasinione, drugie okrywał przesiąknięty krwią opatrunek z lnianych szmatek. Troskliwie odkryła ranę. Trochę ropiała i stąd pewnie ta gorączka.

– Zaparz rumianku i przynieś mi nowe opatrunki – powiedziała Zośka, gdy usłyszała wracającą Marcelinkę. Tak przejęła się ranami Konstantego, że znikło jej poczucie zagubienia w nieznannej rzeczywistości, a ogarnęła czułość. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, gładziła go delikatnie po nagiej piersi. Był taki swój, taki znany w tym obcym świecie.

– Stawiam tutaj, proszę pani – usłyszała nagle obok siebie głos służącej.

Drgnęła i zerknęła na twarz Konstantego. Miał otwarte oczy i patrzył na nią z zaskoczeniem, ale i lekkim uśmiechem.

Zmieszała się i czym prędzej zamoczoną w ciepłym rumianku szmatką zaczęła mu przemywać ranę.

– Miałem chyba piękny sen – powiedział cicho, a ona nie wiedziała, czy chce dać jej znać, że spodobało mu się to, co zrobiła, czy nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę gładziła go po nagiej piersi.

– Muszę oczyścić to zranienie, a potem proszę znowu spać. Sen to zdrowie.

Udawała opanowanie, ale tak naprawdę czuła się trochę zmieszana, a trochę ucieszona jego obecnością. Nie była tu już tak bardzo sama.

Rozdział 17

Tymczasem Zofii udało się jakoś odsunąć drzwi ogromnej szafy zajmującej całą ścianę sypialni. Zrobiła to niezręcznie i straszliwie skrępowana, bo w jej lustrzanej powierzchni odbijały się nogi odziane tylko w przedziwnie cieniutkie pończochy. Były jak gołe, co powodowało, że Lutomierska czuła się naga. Barchanowy worek, który miała na sobie, ledwie zakrywał jej kolana, nie podkreślał talii i był przeraźliwie niekobięcy. Jak można nosić na sobie takie paskudztwo, zastanawiała się, przypominając sobie jednocześnie, że Zośka widziana przed lustrem często miała na sobie odzienie gorsze niż chłopki pracujące przy żniwach. Przeglądała krytycznym okiem szmatki wiszące na wieszakach w szafie. Nic nie nadawało się do założenia przez przyzwoitą kobietę. Jedynie na końcu wieszaka zobaczyła suknię o odpowiedniej długości z lejącego się materiału w pięknym granatowym kolorze z delikatnym połyskiem. Opływała jednak ciało tak blisko, że Zofia poczuła się niezręcznie, bo dokładnie widać było, że nieściśnięta gorsetem talia ma przynajmniej dziesięć centymetrów za dużo w obwodzie. Suknia była też za mocno wydekoltowana, ale to Zofia mogła tolerować. Zresztą znalazła pasujący do niej szal ozdobiony frędzlami i przykryła nim ramiona. Teraz już nie bała się tak bardzo, że ktoś wejdzie do sypialni i zobaczy ją w niestosownym stroju. Suknia sięgała niemal ziemi. Gdyby założyć pod nią kilka halek, to pewnie nabrałaby nawet pięknej linii dzwonu.

Za drzwiami sypialni panowała idealna cisza, tak jakby w całym domu nie było nikogo, co wydawało się Zofii niemożliwe. Podeszła najpierw do okna i zaraz odskoczyła od niego przerażona. Wysokość była ogromna! Mieszkanie Zośki znajdowało się dużo wyżej niż jej pokój, który wynajmowali z Kazimierzem ostatnim razem w Hotelu Europejskim w Warszawie, choć znaleźli się tam nagle i wolne były tylko numery na trzecim piętrze! Jeszcze raz podeszła do okna. Daleko w dole zobaczyła ulicę, po której z zawrotną szybkością jeździły w obie strony pojazdy niezaprężone w konie! Co nimi poruszało, Lutomierska nie potrafiła sobie wyobrazić. Chwilę stała, wpatrując się jak zahipnotyzowana w niecodzienny widok, potem odwróciła się i postanowiła wyjść z pokoju. Musiała przecież jak najszybciej zorientować się w rozkładzie mieszkania, korzystając ze spokoju i ciszy.

Służba pewnie ma wychodne, pomyślała. Jej Marcelinka nigdy z czegoś takiego nie korzystała, ale Zofia wiedziała, że w miastach tak często bywa.

Z sypialni wyszła do niewielkiego salonu. A w zasadzie nie wiedziała, jak nazwać to pomieszczenie, bo znajdował się tu i stół, przy którym chyba jadało się posiłki, i wielka kanapa w kształcie litery U, i dwie ściany zastawione prostymi półkami pełnymi książek, i komoda, na której stały dziwne błyszczące przedmioty. Ich przeznaczenia nie była w stanie odgadnąć. Najdziwniejsza była ściana oddzielona od stołu niskim, długim przepierzeniem. Stał przy niej rząd szafek przykrytych wspólnym blatem, a małe witryny wisiały nieco wyżej. Była też osobliwa blaszana miska zagłębiona w wyżłobionej dziurze. Jedną z szafek pokryto czymś, co Zofia mogłaby nazwać czarnym szkłem, poniżej znajdowało się kilka pokręteł. Dziwne! Jeszcze inna była szczególnie wysoka. Zofia otworzyła ją i zdziwiła się mocno, bo na półkach zobaczyła resztki jedzenia. Kilka plasterków nie najlepiej uwędzonej szynki, jakiś ser w dziwnym, przezroczystym opakowaniu, słoiki z konfiturami ozdobione kolorowymi etykietami, niewielki kawałek kiełbasy i wędzonej ryby. Najbardziej jednak zdziwiły panią Zofię trzy świeże pomidory, jedna żółta papryka i kawałek melona. Był przecież przednówek! Nie czas na takie warzywa! Wszystko wyraźnie widoczne, bo wewnątrz szafki świeciły się jakieś małe latareczki i bił z niej przenikliwy chłód!

Chciała jeszcze pozaglądać do innych części mebli, ale usłyszała szcęknięcie w głębi korytarza, jakby ktoś otwierał zamek w drzwiach. Znieruchomiała i w pierwszym odruchu chciała czmychnąć do sypialni, ale siłą woli powstrzymała się. Wcześniej czy później będzie musiała zetknąć się z ludźmi w tym świecie. Przywołała na pomoc cały hart ducha, oparła się mocno o gruby blat i gotowa czekała na starcie z nową rzeczywistością.

Z korytarza wyłonił się pan Gosztowicz. Tego to się Zofia nie spodziewała! Młodszy jakiś jej się wydał, choć bez wątplenia on! Z tymi włosami z lekka przyprószonymi siwizną, odrobinę za dużym, ale kształtnym nosem i wyrazistymi oczyma.

– Cześć – powiedział i odczekał chwilę nieruchomo.

Chyba powinna odpowiedzieć mu tak samo, ale jakoś nie mogło jej to słowo przejść przed gardło. Taka poufałość?

– Wybierasz się gdzieś? – Wyraźnie słyszała w jego głosie, że też był z jakiegoś powodu skrępowany.

Ach, przecież! Przypomniała sobie! Byli z Zośką pokłóceni! A ona, Zofia, dobrze wiedziała, że mąż jej imienniczki ma na imię Konstanty, nie spodziewała się jednak, że będzie tak bliźniaczo podobny do jej lutomierskiego znajomego!

– Nie – udało jej się odpowiedzieć.

– Tak się ubrałaś...

– Niestosownie?

– Bardzo pięknie.

To była odpowiedź wymijająca, ale udzielona tak nieśmiałym i ujmującym głosem, że serce Zofii stopniało.

– Chciałbym wierzyć, że to dla mnie.

Matko Boska, Jezusie Przenajświętszy! Podszedł do niej stanowczo zbyt blisko! Zaraz jej dotknie! Popatrzył w oczy, a ona dostrzegła na jego twarzy rodzącą się nadzieję na coś!

Odsunęła się gwałtownie w popłochu. Nadzieja zgasła.

– Przepraszam.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Napijesz się herbaty? – zaproponował.

– Chętnie.

Przyglądała się, jak podszedł do miski, nad którą ze ściany wystawała lśniąca metalowa rurka, nacisnął sterzącą tam wajchę i z tej rurki popłynęła woda. Nalał trochę do dziwnego metalowego dzbanka i nacisnął na sterzący z niego wihajsterek. Otworzył jedną z szafek i wyciągnął z niej dwa kubki oraz kolorową cukierniczkę, a z jednej z szuflad łyżeczki.

– Mamy coś słodkiego?

Matko Boska! Skąd ona może wiedzieć, czy mają tu coś słodkiego! A może powinna zacząć mówić: czy my mamy? Boże, czy to już tak będzie na zawsze?

Milczała przytłoczona tym, co się stało, ale on nie czekał na odpowiedź, tylko zajrzał do następnej szafki i wyjął z niej podłużne pudełeczko owinięte kolorowym, cienkim papierkiem. *Jeżyki*, przeczytała napis. Konstanty ułożył mocno czekoladowe, okrągłe ciastka na talerzyku, włożył do kubków małe torebki z długim, białym sznurkiem i kawałkiem papierka na końcu i zalał je wrzątkiem z dziwnego dzbanka, który sam grzał.

To taki wygodniejszy samowar, pomyślała Zofia z uznaniem o urządzeniu.

– Zrobiłem ci owocową, tak jak lubisz.

Kiwnęła głową. Tak, dobrze, widocznie tu tak lubi. Tymczasem on wziął dwa kubki i zaniósł je na stolik stojący koło wielkiej kanapy. Złapała więc za talerzyk z ciastkami i poszła za nim. Będzie chciał z nią rozmawiać? Pewnie tak! Ale i temu jakoś trzeba stawić czoła.

Kanapa była niska. Pupa Zofii zagłębiła się w miękkim meblu, kolana podsunęły niemal pod brodę i by sięgnąć po kubek z herbatą czy ciastko, musiała się zgarbić. Ani tu marzyć o zachowaniu eleganckiej sylwetki! Mimo to usiłowała się wyprostować i wciągnąć brzuch, który wystawał nieprzystojnie nieściśnięty gorsetem. Zgroza!

– Boli cię coś? Menstruacja?

Splonęła gwałtownym rumieńcem. To w tym świecie mężczyzna, choćby mąż, może po prostu zapytać o tak intymne kobiece rzeczy? Nie, ona tego nie zniesie! Za którymś razem spali się ze wstydu! Pokręciła tylko przecząco głową. Nawet gdyby było to prawdą, nigdy w życiu by się nie przyznała. Nie wyobrażała sobie mówienia o swoich comiesięcznych dolegliwościach z Kazimierzem. Zawsze w takich wypadkach zwała winę na ciężką migrenę. O ile, oczywiście, Kazimierz jakimś cudem zwrócił uwagę na jej niedyspozycję.

– Zosiu, może porozmawiamy...

Oj, tylko nie to! Musi ochłonać trochę, rozejrzeć się najpierw po tym świecie!

– Wybacz, mój drogi, ale nie jestem jeszcze gotowa – odpowiedziała, starając się, by zabrzmiało to jak najcieplej. Nic z tego nie wyszło. Głos zabrzmiał sztucznie i nieszczerze.

– No tak... Uwierz mi, chętnie zawróciłbym czas, by to się nigdy nie zdarzyło. Głupi byłem! Pojęcia nie miałem, że tak trudno się będzie z tego wszystkiego później wycofać!

Kazimierz nigdy nie wypowiedziałby takich słów. Uważał, że ma prawo do zdrady, bo ona nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Może i nie spełniła, ale nigdy nie poinformował jej wyraźnie, jakie one są. Sama powinna się domyślić, czego mężczyzna oczekuje od kobiety. Wydawało jej się, że w noc poślubną się tego dowiedziała, ale widocznie nie było to wszystko. Przecież z uległością zaspokajała jego potrzeby. Przecież starała

się być dobrą gospodynią, dbała o dom i całe kobiece gospodarstwo. Przecież urodziła mu i wychowała czworo udanych dzieci!

A on ją zdradził. Więcej niż zdradził, bo zwykła zdrada zdarzała się w każdym niemal małżeństwie w ich sferze. On ją upokorzył! Dlaczego? Czym sobie na to zasłużyła? Odtrącił ją, z gniewem wyjechał! A potem już nie było okazji, by cokolwiek wyjaśnić. Odszedł bez cieplejszego słowa, bez pojednania.

Łzy zakręciły się Zofii w oczach pod wpływem tych świeżych przecież wspomnień.

– Nie rozmawiajmy jeszcze...

– Nie płacz, Zosiu, proszę cię, nie płacz!

Przysunął się do niej. Tego było jej za wiele. Rozszlochała się na amen. A on przygarnął ją i zaczął całować po włosach i oczach. Boże! Co ona robi?!

Wyrwała mu się z objęć i uciekła do pokoju z toaletką. Przecież w sercu powinna nosić ciężką żałobę po mężu! Przecież ją nosiła! Oczywiście, że ją nosiła! Przecież była uczciwą kobietą! Jednocześnie jednak czuła, że sto serc uderza jej w piersi. Ręce drżą, a usta pulsują z tęsknoty. Boże, jakże była występna!

Padła na kolana i zaczęła się modlić, by Pan ją ochronił. By zgasił ten płomień, który już się tlił. Już sama myśl o tym ogniu była ciężkim grzechem!

Słowa modlitwy powoli ją uspokajały. Oddech się wyrównywał. Kiedy jednak siadła przed lustrem, jej twarz ciągle płonęła. A tam, z drugiej strony, siedziała Zośka nie mniej od niej rozogniona.

Rozdział 18

– Powinnam ci coś powiedzieć! – wyrzuciły z siebie i popatrzyły z niepokojem na swoje odbicia, bo obie były pewne: ta druga narozrabiała w jej życiu!

– Ty pierwsza – zdecydowała Zośka. – Mimo wszystko mnie w twoich czasach jest chyba łatwiej. Znam ten świat przynajmniej z literatury.

Nie musiała zbyt długo namawiać Zofii, bo ona wręcz pałała chęcią podzielenia się z nią jakąś sensacją.

– To Gosztowicz!

– Kto? – Zośka nie rozumiała.

– Wszedł tutaj! Czuł się jak u siebie w domu i zrobił mi owocowy napar. Mówię ci, to Konstanty Gosztowicz!

– Wiem – westchnęła Zośka i nagle zaczerwieniła się na myśl, że wpakowała w niezłą kabałę panią Zofię tym mimowolnym głaskaniem nagiej piersi Konstantego.

– Stało się coś? – zaniepokoiła się pani Lutomierska.

– Myślę, że panuję nad sytuacją. – Zośka nie bardzo wiedziała, czy ma się przyznawać do każdego drobiazgu swojemu lustrzanemu odbiciu, czy też powinna jakoś wyprostować sprawy. – A u ciebie?

Teraz Zofia stanęła w pąsach.

– Ja także, ja także – szepnęła. – Powinnam zająć się poznawaniem twojego świata.

– Przebierz się tylko – poradziła jej Zośka. – Nie możesz cały dzień paradować w wieczorowej sukni.

Panika, z jaką spojrzała na nią Zofia, uzmysłowiła Zośce, że dużo brakuje Lutomierskiej do panowania nad sytuacją. Trzeba było jej pomóc.

– Ależ ja nigdy nie przyzwyczaję się do chodzenia z gołymi nogami! – jęczała Zofia, siadając przed rozbebeszoną szafą.

– To załóż spodnie!

Lutomierska włożyła spodnie, ale widok opiętych bioder i wyraźnie wyeksponowanych kształtów pupy przeraził ją jeszcze bardziej.

– To okropnie nieprzyzwoite!

– Wyciągnij do tego tunikę, długą marynarkę. Przecież musisz się jakoś dostosować do współczesności! – Zośka po trochu traciła cierpliwość.

– Muszę – szepnęła Zofia zrezygnowana i wśród sterty ciuchów znalazła dzierganą na drutach mantylkę o nietypowym kształcie.

– Zosiu, czy mogę? – Do drzwi dobijał się Konstanty.

– Chwileczkę! – Lutomierska w panice wcisnęła byle jak do szafy leżące na podłodze ubrania.

Nie było wyjścia, Zośka także musiała zniknąć sprzed lustra, a nie zdążyła zadać jeszcze bardzo ważnego pytania. Coraz bardziej chciało jej się siku, a ani w *Nocach i dniach*, ani w *Nad Niemnem* nie wyczytała, gdzie załatwiano takie sprawy.

Bardzo też była ciekawa, jak Zofia układa sobie stosunki z jej mężem, ale teraz nie mogła się nad tym zastanawiać, bo potrzeba fizjologiczna stawała się coraz bardziej paląca. Gdzieś tu musi być przecież drewniany kibelek z serduszkami wyrzniętym w drzwiach. Tylko gdzie? Niedaleko dworu, a jednocześnie niezbyt blisko frontu, próbowała dedukować. Dokuczający pęcherz sprawił, że znowu poruszyła się zbyt gwałtownie, ale już wiedziała, jak poradzić sobie z rozbujaną krynoliną. Złapała za jedną z obręczy, te bowiem z łatwością dały się wyczuć przez obfitą spódnicę sukni, i pobiegła do korytarzyka.

Jakieś zapasowe, boczne wejście powinno znajdować się obok kuchni, pomyślała. Rzeczywiście, w korytarzyku stały kalosze, więc drzwi musiały prowadzić na zewnątrz. Wyszła. Ogromny głaz zastępował tutaj schodek, a spod niego wychodziły dwie ścieżki. Szersza kierowała się ku frontowi dworu, a węższa w stronę położonych dalej zabudowań odgrodzonych od dworu pasem bezlistnych teraz krzaków.

To musi być tam, pomyślała i wyżej uniosła krynolinę. Nadeszła odwilż, trzeba było uważać, by nie poślizgnąć się na błocie. Jej delikatne trzewiki przemokły natychmiast. Nie było jednak czasu, by się przejmować drobiazgami. Tam, z dala, w krzakach zobaczyła upragnioną budkę. Dopadła jej w ostatniej chwili! Zamknęła drzwiczki na śmiesznej drewnianej zapadkę, przycinając sobie ogromne spódniczysko. Jeszcze raz! Otworzyć drzwi wygodki, zgarnąć spódnicę, by cała zmieściła się w budyneczku, i zamknąć się. Wreszcie, udało się! A teraz unieść jakoś do góry te zwoje materiału, z których w jej świecie dałoby się uszyć sukienki dla całej szkolnej klasy. Już!

O matko! Majtki nie dawały się tak po prostu ściągnąć z pupy, tylko były wiązane na troczki! Nie miała już do tego cierpliwości. Szarpnęła tak silnie,

że coś popękało z cichym trzaskiem, ale ona wreszcie mogła się wysikać.

Podarte majtki nie nadawały się już do użytku. Zośka przyglądała się im ze zdziwieniem, korzystając z marnego światła wpadającego przez otwór w kształcie serduszka, wyrżnięty w deskach drzwiczek. Coś straszego. Troczki w pasie, troczki przy nogawkach, kłapa zapinana na guziki z przodu. Okazuje się, że wcale nie musiała zdejmować tych gaci, a mogła tylko je porozpinać. Długo nie dało się tego cholerstwa podziwiać, bo zapach chloru i smród fekaliiów okropnie dusił. Należało wynosić się stąd jak najprędzej.

W drodze powrotnej Zośka postanowiła rozejrzeć się po najbliższej okolicy. Dwór ze wszystkich stron obrastały pnącza. Zielony bluszcz piął się po ścianach, wczepiając się w nie malusieńkimi korzonkami, dla innych pnączy ustawiono drabinki, kratki. To chyba były róże, bo nad korzeniami wznosiły się kopczyki, a rozpięte na stelażach gałązki chroniły przed mrozem słomiane maty.

Park wokół dworu musiał być rozległy, bo nie mogła dopatrzeć się jego granic. Tylko z tyłu za wychodkiem zobaczyła padoki, po których biegało kilkanaście koni. Nawet Zośka, która nie znała się na jeździectwie nic a nic, widziała, że to końska arystokracja niemająca nic wspólnego z pługiem.

Znowu zaczęło mżyć, więc uciekła do dworu. W korytarzyku obok kuchni natknęła się na Marcelinkę.

– Co też pani wyprawia?! – Kuchmistrzynie aż zatchnęła się ze zgrozy. –

W samej sukni na taki ziąb? Toż by choć rańtuch³⁵ na siebie zarzuciła. A buciki?

³⁵ rańtuch – wielka wełniana chusta kiedyś popularna wśród szlachty, a w XIX w. noszona już tylko przez kobiety z ludu

Marcelinka pełnym oburzenia wzrokiem poszukała boskiego ratunku w belkowanej powale sionki i załamała ręce. Ta mina i ten gest wydawały się Zośce dziwnie znajome. Przyjrzała się służącej uważniej. Niemożliwe! Dzesika? Kucharka była krągła ponad miarę, co prawda, ale wychowawczyni Agatki też miała tendencję do tycia. Widocznie jednak twardo trzymała dietę. A jak naprawdę się nazywała? Zaraz, zaraz! Szczygieł! Marcelina Szczygieł! Pod wpływem tego odkrycia Zośka tak się rozczuliła, że pocałowała służącą w oba policzki.

– Och, nie gniewaj się na mnie, Marcelinko!

– No, co też pani! – ofuknęła ją kucharka ze zdziwionym zgorzeniem i ruszyła w kierunku schodów prowadzących do kuchennej suteryny. Oglądała się jednak na nią raz po raz z wyraźną troską w oczach.

Znowu zrobiłam coś nie tak, pomyślała Zośka, bo coraz wyraźniej widziała, że lektura *Nad Niemnem* i *Nocy i dni* nie uchroni jej przed różnymi wpadkami.

*

Odgłos zamykanych drzwi upewnił panią Zofię, że znowu została sama w tym nowym dla niej, warszawskim mieszkaniu. Odetchnęła z ulgą i ruszyła na dalsze poznawanie świata. Tym razem weszła do maleńkiego pokoiczku całego wyłożonego pięknymi chabrowymi kafelkami. Była tu wanna, a tuż obok niej na wymurowanej z takich samych kafelków półce stało mnóstwo przeróżnych flakoników i słoiczków. Coś pachniało. Zofia wzięła do ręki największą z buteleczek. *Płyn do kąpieli*, przeczytała. Widziała już, że wystarczy przesunąć trochę sterczącą nad kranem wajchę, by popłynęła woda. Wypróbowała urządzenie. Woda, najpierw zimna, zmieniła się po chwili w ukrop, ale wystarczyło kilka ruchów tym dziwnym przyrządem, a nabrała przyjemnej temperatury. Na wannie leżała zatyczka pasująca do dziurki na dnie, więc Zofia zatkała odpływ, a potem nalała trochę tego płynu. Pachniał świeżością, lasem, sosnowym igliwem. Zapienił się. Coś pięknego! Zrzuciła więc ubrania, uważnie przyglądając się bieliźnie. Już niczemu się nie dziwiła. Majtki były stanowczo zbyt skąpe, nawet pępka nie zakrywały, ale to, co nosiło się na piersiach, było niezwykle pomysłowe! I jak pięknie podkreślało kształt biustu!

Z rozkoszą zanurzyła się w kąpieli. Piana na wodzie zakrywała ją całą.

– Tato? Jesteś tam? – usłyszała naraz głos Bogusi. – Nie wiesz, gdzie poszła mama?

Szum nalewanej wody najwidoczniej zagłuszył to, co działo się w mieszkaniu, bo Zofia nie usłyszała, że ktoś wszedł.

– To ja, córeczko – odpowiedziała, sięgając po najbliższy ręcznik, by szybko wyjść z wanny.

Drzwi się otworzyły i do łazienki weszła Bogusia, która w tych nowych czasach najwyraźniej była córką Zośki, Agatą.

– Wzięłaś płyn taty? Też to czasem robię. Fajny, nie?

Przerazona Zofia błyskawicznie zanurkowała w wannie, by ukryć przed córką w pianie swą nagość. Woda gwałtownie chlupnęła na podłogę.

– Wszystko w porządku, mamuś? Poślizgnęłaś się?

Agata wyciągnęła ze schowka ukrytego w ścianie łazienki wiaderko z kijem zakończonym puciołowatą szmatką i wytarła nią podłogę, a potem wycisnęła wodę w koszyczku nałożonym na kubełek. Zofia w tym czasie starała się opanować panikę.

– Co się dzieje? – Agata usiadła na brzegu wanny i zanurzyła rękę w wodzie.

– Nic, naprawdę...

– Powiedz, przecież widzę! Już tak mam dosyć tych waszych tajemnic. Mamo, proszę cię! Jestem dorosła, wiele rozumiem, powiedz mi prawdę! Ja tak nie mogę żyć!

Łzy zakręciły się w oczach Bogusi, a raczej Agaty, a potem rozpląkała się na dobre. Lutomierska intensywnie myślała nad tym, jak powinna się teraz zachować, i jedno stało się dla niej oczywiste. Jeśli spróbuje w jakikolwiek sposób zwodzić córkę, jej kłamstwo niemal natychmiast wyjdzie na jaw. Za mało znała ten świat. A poza tym potrzebowała pomocy. Niech się dzieje, co chce! Powie prawdę.

Uniosła ręce ponad wodę, strzepnęła z nich resztki piany i sprawnymi ruchami wyciągała szpilki spinające jej włosy w kok nad karkiem. Wiedziała, że są znacznie dłuższe niż włosy Zośki. Agata patrzyła na te zabiegi coraz bardziej rozszerzającymi się ze zdumienia oczami.

– Mamo? – szepnęła całkiem osłupiała ze zdziwienia.

– Wyjdź, niech no się ubiorę, porozmawiamy.

Rozdział 19

Za oknem ciemniało. Żadna latarnia nie rozświetlała podjazdu do dworu, na który Zośka miała widok ze swojej sypialni. Wróciła tu, zdjęła przemoczone buciki i wpatrzyła się w lustro toaletki. Po drugiej stronie nie było nikogo.

Trzeba zapalić światło, myślała. Ale jak to się robi? Nie zdążyła podpatrzeć, jak Marcelina zrobiła to ostatnim razem. Czy w dobie powstania styczniowego używano już zapalek? Pewnie mam jakieś obowiązki, zastanawiała się dalej, ale nie miała pojęcia, na czym one miałyby polegać. Córki mam! Dwie! Chyba powinnam wiedzieć, gdzie są i co porabiają!

Chojrakowała przed panią Zofią, że panuje nad sytuacją, ale nie panowała. Cóż z tego, że przeczytała Orzeszkową, Prusa, a nawet większą część dzieł Rodziewiczówny, kiedy bez przerwy rozbijała się o drobiazgi dotyczące codziennego życia. Nie przypuszczała, że to będzie takie trudne. Na nic jej teraz, że tak przekonująco potrafiła wyjaśnić, iż utwór Orzeszkowej jest przykładem powieści tendencyjnej, a Wokulski nosi w sobie cechy romantyka i pozytywisty. Nie miała pojęcia, jak zapalić naftową lampę, która stała na etażerze obok toaletki.

Muszę stąd wyjść, muszę działać!

Zmobilizowała się na tyle, że ostrożnie, by nie rozkołysać zbyt mocno krynoliny, wstała z fotelika przed toaletką.

Wtedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę!

– Tak mateczka tu siedzi sama i po ciemku tyle czasu – do pokoju weszła Bogusia, kubek w kubek podobna do jej Agatki – że niepokoiłam się o mamę.

Kochana dziewczynka, rozczuliła się Zośka w myślach. Najchętniej przytuliłaby ją serdecznie, ale nie wiedziała, czy to wypada.

– Zamyśliłam się – odpowiedziała ostrożnie.

– Bo panu Konstantemu i Teofilowi trzeba by dać jakąś kolację, a i babcia Waleria się niepokoi. Ona już niedługo spać by się chciała położyć. A Marcelina chce zrobić na kolację szpinak z jajami!

Zośka tak wyraźnie usłyszała w głosie Bogusi-Agaty skargę, że zrozumiała. Najwyraźniej dziewiętnastowieczna wersja jej córki także nie

znosiła szpinaku.

– Chodź, porozmawiamy z Marcelinką, może się da ubłagać i zrobi coś bardziej zjadliwego. – Uśmiechnęła się do dziewczyny, ale ta odpowiedziała jej zdziwionym spojrzeniem.

Kurczę! Znowu nie tak! – zganiła się w myślach, ale poszła energicznie przodem, przytrzymując tę cholerną krynolinę, by za bardzo się nie rozkołysała. Trudno, nie da rady ustrzec się przed drobnymi wpadkami! Domownicy muszą ją zaakceptować taką, jaka jest!

W kuchni Marcelina siekała na miazgę podgotowane listki szpinaku.

– Koniecznie musimy jeść szpinak, Marcelinko?

Kucharka popatrzyła się na Zośkę zdziwiona.

– Panna Bogusia już naskarzyła, a pani jej stronę trzyma? To co mam z nim zrobić? Ma się zmarnować dobre, wartościowe jedzenie? Tyle tego się narozsiewało w ogrodzie, a dziś kobiety grządki przygotowywały, bo czas marchew i pietruszkę siać, więc wyrwać musiały. Pani zawsze taka skrupulatna gospodyni była, a teraz się coś poodmieniało.

– Poodmieniało się. – Bojowy nastrój jeszcze Zośce nie przeszedł.

Tymczasem Marcelina, do żywego obruszona myślą, że miałyby jakieś jedzenie wyrzucać, wcale nie zamierzała ustępować. Zresztą myśl o zniszczonych pantofelkach dodawała jej animuszu.

– Szpinak jest dobry na krew, a panienki blade po zimie i naszym rannym też potrzeba.

– Na krew dobre też buraczki – upierała się Zośka. – Jakby tak zrobić zasmażane.

– Buraczki pasują tylko do mięsa! – obruszyła się jeszcze bardziej Marcelina.

– To dajmy też jakieś kotlety!

– Mamy post! – wykrzyknęły zgodnie Bogusia z Marceliną.

O matko! – jęknęła w duszy Zośka, bo zorientowała się, że tym razem potknęła się o obyczajowy drobiazg w sposób nad wyraz spektakularny.

– Źle się czuję – wyszeptała więc tylko, łapiąc się za głowę. Nim uciekła z kuchni, zdążyła zauważyć, że Marcelinka z Bogusią wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

W swoim buduarze rzuciła się na łóżko. Ciemno zrobiło się już zupełnie. Za oknem zerwał się wiatr i tłukł w okna wielkimi kroplami deszczu. Gdzieś tam trwało powstanie, gdzieś, Zośka nie wiedziała gdzie, ukrywał

się jej jeden syn, a raczej syn Zofii, o którego też należało się martwić. Tu w domu, w którymś z pokoi, do których jeszcze nie dotarła, chował się drugi, a ona nie wiedziała, czy to Gustaw, czy Antoni. Cały majątek znalazł się na jej głowie, odpowiadała za los dzieci Zofii, innych domowników i służbę, a przecież nie potrafiła sobie poradzić nawet z kryoliną, majtkami i zaordynowaniem tego, co ma być na kolację! Klęska na całego!

Znowu rozległo się delikatne pukanie. Nim zdążyła krzyknąć, by nie wchodzić, drzwi się uchyliły, światło wpadło do pokoju i weszła Bogusia, trzymając w ręce zapaloną lampę.

– Mateczko, co z mamusią?

– Zapal i tu światło. – Zośka nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na to pytanie.

Bogusia wzięła jeden z patyczków leżących na maleńkiej tacce stojącej na etażerze, zapaliła go od swojej lampy i przytknęła do knota drugiej. W pokoju zrobiło się całkiem jasno.

– Co z mateczką?

– Tyle rzeczy, tyle spraw, takie niespokojne czasy – zaczęła Zośka niepewnie.

– Niech mateczka się nie martwi. Ma nas. – Córka pogładziła ją czule po ręce. – Gustaw z wiosną zajmie się zarządzaniem majątkiem, z Antosiem też będzie dobrze. W Warszawie przecież walk nie ma, a on jest mądry i ostrożny.

– Lepiej, by się w przegrane sprawy w ogóle nie angażował!

– Mama nie wierzy w to, że zwyciężymy?

Zośka zbyt pewna była swej wiedzy historycznej, by zwrócić uwagę na lęk, który zabrzmiał w głosie jej córki.

– Ależ kochanie – odpowiedziała – toż to rzucanie się z motyką na słońce. Rosja, Prusy i Austria są teraz u szczytu potęgi, a my? My nie potrafimy zapewnić dowództwa należytego temu powstaniu, jedności wśród narodu nie ma, a liczenie na to, że w Rosji wybuchnie powstanie antycarskie, to tylko nasze naiwne mrzonki. Ono nie wybuchnie! Kraj Przywiślański... – Zdrętwiała, ledwie usłyszała wypowiedziane przez siebie słowa. Przecież Krajem Przywiślańskim dopiero się staniemy po przegranym powstaniu! Spojrzała speszona na córkę, ale ta miała widać poważniejsze zmartwienia.

– A ci, którzy są teraz w boju? Ich los jest przesądzony? Tak mateczka myśli?

– Tak źle się czuję, nie zwracaj uwagi na to, co mówię. – Zośka próbowała się jakoś wykręcić od tej rozmowy, choć dobrze wiedziała, co będzie. Pełne więzienia, wyroki śmierci, masowe zsyłki na Sybir. Ale jak tu ostrzec ich wszystkich?

– Bo mnie się wydawało przez moment, że mateczka jakąś moc ma jasnowidzenia, tylko nie chce nam powiedzieć dokładnie, bo czarna przyszłość nas czeka.

– Może to i prawda? – Zośka udała, że się nad tą kwestią zastanawia. Ach, gdyby jej uwierzyli, mogłaby choć tę garstkę ludzi ocalić od tarapatów! – Tak mi się wydaje, że wizja mnie nasza, jakbym była romantycznym poetą. Tak silna, że przesłoniła mi dzień dzisiejszy.

Bogusia-Agatka przysiadła z wrazenia na zaścielonym szydełkową kapą łóżku i wpatrywała się w Zośkę trochę z przerażeniem, a trochę z nabożeństwem.

– Pan Krasiński o tym pisał, widać takie rzeczy się zdarzają. – Westchnęła. – Koronka przy spódnicy się mateczce chyba odpruła.

Zośka zerknęła na suknię, ale rozliczne koronki zdobiące skraj każdej z obfitych falban sukni trzymały się mocno.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała z lekka zdezorientowana taką nagłą zmianą tematu.

– To ja się myliłam! – odpowiedziała Bogusia niemal z radością, a Zośka zorientowała się, że jej córka sprawdzała, czy wraz z nabyciem jasnowidztwa Zośka, wzorem Orcia z *Nie-Boskiej komedii*, nie traci wzroku. Uśmiech córki zgasł jednak szybko.

– Coś cię martwi?

– Jaś Zarębski poszedł za panem Padlewskim, a wieści straszne o nich dochodzą. Czy tam widzisz, mateczko, coś o Jasiu?

Zośka pokręciła głową. Bo co miała powiedzieć? Że wojska Padlewskiego, ze wszystkich stron otoczone rosyjskimi oddziałami, będą się wymykać cudem? Że reszta tych wojsk dotrze niedługo w te okolice i rozjedzie się po swoich majątkach? Że po Wielkiej Nocy już praktycznie nie będzie na Mazowszu powstania? A Jaś? Któż może wiedzieć, czy wśród powracających będzie Jaś, kiedy to powstanie zaszokuje krwawymi ofiarami... Przygarnęła więc tylko córkę do piersi i utuliła.

– Boję się, mateczko – wychlipała jej w gors Bogusia.

– Ja też, kochanie, ja też!

– Nie martw się! Przecież Gucio w domu, a Antoś w Warszawie. Tam nie strzelają!

Siedziałyby tak jeszcze długo w pokoju rozświetlonym ciepłym światłem lampy naftowej i gadały, a Zośka może dowiedziałyby się jeszcze wielu rzeczy o tym świecie, ale przerwała im pokojówka, która oznajmiła, że szpinak już gotów i zaraz ostygnie. Zerwały się posłusznie i poszły do jadalni.

Wszyscy już na nie czekali. Zośka знаła domowników z opowiadań Lutomierskiej, więc bez trudu rozpoznała w mocno starszej i rzucającej pełne nagany spojrzenia pani swoją teściową. Pan Franciszek zerkał z niepokojem przez okno na widniejący w mroku nieopodal padok, po którym biegały cztery żwawe kasztanki. Jeden z nich zaczepiał pozostałe, a te uciekały przed nim, rżąc. Panna Stanisława na widok wchodzących poderwała się z krzesła i pognąła do kuchni pewnie po to, by zarządzić podawanie kolacji.

Powinnam usiąść u szczytu stołu, pomyślała Zośka i tam się skierowała. Jakiś młodzieniec wstał natychmiast i odsunął jej krzesło, by mogła wygodnie usiąść.

– Dziękuję, Gustawie – powiedziała, bo nie mógł to być nikt inny.

Chciał jej odpowiedzieć równie uprzejmie, ale nie mógł, bo nagle zaniósł się niepokojącym kaszlem. Tylko zaziębiony czy gruźlica?

– Trzeba zająć się tobą, synu, uważniej – powiedziała, siadając.

On tylko uklonił się jej bez słowa. Z kuchni przyniesiono wielki półmisek szpinaku obłożony dookoła jajkami, które ugotowano bez skorupki i przycięto w równiutkie koła. Wyglądało to całkiem apetycznie. Pachniało czosnkiem. Do tego Marcelinka przygotowała grzanki, na których rozpływał się ser posypany ziarenkami kminku. W ozdobnych miseczkach stały już na stole różne konfitury, w srebrnej maselnicy masło, bułka z kruszonką pokrojona na plastry leżała w koszyczku wyłożonym lnianą serwetką z rogami ozdobionymi kunsztownym haftem, złożonym z samych dziurek.

Już miała sięgnąć po te wspaniałości, kiedy zobaczyła, że oczy wszystkich zwrócone są z wyczekiwaniem na teściową siedzącą tuż obok na najwygodniejszym krześle z poręczami oraz... na nią.

Coś powinnam zrobić? Ja pierwsza? No, dobra. Sięgnęła po półmisek z apetycznym szpinakiem i już miała nałożyć sobie solidną porcję, kiedy kątem oka zauważyła, że pani Waleria podsuwa jej swój talerz. Aha! – zakrzyknęło coś w Zośce i ustrzegło przed następną wpadką. Obsłużyła więc swoją teściową, a potem nałożyła solidną porcję sobie. Była wściekle głodna. Wywołała tym lekkie zdziwienie, ale nikt tego nie skomentował. Niech tam, pomyślała, i zabrała się za jedzenie. Po paru kęsach zorientowała się jednak, że gorset, choć poluzowany, nie pozwoli jej zjeść zbyt dużo.

Rozdział 20

– To jest niemożliwe – jęknęła Agata, tak podobna do Bogusi.

Zofia w miarę opowiadania o niezwykłym przeniesieniu się na drugą stronę lustra niemal całkowicie się uspokoiła i teraz patrzyła na swoją czy Zosi córkę ze współczuciem.

– Też nie wiem, jak to się stało, ale stało się i bez twojej pomocy nie dam sobie rady w tym waszym dziwnym świecie.

Agata nagle gwałtownie pociągnęła ją za włosy.

– Nie, kochanie, to nie peruka.

– Nie – odpowiedziała córka z wyraźnym zawodem. Widocznie z dwojga złego wolała, by to jej matka okazała się szalona, a nie ona. – Jak to dobrze, że zaczęła się przerwa świąteczna, bo przecież ty nie znasz współczesnej literatury! Nie możesz iść do pracy! Może przez święta uda się jakoś odkręcić to wszystko?

– A jak nie?

Do pracy? Zofia uważała się za kobietę prawie całkiem wyemancypowaną. Interesowała się polityką, czytywała gazety, ale pójść do pracy? To nie uchodziło w dobrym towarzystwie! To rujnowało pozycję! Groziło skandalem! Mogło się odbić na kondycji całej rodziny! Poza tym nigdy nie przyszło jej to do głowy. Sama myśl o tym ją przerażała!

– A jak nie? – zasępiła się Agata. – Może się przekwalifikujesz?

– Przekwalifi... co?

Widać było, że córka nad czymś intensywnie myśli, bo nie odpowiedziała od razu.

– Jakieś języki? Francuski może?

– Każda panna musiała znać ten język, ale od tak dawna nie miałam okazji...

– Czas, potrzebny jest nam czas! – mówiła Agata w zasadzie już sama do siebie. – Musisz mi zaufać!

– Chyba nie mam innego wyjścia – odpowiedziała Zofia, choć myśl ta jej się nie podobała. A jeszcze mniej podobały się jej hałasy dobiegające z głębi mieszkania, zwiastowały bowiem nadejście kogoś obcego.

– Tato! Chodź do nas! – zawołała Agata.

Nie trzeba było czekać, a drzwi do sypialni otworzyły się i stanął w nich Konstanty.

– Nie! – Perspektywa zwierzenia się z tak nieprawdopodobnych historii przed obcym człowiekiem wydała się Zofii przerażająca.

Córka ścisnęła jej dłoń pocieszającym gestem.

– Mamo, musimy – westchnęła i zaczęła opowiadać Konstantemu wszystko, co wiedziała.

Jemu zaś oczy robiły się coraz większe i większe, kręcił głową z niedowierzaniem, wreszcie błysnęły w nich wesołe iskierki i wybuchnął zaraźliwym śmiechem.

– Tak sugestywnie to opowiadasz, że już, już, a bym ci uwierzył – wychichotał.

Tego dla Zofii było już za dużo. Znowu wprawnymi palcami powyciągała spinki z włosów, a one rozsypały się po plecach bujną falą. Sięgały pasa.

Na ustach Konstantego zamarł śmiech. Podeszedł bliżej i zawiązał sobie dłoń jednym pasmem. Jego dotyk sprawił, że Zofia zadrżała, a jej ciało ogarnęła gwałtowna tęsknota. Zarumieniła się gwałtownie i spuściła oczy, by ten obcy mężczyzna nie dostrzegł, co się w nich czai.

– Zosiu? – W jego głosie brzmiały zdumienie i bezradność wobec nieznanego.

– Zofia Lutomska – przedstawiła mu się swoim prawdziwym nazwiskiem i podała rękę do pocałowania.

Całkowicie zdezorientowany zrobił to.

– To teraz radźmy! – zarządziła Agata.

*

Zośka tymczasem siedziała w sypialni Zofii w Lutomerzycach i bezradnie wpatrywała się w lustro, a dokładniej w to, co działo się w jej warszawskiej sypialni. Widziała Agatę i Zofię przed sobą tak dobrze jak na ekranie telewizora. Chciała zawołać: hej, jestem tu! nic o mnie beze mnie, ale Zofia była tak zaaferowana rozmową z Agatką, że nie zwróciła na nią uwagi. Nawet nie zerknęła w stronę toaletki. Kiedy zaś w sypialni zjawił się też Konstanty, Zośka uciekła przed zwierciadła.

A przecież tak wiele rzeczy wymagało omówienia! Przede wszystkim zdrowie Gustawa. Jego kaszel zdecydowanie nie podobał się Zośce. Nie było na co czekać! Tu trzeba było działać! I skoro nie można się było naradzić z panią Zofią, Zośka postanowiła rozeznaczyć się w możliwościach i podejmować decyzje bez konsultacji z matką Gucia. Cóż! Oni też tam

mieszali w życiu Zośki i nikomu nie przychodziło do głowy pytać jej o pozwolenie.

– Nie ma co! – mruknęła sobie dla kurazu pod nosem i poszła do kuchni zaordynować kolację dla rannych.

Przy wielkim kuchennym stole Marcelinka już nakładała do misek porcje szpinaku, okładała je jajami, podpiekała następną porcję grzanek, parzyła zbożową kawę i dolewała do niej mleka. Zośka ustawiła to wszystko na wielkiej tacy.

– Sama sobie poradzę – powiedziała, bo chciała znowu znaleźć się sam na sam z Konstantym.

– Co też pani! – fuknęła na nią Marcelinka i niemal z kocią zręcznością ubiegła ją w sięganiu po załadowaną tacę. – Proszę mi tylko poświecić.

No tak, nie ulegało wątpliwości, że nie da się nieść ciężkiej tacy i zapalanej lampy jednocześnie, więc Zośka musiała ustąpić. Kiedy wspinały się po stromych schodach na poddasze, słychać było, że chorzy czują się zdecydowanie lepiej.

– Ja tę pannę muszę znaleźć! – dobiegał zza drzwi całkiem dziarski głos Teosia Łagierskiego. – Ona jest mi przeznaczona, czuję to!

– To i ją znajdziesz. – Konstantego chyba już nie dręczyła gorączka.

Skrzypienie otwieranych drzwi zagnało Teosia do łóżka.

– Nasze domowe anioły zawitały na poddasze! – zawołał, nakrywając się w pośpiechu kołdrą. – Przyniosły znowu coś pysznego. To szczęście kurować się pod taką opieką. Ale wstałbym już z tego łoża boleści, bo gnaty mnie bolą od leżenia bardziej niż rany. Zresztą zdrowieję już. Po świętach wrócę do lasu. Rosjanom jeszcze krwi napsuję.

– Pan Teoś jak zwykle w dobrym humorze – odpowiedziała mu na komplementy Marcelinka.

– Zobaczmy – mruknęła ostrożnie Zośka, bo całkiem niedawno czytała u Kieniewicza, że po świętach prawie żadnych walk na Mazowszu nie toczono. Równie ostrożnie postawiła lampę na komodzie, wzięła talerz ze szpinakiem i podeszła do Konstantego. Przyglądał jej się z lekkim uśmiechem.

– Pani Zofia zbyt pesymistycznie patrzy na naszą sprawę, a ja pani mówię, że Wielkanoc jest szczęśliwa dla powstańców – ciągnął swoje Teofil.

– A dlaczego tak pan prorokuje? – dopytała śmieiej Zośka.

– W trzydziestym pierwszym roku tuż przed Wielkanocą daliśmy tęgiego łupnia Rosjanom pod Dębem Wielkim i Wawrem. Teraz nie będzie gorzej! Padlewski też pokaże, co potrafi.

– Ale wieści o nim nadal nie ma? – zaniepokoił się Gosztowicz.

– Nie ma – przytaknęła Zośka, myśląc o tym, że jeśli się pojawią, to niepomyślne.

Ramiona ciągle bolały go tak, że musiała go karmić. Coś w tej czynności było takiego, że ogarniała ją czułość i przemożna chęć, by przygarnąć głowę tego człowieka do siebie, przytulić. Przypomniały jej się chwile, kiedy była w ciąży z Agatką, a Kostek przejęty straszliwie, że od czasu do czasu zdarzały jej się krwawienia, niemal nosił ją na rękach, dbał o wszystko. Taka się czuła kochana, a potem... Od tych myśli łzy napłynęły jej do oczu.

– Co się stało, droga pani? – Mimo bólu Konstanty sięgnął po jej rękę i uściskał ją lekko.

– Tyle problemów, a i przecucia mam jakieś niedobre. – Coś musiała powiedzieć, bo jej zgnębienia nie dało się ukryć.

– Przecuciami będziemy się martwić, jeśli nie daj Boże się spełnią – odezwał się z werwą Teofil ze swojego łóżka.

Ta dziarskość zaczęła z lekka irytować Zośkę.

– Dzbanki na umywalkach puste – zwróciła się troszkę zbyt ostro do Marcelinki, która obrywała uschnięte listki w krzaczkach mirtu stojących na oknie.

– To ja Marcelinie pomogę, tylko niech Marcelina rzuci mi szlafrok.

– Jeśli pan tak miły i czuje się na siłach – zgodziła się Zośka.

Teofil był tak miły i najwyraźniej czuł się na siłach, bo wkrótce oboje z kucharką zniknęli z pokoju. Konstanty jakby na to czekał.

– Proszę liczyć na mnie – odezwał się tonem, który tak lubiła u swojego męża w dwudziestym pierwszym wieku. Ten ton mówił: nie martw się, ja wszystko ogarnę, temu da się zaradzić. – Jego ręka ciągle leżała tuż obok dłoni Zośki i płynęła z niej dobra energia. – Tak mi przykro, że swoją osobą jeszcze więcej zgryzot przyczyniam, choć chciałbym je z pani życia przegonić. – Zabrzmiało to poważnie, a jego ręka znów dotknęła palców Zośki. – Gdyby tylko zechciała się pani ze mną swoimi zmartwieniami podzielić, może znalazłaby się na nie jakaś rada.

Ach, jak chętnie Zośka opowiedziałaby mu o głupich zawirowaniach w czasie, o tragedii, jaka ich niedługo czeka w związku z przegrany powstaniem, o swojej nieporadności i zagubieniu, ale niczego zdradzić nie mogła.

– Martwię się głównie o Gustawa. Tak niepokojąco kaszle.

– Mam w Warszawie dobrego znajomego, lekarza. Doskonale zna się na płucnych dolegliwościach. Może należałoby udać się tam z Gustawem? Napiszę do niego list. Zajmie się wami najlepiej, jak potrafi. Proszę być dobrej myśli, to niemal cudotwórca.

– Byłabym wdzięczna – odparła całkiem w stylu epoki. Noszenie krynoliny, ciągły ucisk gorsetu znakomicie to ułatwiały.

– To ja jestem wdzięczny. – Podniósł jej rękę do ust, choć po nagle stężonych rysach Zośka poznała, że kosztowało go to wiele bólu.

Ta chwila nie trwała długo, bo już usłyszeli skrzypienie schodów i wesołe głosy Marcelinki i Teosia.

– Chyba zmuszony będę podyktować pani ten list. – Na jego czole pokazały się drobniutkie krople potu, choć w pokoiku nie było za ciepło. – Gdyby zechciała pani wziąć jakiś papier i pióro.

No, masz ci los! A gdzie tego ma Zośka szukać? Pewnie w kancelarii. Ale gdzie ona jest? Jak można żyć w takim wielkim domiszczu?! Jej mieszkanie było wygodniejsze. Zofia już na pewno poznała każdy jego zakamarek. Na całe szczęście Marcelina już wróciła i można było zlecić jej następne zadanie.

– Przyślę przez którąś dziewczynę – odpowiedziała na jej prośbę kucharka, dając dobitnie znać, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż bieganie po stromych schodach z kartkami papieru. – Za przygotowanie świąt należałoby się zabrać! Powstanie powstaniem, a Pan Jezus zmartwychwstać musi!

– Zaczniemy od jutra – zgodziła się potulnie Zośka. Znowu poczuła, że ta sprawa ją przerasta.

– Piszmy – zarządził Konstanty, kiedy jedna z kuchennych dziewcząt przyniosła kartę papieru, kałamarz i obsadkę z wetkniętą w nią złotą stalówką.

Jezus, Maria! – jęknęła w duchu Zośka, siadając przy niewielkim biurczku stojącym pod oknem. Patrzyła na to antyczne narzędzie do pisania i starała się przypomnieć sobie, w jakiej to powieści znajdował się

opis posługiwania się takim cudem. Przychodził jej do głowy tylko *Plastusiowy pamiętnik* i perypetie jego bohaterki Tosi. Głównym problemem tam były kleksy. A może to nie Tosia robiła kleksy? Zanurzyła stalówkę w atramencie bardzo ostrożnie. Nie mogła się przecież skompromitować przez tak dziecinną czynność.

– Drogi Tytusie... – zaczął dyktować pan Konstanty.

Trzeba jednak odważnie nabierać tego atramentu, pomyślała sobie Zośka, kiedy zauważyła, że ta porcja wystarcza raptem na jedną literę. I za bardzo nie naciskać stalówki. Niemalże język wysunęła z wielkiego przejęcia podczas pisania, bo w samą porę przypomniało jej się, że przecież Zofię kiedyś na pewno uczono kaligrafii, więc i Zośka powinna dołożyć wszelkich starań, by poszczególne litery miały piękny kształt.

– ... proszę cię o pomoc dla kogoś, od kogo doświadczam wielkiej życzliwości... Czy mogę tak sformułować tę myśl?

Zośka czuła, że za tym pytaniem kryje się coś więcej. Zawahała się. Czy miała prawo tak bardzo ingerować w życie Lutomierskiej?

– Tytus? Lekarz? Coś mi się obilo chyba o uszy. – Uciekła od odpowiedzialności, zmieniając temat.

– Tak. Tytus Chałubiński, jeden z najlepszych...

– Tak właśnie słyszałam, piszmy więc...

Rozdział 21

W wyniku rodzinnej narady Zofia po raz pierwszy znalazła się na ulicy Warszawy w dwudziestym pierwszym wieku. Stanowczo odmówiła wejścia do jednego z tych dziwnych pojazdów, których tak wiele pędziło gładkimi, czarnymi ulicami. Bała się, a i Konstanty stwierdził, że lepiej będzie, jeśli spróbuje oswoić się z miastem.

Gdyby nie jego towarzystwo pewnie zaraz wcisnęłaby się w pierwszy lepszy kąt i nie wyszła z niego, tak ogłuszał ją rwetes, tak przerażała szybkość, z jaką pędziły owe niezaprężone w konie bryki. Wszystkie jej zmysły czuły się oszołomione. Zamiast turkotu kół po kamiennej kostce ulic – warkot samochodów. Zamiast fetoru rynsztoków – smród dymów z ich rur, zamiast dwu- czy nawet trzypiętrowych kamienic – ogromne, przeraźliwie wysokie budynki.

Szli chodnikiem, potem zjechali schodami, które same się poruszały, do podziemi z peronami i szynami. Nadjeżdżały śmieszne pociągi i drzwi jednego same się otworzyły. Wsiedli. Żadnych przedziałów, a po bokach wagonu siedzenia. Niektórzy z pasażerów stali, inni siedzieli, a niemal wszyscy wpatrywali się w małe płaskie urządzenia. Nikt z nikim nie rozmawiał. Ci ludzie chyba nawet nie widzieli się nawzajem, a jednak wiedzieli, gdzie chcą wysiąść. Jakiś głos ich informował. Nazwy stacji nic Zofii nie mówiły. Dopiero kiedy podjechali trochę dalej, usłyszała: „Ratusz Arsenał”. Choć brzmiało to bardziej znajomo, wywołało w niej konsternację. Budynek ratusza stał przecież przy placu Teatralnym, a broń trzymano w cytadeli. Chyba że mówiący głos miał na myśli dawny budynek Arsenалу, który po poprzednim powstaniu rosyjskie władze zamieniły na więzienie!

Ile czasu zajmie jej nauczanie się nowego życia? Czy to w ogóle jest możliwe? I w czym może jej pomóc lekarz, do którego wiozł ją Konstanty? Przecież nie jest chora! Chyba że... Tak! Nie uwierzyli jej! Pomyśleli, że zwariowała! O Boże! Jaki wstyd! Jakie poniżenie! I co z nią zrobią? Przypadki takich chorób w jej czasach wstydliwie ukrywano, więc Zofia nic pewnego na ten temat nie wiedziała, ale przerażające plotki o szpitalach dla wariatów czasem sobie powtarzano. Co z nią zrobią? Spojrzała przerażona na Konstantego.

Odpowiedział jej dobrym uśmiechem.

- Nie bój się, kochanie, załatwimy ci tylko zwolnienie lekarskie.
- Zwolnienie lekarskie? – Nic jej to nie mówiło.
- Żebyś nie musiała chodzić do pracy.
- Ale zostanę w domu?
- Oczywiście!

Wierzyć mu? A może tylko tak mówi, bo wiadomo, że z wariatami zupełnie inaczej się rozmawia? Nie należy im się sprzeciwiać. Taka się poczuła zmęczona tym hałasem, emocjami, zupełnie nieznanym otoczeniem. Gdyby tak mogła wrócić do swojego domu!

Weszli do jakiegoś budynku. Długie korytarze, mnóstwo drzwi, jakaś panienska przy wielkim kontuarze. Miła, grzeczna. O coś pytała, Konstanty odpowiadał, lecz Zofia z tego zmęczenia już nic nie rozumiała. Wreszcie weszli do jakiegoś gabinetu. Czyściutko, jasno. Konstanty coś tłumaczył. Niewiele słyszała i pojmowała, ale słowa „wypalenie zawodowe” powtarzały się często. Co to jest? Zastanowiła się przez chwilę, ale nie mogła zebrać myśli.

– Jak się pani czuje? – zapytała lekarka.

– Jestem strasznie zmęczona – odpowiedziała Zofia, która rzeczywiście była tak wyczerpana, że nawet nie miała siły się zdziwić, iż lekarz jest kobietą. Zamiast tego nagle zaczęła płakać i choć ze wszystkich sił starała się przestać, to jednak nie mogła. W efekcie nic już więcej nie powiedziała.

To wyjaśnienie jednak najwyraźniej wystarczyło kobiecie doktorowi, bo nie czekając na dalsze informacje, zaczęła z wielką wprawą naciskać guziczki w dziwnym urządzeniu. Bach! Walnęła na koniec w największy guziczek, na którym było napisane *Enter. Entrée*, skojarzyło się Zofii po francusku. Wejście, ale do czego? Nie wiadomo. Za to stojące obok inne urządzenie zaczęło wypluwać zadrukowane karteczki.

– Proszę odpocząć i na razie nie przejmować się niczym. – Lekarka życzliwie uśmiechnęła się do Zofii, a Konstantemu tłumaczyła długo, kiedy i jakie pigułki ma połykać żona.

– Powinna wyjechać. Wie pan, łono przyrody, spokój, cisza i te sprawy – mówiła dalej, a on z zaaferowaną miną kiwał głową.

– Będziemy mieli trochę wolnego czasu – powiedział Konstanty, gdy już wyszli z gabinetu.

– Czy ty mi wierzysz? – To pytanie dręczyło Zofię przez całą wizytę.

– Ależ oczywiście – odpowiedział stanowczo za szybko, rozglądając się niepewnie wokół.

Bo tak Bogiem a prawdą nie wierzył. Zwłaszcza sobie.

Ja też muszę odpocząć, pomyślał. Może ona w ten sposób chce mnie ukarać, zastanawiał się, niepewnie zerkając na Zofię. Sam już nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Jedno było pewne: musi definitywnie skończyć związek z Agnieszką, choć koszty go przerażały. Zżymał się na siebie, że tak długo nie potrafi wyplątać się z afery z nią. Niby nie spotykali się już, ale sprawa jej ciąży, upór, by urodzić to dziecko, ciągle nowe finansowe wymagania nie pozwalały mu zamknąć tego epizodu.

– Porozmawiajmy, Zosiu – zaproponował, kiedy znaleźli się już w domu.

– Jeśli uważasz, że to konieczne – westchnęła Zofia głęboko. Była wyczerpana dzisiejszymi przeżyciami, ale w domu poczuła się odrobinę pewniej. Usiadła więc w ich niewielkim salonie na kanapie gotowa wysłuchać Konstantego. A on zaczął swoją spowiedź. Większość faktów znała już z relacji Zośki, ale słuchała cierpliwie.

– Czy ty nie powinieneś zaprowadzić tej Agnieszki do lekarza tak, jak zrobiłeś to ze mną? – spytała na koniec.

No pewnie, że powinien! Zrobi to!

Był już późny wieczór. Zofia usiadła przed lustrem toaletki i zaczęła szciotkować włosy. Tak dawno nie rozmawiała z Zośką! Zaczęła się już nawet obawiać, że tajemnicze połączenie z jej czasami i rodzinnym dworem przestało działać. Z boku stoliczka leżała porzucona książka, z której sterczała zakładka. Najwyraźniej to była ostatnia lektura Zośki. Lutomińska odsunęła słoiczek z kremem, który stał tam i zasłaniał tytuł: *Powstanie styczniowe*. Powstanie styczniowe? U nich walki faktycznie rozpoczęły się w styczniu! Książka o jej czasach? Zofia otworzyła ją w miejscu, gdzie tkwiła zakładka. „Termin branki, trzymany w tajemnicy, wyznaczony został na noc z czternastego na piętnasty stycznia tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku”, przeczytała i te słowa nią wstrząsnęły. Gorączkowo zaczęła czytać dalej. Tak, wiedziała o planach margrabiego Wielopolskiego i jego współpracy z caratem, wiedziała, że dwa obozy czerwonych i białych miały zupełnie inną koncepcję odzyskania niepodległości. Coś tam się jej obilo o uszy, że pierwszy dyktator powstania Ludwik Mierosławski przybył na polskie ziemie w środku lutego. Z największym przejęciem czytała o rajdzie Padlewskiego przez

Mazowsze. Łzy popłynęły jej z oczu, kiedy dowiedziała się o oddziałach rosyjskich zewsząd otaczających partyzantów, o kłótniach i zdradach wśród polskich żołnierzy i o tym, że pod koniec marca generał Padlewski rozkazał powstańcom rozjechać się do domów, bo dalsza walka na razie skazana była na niepowodzenie. Po świętach dopiero mieli zastanowić się, co zrobić dalej.

Tak zaczytała się, że nie zauważyła Zośki sadowiącej się po drugiej stronie lustra.

– Co się stało?!

Lutomierska tylko podniosła do góry książkę tak, by widoczny był jej tytuł.

– No, to już wiesz – westchnęła Zośka. – Może to i lepiej. Łatwiej nam będzie ratować rodzinę i majątek, znając przyszłość.

– To prawda? To się wszystko stanie? – szepnęła Zofia tak przejęta, że tchu jej zabrakło, by powiedzieć te słowa głośno.

Zośka po drugiej stronie zwierciadła pokiwała potakująco głową.

– Zechcesz mi pomóc? – Nadal mówiła z trudem.

– Mam wrażenie, że w ten sposób walczę o swoje istnienie. My przecież w jakiś sposób musimy być spokrewnione. Nie uważasz? Jeśli tylko los pozwoli mi wrócić kiedyś do moich czasów, koniecznie będę chciała tę sprawę wyjaśnić. Ale na razie rzeczy bieżące.

Energia imienniczki dodała Zofii trochę animuszu. Tak, sprawa wymaga czynu. Przecież, jak się dobrze zastanowić, to jej niezwykle przeniesienie się w czasie może pomóc w działaniach w tych trudnych chwilach.

– Najpierw codzienność – mówiła Zośka. – Słuchaj, marzec powoli się kończy, święta się zbliżają, ja coś tu powinnam robić, a pojęcia nie mam, jak się do tego zabrać, a poza tym...

Sprawa świąt była tak ważna, że Zofia na razie nie chciała słuchać, co po drugiej. Zresztą nie miała na razie pojęcia, co począć z wyczytaną wiedzą. Chciała od niej uciec. Najpierw sprzątanie.

Zośka potrzebowała kartki, kałamarza i pióra, by zapisać kolejność czynności, sposób ich wykonania, dopilnowanie. Przygotowania do świąt stanowiły wielką sztukę. Na przykład woskowanie podłóg. By zgłębić jego tajniki, należało wiedzieć, jaki wosk jest najlepszy, jaką powinien mieć temperaturę, jak grubą warstwą go rozciągnąć po posadzkach, po czym poznać, że parkiet należycie został wyfroterowany. Albo takie ściąganie

i wieszanie firan, portier, zasłon. Ich pranie, farbkowanie, krochmalenie, prasowanie, upinanie. Albo pranie dywanów, bielizny. Prowadzenie domu wydało się Zośce równie skomplikowane jak zarządzanie wcale niemającą fabryczką. A pani tego domu, czyli Zośka, musiała znać się na wszystkim, by wszystkiego należycie dopilnować. Masakra!

– Słuchaj, bo jeszcze w ogrodzie – mówiła dalej pani domu w Lutomierzycach – zdążyłam urządzić inspekty. Teraz pewnie już jecie świeżą sałatę i rzodkiewki, ale tam teraz trzeba posiać coś nowego. Ale to może z panną Stanisławą się poradzić i najlepiej zostaw jej wolną rękę. Ona się na tym zna i będzie zadowolona, że jej tak zaufałaś. Marcelina w kuchni też sobie poradzi, tylko pewnie będzie chciała, byś jej podała spis potraw, które ma przygotować. U nas na święta szykuje się...

I w tym momencie Zofia dobiła kompletnie swoją imienniczkę. Okazało się bowiem, że najwyższy czas zarządzić świniobicie, peklowanie mięsa na wędzonki, siekanie na kiełbasy, doprawianie na pasztety, salcesony, kiszki. Z polowania w tym roku pewnie nic nie wyjdzie, więc ominęły Zośkę wskazówki, co zrobić, żeby skruszał zając, a ile czasu ma wisieć cietrzew czy głuszec, by nabrać odpowiedniej kruchości.

– Słuchaj, a w polu... – monologowała dalej Lutomierska, a Zośka dostawała gęziej skórki na samo słówko „słuchaj”. – Można już wyjść w pole? Obeschło?

Rany boskie! A skąd Zośka ma wiedzieć, czy można wyjść w pole i czy dostatecznie obeschło? Nim zdążyła wyrazić wątpliwości, Zofia zorientowała się, że zadaje za trudne pytania.

– W polu zdaj się na pana Franciszka i Gustawa.

– No właśnie, ja chciałam pomówić o Gustawie. – Zośka odetchnęła trochę z ulgą, kiedy zdawało się, że Zofia kończy i udało jej się wreszcie wtrącić kilka słów.

– Ale najważniejsze – jednak chyba nie kończyła – ratuj ich! Radź, co zrobić!

– Kochana! Tylko spokój i rozwaga mogą nas uratować. Trzeba zabrać się za działanie. Zrobię, co tylko będę mogła. Doczytałaś już pewnie, jakie będą konsekwencje przegranego powstania?

– Przegramy? – jęknęła Zofia, która najwidoczniej jednak nie skończyła lektury.

– Niestety. Trzeba ochronić twoich synów i majątek przed ewentualną konfiskatą, bo takie będą. Nie wiem, co się dzieje z Antonim, bo o tym nic mi jeszcze nie mówiłaś, a Gustaw jest chory. Po świętach pojedę do doktora Chałubińskiego, którego polecał Konstanty. On się zna na chorobach płuc.

Lutomirska, która już trochę ochłonęła podczas tłumaczenia wszystkich zawiłości związanych ze świątecznymi przygotowaniem, znowu się zdenerwowała.

– Płucne choroby? Myślisz, że to...

– Nic nie myślę – ucięła krótko Zośka. – Trzeba zaufać lekarzom.

Nie chciała rozstrząsać dalej tej sprawy. Doskonale wiedziała, jak niebezpieczne w dziewiętnastym wieku było zapalenie płuc, nie mówiąc już o gruźlicy, która zbierała śmiertelne żniwo nawet wśród najbogatszych i najbardziej utalentowanych. Na antybiotyki przecież przyszło czekać jeszcze przynajmniej pół wieku.

Niemal jednocześnie otworzyły się drzwi do sypialni w lutomierskim dworze i w warszawskim mieszkaniu.

– Wracają z powstania! – zawołała do Zośki rozemocjonowana Nastusia.

– Ten twój telefon dzwoni i dzwoni, coś musisz z tym zrobić! Jakiś Kazimierz! – Agata stała w progu.

Rozdział 22

– Kto to jest? – dopytywała Agata, gdy już pomogła pani Zofii obsłużyć dziwne urządzenie.

Pani Lutomska widziała już je w rękach podróżujących podziemnym pociągiem, kiedy jechała z Konstantym do lekarza. Ten pociąg to metro. Znowu musiała się nauczyć nowego słowa. Zaś urządzenie nazywało się telefonem i służyło do porozumiewania się na odległość. Idea rozmawiania z kimś, kto znajdował się gdzieś daleko, zadziwiała Zofię niezmiernie. Choć do wiecznego zdziwienia już powoli zaczynała się przyzwyczajać. Nie chciała jednak rozmawiać z tym Kazimierzem przy córce.

– Powiedz mi, że oddzwonię wieczorem – poleciała, a dopiero później odpowiedziała na pytanie. – To ktoś, kogo trzeba usunąć z naszego życia.

Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jej język powoli dostosowuje się do nowych czasów. W ten sposób nigdy nie odezwałaby się do Bogusi czy Nastusi w lutomijskim dworze. Teraz trzeba było się z tym człowiekiem spotkać i rozmówić się grzecznie, ale stanowczo. Musiała zrobić to sama.

Kolejnego dnia wyszła z domu. Już z mniejszym zawrotem głowy, przytomniej rozglądała się po ulicy. Przyglądała się ludziom raczej z niesmakiem. Drażnili ją młodzi mężczyźni ubierający się w coś, co kojarzyło jej się z kałesonami z niechlujnie powypychanymi kolanami i we wszystkich odcieniach szarości, tak charakterystycznej dla systematycznie niedopranej bielizny. Chętnie nosili też bluzy z mnisimi kapturami. Chodzili strasznie nieelegancko, zgarbieni, z rękami w kieszeniach. W większych grupkach pokrzykiwali do siebie, używając tak niecenzuralnych słów, że chłopstwo na polach w jej czasach poczułoby się zawstydzone.

Większość osób wyglądała straszliwie nijako. Ciemne kurty, ciemne spodnie, czasem trafił się jakiś kolorowy szalik i już to przychylniej nastrojało Zofię. Kobiety ubierały się bardziej różnorodnie. Zofię dziwiła ich miłość do długich butów, takich jak w jej czasach nosili mężczyźni do końskiej jazdy. Przede wszystkim zaś zaskakiwało ją, że większość z nich chodziła z gołą głową. W jej czasach to było nie do pomyślenia. Nawet chłopki osłaniały włosy chustkami, a te tutaj paradowały tak bezwstydnie i żadnej nie przychodziło do głowy, by założyć kapelusz. A kapelusze były przecież takie kobiece. Żeby jeszcze miały się czym pochwalić, ale fryzury

tych niewiast oceniała jako tragiczne! Większość miała krótko ścięte włosy. Z tym nic nie dało się zrobić, a te, które miały dłuższe, były po prostu potargane.

– Flejtuchy! – sapnęła z irytacją pod nosem Zofia i postanowiła skupić się na zapamiętywaniu innych szczegółów.

Chciała rozmówić się z typem wdzierającym się w życie Zośki w kawiarni znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Żeby tam dojść, musiała zejść do podziemia, gdzie znajdowała się stacja metra, a potem nie zjeżdżać ruchomymi schodami na perony, tylko udać się podziemnym korytarzem prosto i wyjść schodami po przeciwnej stronie. Kiedy już tego dokonała, wyczyn ten nie wydawał się jej przesadnie skomplikowany, ale emocji kosztowało ją to bardzo dużo.

Jeszcze tylko musiała nauczyć się posługiwać telefonem. Agatka była nadzwyczaj chętna, by udzielić jej stosownych objaśnień, ale one tylko zdenerwowały panią Zofię.

– Ty mi nie objaśniaj, co to jest sms, nie mów, jak mam posługiwać się mess... mess... coś tam, nie będę robić fotografii ani korzystać z tego internalu!

– Internetu – poprawiła ją Agata.

– Dobrze. Chcę tylko skorzystać z możliwości porozmawiania na odległość!

– Musisz wystukać na klawiaturze numer.

– Jaki numer?

– To zależy od tego, z kim chcesz rozmawiać.

– Młode damy nie powinny być tak niedyskretne – oburzyła się pani Zofia. – Choć tym razem przecież wiesz, z kim i dlaczego chcę mówić!

Obie już miały dosyć tej rozmowy. Wreszcie pani Lutomierska zapisała sobie w kajeciku najważniejsze wskazówki pozwalające jej nawiązać kontakt z wybraną osobą za pomocą tylko jej przypisanego numeru. W głowie jej się nie chciało pomieścić, że to w ogóle możliwe.

Zadzwoniła wieczorem.

– Kazimierz? – Sama czynność dzwonienia była dla niej emocjonująca. W tym świecie wszystko wszystkich stresowało i pani Zofia akurat temu się nie dziwiła.

Telefon niemal wypadł jej z rąk, kiedy usłyszała odpowiedź.

– To ja.

Głos, który dobiegał z głośnika urządzenia, był głosem jej męża. To z nim przeżyła połowę swojego życia, to jemu urodziła czwórkę dzieci, to on oczarował ją, najbardziej posażną panną w okolicy, romantyczną aurą niezwykłości, niecodzienności i wyjątkowości. To on wreszcie nie tak dawno opuścił ją dla powstania i nawet się nie pożegnał, a potem umarł odgradzony od niej niezrozumieniem, zapatrzony w swoje romantyczne fantasmagorie, wśród których nie było już dla niej miejsca. A teraz słyszała jego głos i wiedziała, że koniecznie musi się z nim spotkać, musi go zobaczyć.

– Nie widziałem cię już tak długo – mówił głosem pełnym melancholii, który tak dobrze znała z lat narzeczeństwa. – Czy ty wiesz, co znaczy tęsknić za kimś? Czy znasz to uczucie, kiedy wszystko wokół jest niepełne, niedokończone, bo brak mu dopełnienia w postaci tej drugiej osoby? Czy możesz sobie wyobrazić życie przez pół przecięte, kiedy żadne pytanie nie może doczekać się odpowiedzi, myśl zwieńczenia, czyn sensu? Tak żyłem do teraz, aż wreszcie jesteś...

Słuchała tego głosu, a on uwodził ją, przynosił ze sobą wspomnienia.

Wróciła właśnie z wód, gdzie jej matka leczyła dręczące ją migreny. Nie widzieli się od długich dwóch miesięcy. Przyjechał do nich zaraz następnego dnia. Tak dobrze pamiętała rodzinny dwór w Winnicy. Była wczesna jesień i kasztany spadały z drzew, kiedy spacerowali aleją prowadzącą do dworu. Podnosiła je i udawała, że przygląda się im z zainteresowaniem, by móc pochylić głowę i ukryć rumieniec pod rondem kapelusza. Aż weszli w boczną ścieżkę osłoniętą bujnymi krzakami bzu i tam właśnie mówił jej takie słowa, a potem czułym gestem uniósł jej pochyloną głowę tak, by musiała spojrzeć mu w oczy. A wtedy świat zawirował, a on całował jej usta.

– Milczysz? Czemu milczysz? – płynął głos Kazimierza z dziwnego płaskiego puzderka.

Boże, przecież on nie żyje, pomyślała w panice. Nie żyje, nie ma go! To nie on! To nie jego głos! A nawet jeśli jest tak podobny, to przecież później zdarzyło się tyle złych rzeczy. Nie może być tak, że rozsądna kobieta traci głowę, bo usłyszała głos podobny do głosu jej zmarłego męża!

– Odezwij się, Zosiu...

– Jestem – udało jej się powiedzieć.

– Jesteś – westchnął głęboko. – Spotkajmy się.

- Tak.
- Tam gdzie zawsze? Na Starym Mieście?
- Nie, tutaj. Naprzeciwko mojego domu jest restauracja...
- Wiem, wiem, będę. Jutro? O szóstej?
- Dobrze.

Nacisnęła guziczek z czerwoną słuchawką tak, jak ją nauczyła Agata. Nie miała sił już dłużej rozmawiać. Padła w ubraniu na łóżko, a wspomnienia dorwały ją i rozszarpały jak wściekłe menady Orfeusza. Dlaczego i za co spotyka ją taka kara? Orfeusz nie chciał uczcić Dionizosa i dlatego jego bachantki tak okrutnie się z nim rozprawiły. A ona? Ona dawno temu kochała Kazimierza, ale później jej ciągle odpychana, nieceniona miłość wiedła. Pogardzał i wyśmiewał jej starania o dom, o mężowską wygodę, o dzieci, które jej dał. Była prozaiczna? Nie potrafiła się razem z nim wznieść na wyżyny piękna? Jej uczucia były prostackie? Brakowało jej boskiej sublimacji, jaką podobno daje prawdziwa, szlachetna miłość? A teraz znów usłyszała jego głos mówiący o tęsknocie. Tęsknocie za nią? Nie, nie za nią! Ale Zośka to jakby ona!

Biła się ze swoimi myślami, a rozdygotane emocje nie pozwalały jej zasnąć. Potrzebowała porozmawiać z Zośką. Siadała co chwilę przed toaletką, ale tam ciągle nie było nikogo. Aż wreszcie znużona zasnęła, kiedy na wschodzie pojawiła się już delikatna zorza.

*

Kiedy pani Lutomińska wyglądała Zośki po drugiej stronie lustra, ta siedziała w salonie i słuchała opowieści Janka Zarębskiego. Za oknem srożył się wiatr, jęczał i wył w kominie. Uderzał wiotkimi gałązkami dzikiego wina w szyby. Pod jego tchnieniem topniał śnieg i świat robił się przedwiosennie ponury. Niewiele z tego było widać, bo na zewnątrz już się ściemniało. Salon nie wyglądał tak, jak należy, bo dotarł tu wir przedświątecznych porządków, więc okna nie były osłonięte firankami, a na ścianach straszyły puste, trochę jaśniejsze miejsca po kilimach. Pozbawione serwetek, bieżników, laufferków, obrusików meble robiły wrażenie nagich.

Janek był już obmyty, nakarmiony i odziany w czyste ubrania, bo kiedy tylko wszedł do domu i lutomińskie kobiety go zobaczyły, to serca ścisnęły im żal, tak nędznie wyglądał. Wychudzony, obdarty, brudny, zmęczony. Znużony był nadal, ale energii dodawała mu konieczność podzielenia się

tym, co przeżył, a zebrało się w tych ostatnich tygodniach wiele – i euforia z powodu zwycięstw, i gorycz porażek, i najgorsze: zdrada, głupota, brak żołnierskiej dyscypliny.

– Była nas wtedy potęga. Nas pod Padlewskim tysiąc ludzi, Zameczek, to pseudonim innego dowódcy, miał jeszcze dwa tysiące, a szły także z innych stron oddziały Mystkowskiego i Deskura. Poszczególne partie dostały rozkaz oddania się pod dowództwo Padlewskiego. Przedostaliśmy się przez Narew i kierowaliśmy na północ ku granicy, bo tam miał się jeszcze dołączyć do nas oddział poznaniaków eskortujący transport broni. A na nas z różnych stron polowały rosyjskie oddziały generała Siemieki, pułkowników Wołujewa i Uljanowa. Padlewski chciał umknąć im do Puszczy Kurpiowskiej i stamtąd nękać Rosjan. Weszliśmy do Myszyńca. –

Twarz Janka rozjaśniła się na to wspomnienie i widać było, że szuka w głowie słów, które należycie oddałyby wielką radość.

– I co? I co? – dopytywała Bogusia, która przysiadła na pufie u stóp swojego narzeczonego i wpatrywała się w niego z zachwytem.

Wiecznie zgorzkniała panna Stanisława podsunęła mu pod nos talerzyk z serowymi plackami polanymi wiśniową konfiturą, pan Franciszek chrząkał ze wzruszenia, nawet starsza pani Waleria Lutomińska nie mogła zgasić w swoich oczach niełicującego z jej wiekiem zaciekawienia. Tylko Zośka słuchała spokojnie tej opowieści. Ona jedna wiedziała, jak się skończy.

– Mieszkańcy Myszyńca przywitali nas tak, jakbyśmy im już przynieśli wolność, jakby Polska zaraz miała powstać! To jest niezapomniane przeżycie, tak iść ulicami, kiedy zewsząd otaczają cię roześmiane szczęściem twarze, kiedy ludzie chcą cię ugościć tym, co mają najlepszego i po rękach gotowi całować, jakbyś przyniósł im nie wiem jakie szczęście! Ale to krótko trwało.

Twarz Janka zgasła i zebrani w lutomińskim salonie posmutnieli, bo znowu przypomniało im się, że Janek dotarł tu resztkami sił, wynędzniały.

– Potem już było coraz gorzej – opowiadał dalej. – Nie tylko Rosjanie nas szarpali z każdej strony. Nie tylko to się liczyło, że oni mieli karabiny, a my kosy i myśliwskie dubeltówki. Najgorsza była niezgoda w naszych szeregach. Zameczek nie chciał się pogodzić ze zwierzchnością Padlewskiego. Padlewski rzucił władzę, sam się chciał udać pod Zameczkową komendę, ale jego ludzie się na to nie zgodzili. Bo Zameczek

warchoł był! I fałszywy! Widział, że Padlewski większy mir ma wśród żołnierzy, więc władzy nie przyjął i obiecał wykonywać jego rozkazy, ale nic niewarte były te zapewnienia, bo w najbliższej bitwie Zameczek znowu zdradził.

Snuła się ta opowieść coraz smutniej, coraz częściej przerywały ją wspomnienia o śmierci tego i owego z sąsiedztwa. Coraz częściej wyciskała łzy. Jak wtedy, kiedy Janek opowiadał, że wojska rosyjskie okrążyły ich z trzech stron, a jedyna droga ucieczki prowadziła przez Orzyc. Podczas przeprawy przez tę rzekę tylu zginęło i tylu potonęło! Albo jak Padlewski prowadził atak kosynierów na zaborcze pozycje i raz za razem już im się udawało niemal na odległość kosy zbliżyć do Rosjan, ale zawsze odrzucał ich ogień wroga. Albo o tym opowiadał Janek, jak wymykali się z zastawionych pułapek, jak szli lasami dzień i noc coraz bardziej zmęczeni i głodni, bo po parę dni nic w ustach nie mieli, aż doszli do zachodniej części Mazowsza i tu pod Gorzeniem Padlewski nakazał rozpuszczenie oddziału. Każdy z żołnierzy dostał po dziesięć rubli z pieniędzy oddziałowych i z pełnym uzbrojeniem miał udać się do swoich.

– Trudno sobie wyobrazić, jaka boleść nastąpiła wśród żołnierzy. Znikła nadzieja zobaczenia wolnej Polski. Cały trud, śmierć przyjaciół poszły nadaremno.

– Tak nawet mówić nie wolno! – zaprzeczyła gorąco pani Adamowa. –

Powstanie trwa raptem dwa miesiące. Padlewski żyje. Odpoczniecie, odkarmicie się, a po świętach ruszycie znowu w pole. Nie wszystko jeszcze stracone.

Jakoś nie udało jej się wzbudzić entuzjazmu, bo Bogusia schowała twarz w dłoniach, przerażona, że znowu jej przyjdzie nie spać po nocach z obawy o Jankowe życie. Pan Franciszek tylko mamrotał coś pod nosem o motyce i słońcu, ale nie śmiał głośno się sprzeciwić starszej pani, a panna Stanisława ręce łamała na znak, że nic dobrego zdarzyć się nie może na tym łez padole. Zośka zastanawiała się zaś, jak ochronić w tym zamęcie majątek Lutomińskich. Przecież dziewczynom trzeba dać posag, a chłopcy muszą mieć gdzie założyć rodziny.

– Teraz nie ma co smęcić, tylko trzeba się brać za robotę, bo święta za pasem – huknęła na dobranoc pani Waleria Adamowa Lutomińska, patrząc z naganą na Zośkę.

No tak, chyba nie spisywała się zbyt dobrze. Wielki Tydzień już za parę dni, a tu nawet sprzątanie nieukończony. Podobno to nie do pomyślenia! Przynajmniej tak twierdziła pani Adamowa.

Rozdział 23

Zofia, pełna niepokoju, chodziła po warszawskim mieszkaniu z przeświadczeniem, że w obliczu zbliżających się świąt powinna przedsięwziąć nadzwyczajne kroki. Nie bardzo jednak wiedziała, na czym miałyby one polegać. Firan i zasłon w tym domu nie było, dywanów także, żadnych serwet ani obrusów. Chciałaby choćby materace w łóżkach przetrzepać, przykrywszy je uprzednio mokrymi prześcieradłami, by się kurz nie roznosił, ale nigdzie w tym domu nie było trzepaczki. Kiedy spytała o nią Agatę, ta odpowiedziała, że porządkami kłopotać się nie trzeba, bo można przecież wejść na stronę www.posprzatamy.pl i zamówić usługę.

– No i z głowy – skwitowała Agata, klikając triumfalnie w czarne guziczki z namalowanymi literkami na urządzeniu nazywanym tu komputerem.

Dla pani z Lutomerza wcale nie było „z głowy”, skoro właśnie w tej głowie nie mogło się pomieścić, że w tak niefrasobliwy sposób można podejść do sprawy tak poważnej jak wielkie wiosenne porządki! To naruszało najbardziej zasadnicze zręby naturalnego ładu. Przedświąteczny okres bez wielkiego sprzątania był tak samo nonsensowny jak dżentelmen bez cylindra i dama bez parasolki. Jednak w tym świecie ani dżentelmenów w cylindrach, ani dam o cerze nietkniętej słońcem nie było. Współczesne kobiety nawet piegi nosiły bez najmniejszego skrępowania, więc i to... Zofia tylko westchnęła ciężko, bo zupełnie nie rozumiała, jak można odczuć radość świętowania, skoro przedtem człowiek się nie narobi tak, by padać ze zmęczenia.

Tymczasem przyszła drobna, ciemnowłosa kobietka mówiąca ze wschodnim zaśpiewem i w cztery godziny doprowadziła całe mieszkanie do lśnienia. Pani Zofia była pod wrażeniem. Nikt lepiej niż ona, bądź co bądź osoba zarządzająca dużym i dostatnim dworem, nie wiedział, że sprzątanie to skomplikowana dziedzina wiedzy. Zdawała sobie sprawę, jak wielu trudów trzeba, żeby wdroyć wiejską dziewczynę do czynności wchodzących w zakres obowiązków pokojówki. Tylko nieliczne się do tego nadawały. A tu kobietka, wesoło jeszcze ją zagadując, wysprzątała mieszkanie i wcale nie oczekiwała od Zofii dyrektyw.

Nie mogła więc Lutomierska zająć rąk żadną pracą, a praca, jak wiadomo, pomaga wyciszyć różne psychiczne rozdrażnienia i niepokoje. Te dręczyły ją niemiłosiernie, bo zbliżał się termin spotkania z Kazimierzem.

Od rana nie mogła usiedzieć na miejscu. Choć bardzo się starała nie myśleć, to i tak bez przerwy dudniło jej w głowie, że już za parę godzin usiądzie przy kawiarnianym stoliku naprzeciw swojego nieżyjącego męża. Emocje nie dawały jej żyć.

Dosyć czekania, postanowiła. Do spotkania z Kazimierzem pozostał jeszcze szmat czasu, ale ona już ubrała się w płaszcz, długie, męskie buty podobne do tych do konnej jazdy, które upodobały sobie nowoczesne kobiety, i już bez strachu zjechała windą na dół. Postanowiła pospacerować ulicami.

Spacery stanowiły jej ulubioną rozrywkę. Za każdym razem zwracała uwagę na coś innego. Tym razem chciała zajrzeć do cukierni. Była tak niedaleko. Pachniało w niej bosko, a w szklanych szafach... Zofia dostała oczopląsu, kiedy tam zajrzała.

O, Marcelinko! Jak dobrze, że ty tego nie widzisz! W kompleksy byś popadła, jakby powiedziała Agata. Zofia w życiu nie widziała z takim artyzmem ozdobionych ciast. Tu na malinowej galaretkie zakwitły stokrotki, gdzie indziej wśród bazi widać było kwiaty magnolii, tam śliczny napis *Wesołego Alleluja*, jeszcze na innym mazurku mieniły się kolory tęczy. Jeśli to tak smakuje, jak wygląda, to nie tylko sprzątać, ale i piec ciast na święta nie powinna. Nakupiła więc pani Zofia tych przecudności i obwieszona pakunczkami wróciła do domu.

Czekał ją jednak zawód. Galaretka malinowa była malinowa wyłącznie z koloru, kwiaty magnolii miały mdły smak, baby niby wyrośnięte, a jednak niepuszyste, wszystko było po prostu słodkie. Strasznie słodkie! I oprócz tej słodyczy nie udało się jej doszukać innych doznań. Największe rozczarowanie sprawiły jej faworki, bo paczuszkę tego przysmaku też kupiła. Ich kruchość także była sztuczna. Każda gospodyni w mig by poznała, że wywodzi się z użycia sody, a nie z długiego i starannego wbijania w ciasto powietrza. Nie, Marcelinka jednak nie miałaby powodu do wstydu. Jej wypieki, choć nie tak zdobne, smakowały o niebo lepiej.

Aż wreszcie przyszło popołudnie.

– Wychodzę! – zawołała do siedzących w swoich pokojach Konstantego i Agatki.

Oni też tak robili i musiała się dopytywać, dokąd idą i kiedy wrócą. Sprawilo jej to niezwykłą przyjemność. W jej świecie było absolutnie nie do pomyślenia, aby tak sobie zawołać i rzeczywiście wyjść.

Spodziewała się po domownikach, że też zaczną ją wypytywać: a gdzie, a po co, ale widocznie się już przyzwyczaili do jej spacerów ulicami i skwerkami w najbliższej okolicy i oboje mruknęli tylko: „miłego” i „kolacja o siódmej”, nie przerywając wgapiania się w swoje laptopy. Ten zwyczaj też wydawał jej się dziwny. Jakoś się z nim już pogodziła, a nawet od czasu do czasu kusilo ją, by bliżej zapoznać się z tym urządzeniem.

Kiedy zasuwała zamek błyskawiczny w swoich długich butach, ręce jej się trzęsły. Tym razem błyskawiczny nie był, bo przyciął rąbek spódnicy i musiała się z nim posilować. To wszystko ze zdenerwowania, pomyślała sobie i weszła jeszcze, już w butach, do kuchni, sięgnęła do szafki z lekarstwami i połknęła pigułkę z walerianą.

– Zosieńko, musisz to zrobić – mruknęła do siebie z czułą stanowczością, by dodać sobie otuchy.

– Słucham? – Agata też weszła do kuchni, by zrobić sobie herbatę.

– Poznawanie waszego świata jest wyczerpujące – odpowiedziała, odkładając na półkę opakowanie waleriany. Pomyślała, że jednak nie jest z jej nerwami tak źle, skoro tak szybko znalazła stosowną odpowiedź.

– Jesteś dzielna. – Agatka uśmiechnęła się, jakby znała jej myśli.

Zofia miała tylko nadzieję, że nie wszystkie.

Naciągnęła na głowę jedyny kapelutek (nie była w stanie nazwać tego czegoś kapeluszem), jaki znalazła w szafie Zośki, i zamknęła za sobą drzwi. Gdyby nie była matroną bądź co bądź już ponad czterdziestoletnią, to z tego nagłego poczucia wolności chyba by podskoczyła sobie parę razy. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo w jej epoce gnębił kobietę konwenans. Ona w swoich czasach nie mogłaby się sama pokazać w publicznym miejscu, a z obcym mężczyzną umówiłaby się tylko kokota. Z początku bała się tych nowości, ale coraz częściej zaczynały ją fascynować.

Kiedy znalazła się na ulicy, dzielność zdawała się ją opuszczać. Co ja mu mam powiedzieć, zastanawiała się, choć cel miała jasno wytyczony: trzeba wygonić Kazimierza z życia Zośki. Uważnie słuchała, co jej imienniczka mówi, i była święcie przekonana, że ten człowiek służy tylko

odreagowaniu, zemście. Konstanty zdradził, ale żałował, w to Zofia nie wątpiła.

Przypomniała sobie rozmowę z Kazimierzem. Może ten człowiek ma tylko podobny głos do mojego męża? Może wygląda zupełnie inaczej? – zastanawiała się.

Tak myśląc, doszła do restauracji. Nad jej drzwiami wisiała flaga Stanów Zjednoczonych i z daleka krzyczał czerwono-czarnymi literami wielki napis: *ORYGINAL AMERICAN FOOD*. Wyżej zaś pobłyskiwał szyld: *Boy's meat girls*. Była już w niej z Agatą i ona tłumaczyła jej, że ta nazwa jest żartem. Angielskie słowa *meat* – mięso i *meet* – spotykać wymawia się tak samo. Tu przychodziło się głównie na steki albo bułki z mielonym wołowym kotлетem, którego nazwa wyleciała Zofii z głowy. Teraz zresztą nie miała ochoty na jedzenie.

Przez przeszkloną ścianę zajrzała do wnętrza lokalu. Przy prostych stolikach na czerwonych kanapach siedziało już wielu ludzi. Zobaczyła też jego! Kazimierz przeglądał z uwagą kartę menu. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to właśnie on. Te same trochę za długie jak na te dziwne czasy włosy, ta sama szeroka twarz, jasne oczy. Kazimierz!

Nogi ugięły się pod nią tak, że musiała oprzeć się o ścianę.

– Duch! Mara! – jęknęła całkiem głośno i przeżegnała się z rozmachem. – Boże, wspomagaj!

Wzmocniona krótką modlitwą otworzyła drzwi i weszła do środka. Kazimierz podniósł na nią oczy i uśmiechnął się tym swoim dawnym uśmiechem, który tak zawrócił jej w głowie. Z przejścia nie była w stanie zrobić kroku. On jednak już wstał, już szedł w jej kierunku.

– Zosieńko, jak się cieszę, że cię wreszcie widzę!

I ten głos pełen emocji! Tajonej namiętności, pomyślało się Zofii i pod wpływem tej myśli zaczerwieniła się gwałtownie.

Kazimierz podprowadził ją do stolika i usadził z pełną rewerencją na kanapie. O, on to umiał! Okazywanie trochę nawet przesadnego szacunku połączone ze wzbudzającymi płomień w sercu oczyma i uśmiechem zagładającym do duszy – to był jego sposób. Uległa temu już na pierwszym balu. Ten wzrok i uśmiech nie pozwalały jej spać po nocach, kiedy była młodą dziewczyną. Teraz też miały podziałać? Działy! Zofia to czuła!

– Może coś zjemy? – Kazimierz podał jej kartę dań.

Otworzyła ją, ale nie mogła się skupić. Angielskie nazwy potraw nic jej nie mówiły, a polskie opisy skakały przed oczyma. *Długo pieczone żebra wołowe... Ziemniak z pieca z kwaśną śmietaną i dymką... Kremowy sos z pieczarkami portobello...*

Zerknęła nagle na Kazimierza. Przyglądał jej się z pewnym zaciekawieniem.

– Coś się stało? Jesteś jakaś inna, ale przez to jeszcze bardziej urocza.

– Nie, nic – zaprzeczyła. Przecież nigdy w życiu nie wyjaśniłaby mu sytuacji, w jakiej się znalazła. – Trochę się czuję przemęczona. Nie mam ochoty na jedzenie. – Nie przełknęłaby nic z emocji.

– Może kieliszek wina dobrze by ci zrobił? Cabernet Sauvignon Shiraz z RPA?

– Nie, nie, dziękuję... Z jakiej RPA? – Ze zdenerwowania straciła czujność i zapomniała, że jej ciągle i nagle zdziwienia stawiają ją zwykle w kłopotliwych sytuacjach. Jakby ta była jeszcze za mało kłopotliwa!

– Republika Południowej Afryki, kochanie.

Niby czułość nadal brzmiała w jego głosie, ale Zofia dosłyszała w nim także ton, który dobrze знаła z późniejszych lat swojego małżeństwa. Lekkie rozbawienie, ale i nuta lekceważenia. Tak, kobieta to mały, głupiutki kotek, a mimo to można ją pozostawić z kłopotami i polecieć samemu w swoje krainy ułudy. Lekko otrzeźwiała.

– Napiję się tylko lemoniady. Ta z mango bardzo mi smakuje.

Tak wielu ludzi siedziało wokół nich, a pani Zofia czuła się, jakby ktoś ją i Kazimierza oddzielił szklanym kloszem. Gdzieś z daleka docierał do niej szmer rozmów, ale nie starała się nawet wyróżnić słów. Obcy ludzie siadali, wstawali od stolików, czasem ktoś ją potrącił i rzucił pospiesznie „przepraszam”. To było takie inne od gwarnych wieczorków w jej dworze, gdzie każdy był sobie bliski, zainteresowany wszystkim. Zdarzało się, że rozmawiając z jednym, nagle usłyszało się wieść z innego kąta salonu. Ta nowina od razu stawała się tematem głównym, na który każdy chciał się wypowiedzieć, i sprawa stawała się wspólna, życie pełne wzajemnego zainteresowania, a nie jak tu podzielone na osobne stoliki, osobne pary czy małe grupki znajomych. Zofia w tym otoczeniu poczuła się jak motyl przedwcześnie odarty z kokonu, róża pozbawiona chocholej otuliny, kiedy mróz ostatni, przedwiosenny nadszedł. Słuchała słów Kazimierza, które z jednej strony wabiły ją, czarowały, wzniecały burzę wspomnień,

a z drugiej nie zaspokajały jej potrzeb w tym przypadkowym życiu: otoczenia grupą przyjaciół, rodziny, znajomych, o których wiedziało się wszystko, z którymi cieszone się i współczuło solidarnie.

– Takie mam przeczucie, graniczące z pewnością, że ty, Zosieńko, zdolna jesteś do wzniesienia się ponad przeciętność, do większych wzruszeń, do sięgania po coś, co jest piękniejsze, szlachetniejsze, wyższe od tej pustej rzeczywistości, która nas otacza – tokował Kazimierz, a ona słuchała i zastanawiała się, czego od niego chce.

Nie ulegało wątpliwości, że czegoś chciała. Wzbudzał w niej nie tyle tęsknotę, co pożądanie zaspokojenia ważnej potrzeby. Nie była jednak w stanie rozpatrzyć się w tym emocjonalnym chaosie, jaki w niej panował. O co jej chodziło, nie wiedziała. Dlatego dosyć łatwo zgodziła się, kiedy zaproponował następne spotkanie, choć przecież przyszła z mocnym postanowieniem, że już nigdy się z nim nie zobaczy.

Dopiero kiedy znalazła się sama w windzie wiozącej ją do tutejszego mieszkania, zdała sobie sprawę, że potrzebne jest jej pożegnanie. W dawnym, prawdziwym życiu Kazimierz odchodził od niej wiele razy. Wyjechał za panną Dominique, nawet na nią nie spojrzawszy. Poszedł do powstania jakby z ulgą, bo dawało mu to pretekst do uniknięcia jej obecności. Umarł niemal na jej rękach. Kto wie, może gdyby odzyskał przed śmiercią przytomność, znalazłby słowa, które świadczyłyby, że te lata razem przeżyte nie były czcze, coś znaczyły, zasługiwały na dobre słowo albo choćby krótkie wyznanie żalu, że minęły.

Zofia tak się pod wpływem tych myśli rozczuliła nad sobą, że z trudem hamowała łzy. Weszła do domu i zaraz w korytarzu natknęła się na Konstantego, który wyszedł ze swojego gabinetu z pustym kubkiem po herbacie w ręce.

– Co się stało? – Tyle było przejęcia w jego głosie, że nie wytrzymała i się rozpląkała.

– Chodź, zaparzę ci meliskę – zaproponował, rozplątując ją z długiego szala i pomagając zdjąć palto.

Pozwoliła mu na to. Potem zaś, kiedy siedzieli oboje na kanapie w salonie z parującymi kubkami w dłoniach, a Zofia powoli się uspokajała, patrzył z uporem w podłogę, kręcił głową i najwyraźniej nie mógł sobie czegoś darować.

– To wszystko moja wina, to wszystko przeze mnie, czy ty mi kiedyś wybaczysz? – powtarzał w kółko.

Zofia odzyskała przytomność umysłu na tyle, że wiedziała, iż oczywiście wybaczy. Fakt, że Konstanty zdradził, nie przejmował jej tak bardzo, nie bolał nieznośnie. Pewnie dlatego że zdradził Zośkę, nie ją. I tylko ze względu na Zośkę nie chciała wybaczać zbyt szybko. Głęboko wierzyła bowiem, że kiedyś, może niedługo, znowu zdarzy się cud i powrócą na swoje miejsca. Nie miała więc zamiaru utrudniać jej życia.

Rozdział 24

W całym dworze unosił się delikatny zapach propolisu i miodu. Tak pachniały wywoskowane podłogi, które teraz froterowała dworska dzieciarnia, ślizgając się po nich na wełnianych szmatkach. Powoli dołączała się do nich woń świeżo upranych firan i wykrochmalonych na sztywno i uprasowanych serwet. Z pomieszczenia tuż przy jadalni wydostawał się ostry, ale szybko wietrzejący zapach octu, za którego pomocą dezynfekowano wnętrza stojących tam ogromnych kredensów, by następnie na nowo ułożyć w nich srebra wyczyszczone roztworem sody i octu oraz kryształy wymyte także w wodzie z octem. Bez octu nie dało się zrobić świątecznych porządków.

Zośka chodziła pośród tego rozgardiaszu, raz chwalać upięcie firan, raz nakazując poprawienie wiszącego odrobinę krzywo na ścianie kilimu czy obrazu. Bardzo starała się, by nikt się nie domyślił, jak niezwykle obca jest jej wiedza o plamach, środkach przeciwko molom, myszom, sposobach konserwacji i czyszczenia. Jakoś jej się to udawało, bo pani Lutomierska już dawno tak prace nad tymi wszystkimi rzeczami zorganizowała, że każdy wiedział, co ma robić. Zośka postanowiła się więc do niczego nie wtrącać, bo znowu wyszłaby na jaw jej całkowita ignorancja.

Zresztą inne sprawy zaprzętały jej bez przerwy głowę. Tam, w prawdziwym życiu Agata miała niedługo zdawać maturę, a tymczasem ona, matka, nie trzymała ręki na pulsie, nie czuwała i nie goniła do nauki. Ta sytuacja wydawała jej się zupełnie nie do zaakceptowania. Do tej pory nic istotnego nie działo się bez niej.

Tymczasem tutaj sprawy publiczne uległy w przedświątecznym czasie zawieszeniu. Żadne nowe wieści nie docierały do Lutomierzyc, co może i było dobre, bo jak dotąd zewsząd dochodziły tylko echa klęsk. Tym gorliwiej zwracano się do Boga, kiedy codziennie mieszkańcy, i państwo, i służba, o trzeciej po południu w godzinę śmierci Pana Jezusa klękali do modlitwy wokół wielkiego stołu w jadalni. Jedynie dla pani Adamowej przygotowano klęcznik wyściełany miękką ałasową poduszką, bo była stara i z trudnością podnosiła się z kolan. Na te modły schodzili ze swojego poddasza także Teoś Łagierski i pan Konstanty Gosztowicz, bo czuli się już lepiej. Nawet w Niedzielę Palmową obaj pojechali ze wszystkimi do kościoła.

Po mszy ksiądz dobrodziej zaprosił co ważniejszych obywateli parafii na obiad i tam dopiero Zośka miała okazję dowiedzieć się szczegółów o toczącym się powstaniu. Kto teraz nim rządzi i gdzie stoczono większe potyczki. Ciekawa była tych spraw, bo od nich zależał los jej rodziny. W brodę teraz sobie pluła, że nie przeczytała wystarczająco uważnie książki Kieniewicza o powstaniu, która od tak dawna leżała gdzieś przy łóżku czy na toalecie w jej warszawskim mieszkaniu. Jednak gdy tylko weszli do jadalni i zobaczyła nakryty stół, zapomniała o tym.

Gospodyni księdza słynęła na całą okolicę z pięknego przyozdabiania potraw. A czego tam nie było! Na przystawkę podano śledzie z rodzynkami i cząstkami pomarańczy, delikatnie ozdobione kleksami majonezu i posypane migdałowymi płatkami; jajka faszerowane koperkowym nadzieniem przypominające łódki, bo z każdego na wykałaczkowym maszcie powiewał żagiel z plastra wędzonego łososa, oraz blinki otoczone miseczkami czarnego i czerwonego kawioru. Potem wniesiono zupy: grzybową i rakową do wyboru, następnie ogromnego upieczonego jesiotra obłożonego duszoną czerwoną kapustą, sandacze z jajkami i szczupaka z chrzanem, a do tego podsmażane kartofelki, kaszę z gryki wymieszaną ze świeżą zieleniną i olejem oraz kluski.

Zośka popatrzyła na stół trochę przerażona i trochę zgorszona. Takie obżarstwo na plebanii u księdza? Na dodatek w post? Rozejrzała się wokół. Obecni ochoczo zabrali się do jedzenia, a prym wiódł sam ksiądz proboszcz. W zasadzie nie powinna się temu dziwić, jako że pod sutanną rysowało mu się potężne brzuszysko, a rumiane, błyszczące policzki i uśmiechające się pełne usta znamionowały smakosza.

Zauważył, że mu się przygląda, bo zwrócił się do niej:

– Jedz, dziecko, Pan Bóg rozmaitych sposobów używa, by pocieszyć człowieka w strapieniu, a dobre pożywienie nie jest chyba najgorszym z nich.

Oddała mu uśmiech.

– Tyle tu pyszności i tak pięknie podane, że sama nie wiem, na co miałabym jeszcze ochotę.

Zjadła już bowiem porcyjkę wyśmienitego śledzia i blinek z kawiolem, po czym chlipnęła trochę zupy rakowej, myśląc o tym, że takiej nie podadzą w jej czasach nawet w najwytworniejszej restauracji. Teraz miałyby ochotę spróbować jeszcze jesiotra, którego w dwudziestym

pierwszym wieku nie uświadczysz w Wiśle ani w innych polskich rzekach, ale ten cholerny gorset tak cisnął! Jak jeść?

Jeszcze raz powiodła oczami po siedzących za stołem. Pan Konstanty pałaszował, aż mu się uszy trzęsły, posyjąc z bólu od czasu do czasu, bo kontuzjowane ramiona nadal mu dokuczały. Jej podobno nie tak daleka kuzynka Krysia Łagierska prosiła o niewielkie porcje, ale najwyraźniej nie miała takich problemów jak Zośka. Jakim cudem? Przyjrzała się jej sukni. Czyżby nie założyła dziś gorsetu? No, oczywiście! Oni wszyscy nie pierwszy raz byli zaproszeni na taki obiad! Panie poluzowały staniki u sukien i teraz mogły kosztować tych smakołyków bez problemów!

Dopiero kiedy ryby zniknęły ze stołu i wniesiono ciasto, kawę oraz wspaniale pachnący budyń z owocami i szodnem³⁶, rozmowa zaczęła się rozkręcać. Omawiano oczywiście ostatnie wydarzenia. Temat był gorący i wyraźnie wśród ludzi brakowało jedności w tych trudnych czasach.

³⁶ Ten sos, dodawany do deserów, jest tak pyszny i prosty do zrobienia, że koniecznie trzeba podać tu przepis. 3 żółtka należy utrzeć z 9 łyżeczkami cukru, następnie postawić miseczkę z zawartością na garnku z gotującą się wodą (na parze) i ciągle ucierając, wlewać tam po trochu ¼ l. białego słodkiego wina. Po niedługiej chwili sos powinien zgęstnieć. Można nim polewać gotowane owoce, lody, biszkopt.

– Jeśli już powstanie wybuchło, to obowiązkiem każdego Polaka jest je wesprzeć choćby po to, by wstydu nie było, że tak łatwo daliśmy się zgnieść – perorował pan Zenobiusz Karpiński, właściciel największego majątku w północnej części guberni warszawskiej. – A tymczasem słyszę, że...

Opinii pana Zenobiusza z racji jego zamożności wysłuchiowano zazwyczaj z należnym szacunkiem. Tym razem jednak, czy to z powodu ważności tematu, czy też z powodu większej niż zwykle ilości alkoholu, którym poprawiano sobie trawienie po tak sutym obiedzie, pan Hieronim Olkowski, nie tak zamożny, ale najbardziej przedsiębiorczy z okolicznych ziemianin, ośmielił mu się przerwać:

– Ale tu trzeba się liczyć z realiami, szanowny panie. Ja przypomnę tylko, że po klęsce powstania w trzydziestym pierwszym roku Rosjanie kazali nam za tę wojnę słono zapłacić. Toż do tej pory szarpiemy się ze spłatą zadłużeń, bo nałożyli na nas kontrybucje. A ile gotówki wyciągnęli z kasy miejskiej i Banku Polskiego na budowę cytadeli w Warszawie?! I teraz

mamy! Za własne pieniądze ufundowaliśmy sobie więzienie dla tych, którzy ośmielają się dopominać wolności!

– Konstytucje nam podeptali, sejm rozwiązali! – dołożył swoje pan Stefan Łagierski, głowa najliczniejszego w okolicy rodu. – Uniwersytet nam zamknęli.

– Ilu ludzi wyjechało... – westchnął ciężko Janek Zarębski, bo przez tę wielką wędrówkę ludów po powstaniu został na tym świecie sam jak palec i niemal bez środków do życia.

– A wiara nasza katolicka jakiego uszczerbku doznała – dołączył do powszechnego lamentu ksiądz proboszcz. – Klasztory rozwiązano, a unitom kazano przejść na prawosławie. Drogą krzyżową idzie nasz naród.

– A epidemia cholery? – Zośce przypomniało się, że czytała gdzieś, jak ta choroba dziesiątkowała rosyjskich żołnierzy podczas powstania listopadowego, a potem rozniosła się na polską cywilną ludność szczególnie w miastach. Wydawało jej się to straszne! Zapachniało średniowieczem!

Męska część towarzystwa spojrzała na nią ze zdziwieniem, a damska z lekkim popłochem. Z jakichś powodów nie powinna się odzywać?

– Kobiety ze swoimi czułymi i bojaźliwymi sercami gotowe są przeceniać niebezpieczeństwo.

Pan Zenobiusz niby uśmiechał się do Zośki, ale w tonie jego głosu czaiło się takie lekceważenie, że Zośce pięści same się zacisnęły. Szykowała się, by ostro odpyskować gburowi.

– Nie doceniać zaś tego niebezpieczeństwa, to nie doceniać ogromu wysiłku, który wymagał opanowania tej epidemii. – Konstanty Gosztowicz ruszył w sukurs Zośce. – Choroba tylko dlatego nie zebrała obfitego żniwa, że nasze panie potrafiły i zechciały stawić jej czoła codzienną dbałością o czystość, dezynfekcję, zdrowe odżywianie, zapewnienie kwarantanny. Nie lekceważmy roli kobiet, bo wielu z nas, w tym i ja, życie im zawdzięcza. – Pan Konstanty wstał, podszedł do Zośki i ucałował jej dłoń.

Cisza zapanowała przy stole. Ten i ów ze starannie krytą satysfakcją zerkał na Karpińskiego, bo człowiek ów nie był lubiany w towarzystwie trochę dlatego, że za bardzo zadzierał nosa, i trochę dlatego, że zazdroszczono mu bogactwa.

Cicho byłoby nie wiadomo jak długo, gdyby nagle nie rozległ się chichot. To gospodyni księdza, która akurat stała w progu jadalni, by skontrolować, czy gościom czego nie brakuje, usłyszała przemowę Gosztowicza i głośno ucieszyła się, że ktoś wreszcie przytarł rogi ordynusowi. Nie cierpiała go! O każdej jej potrawie mówił, że jest znakomita, ale w takim to a takim hotelu na jakiejś tam jednej albo drugiej riwierze to dopiero jadł...

Zośka była wdzięczna Konstantemu, że wziął ją w obronę. Kiedy już wracali do domu, nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na niego od czasu do czasu. On to zauważył, leciutko się uśmiechał, ale nie rozmawiali ze sobą. Siedzący naprzeciw Janek Zarębski posapywał trochę przez sen, bo nie doszedł jeszcze całkowicie do siebie, a powóz tak usypiająco kolebał się na wybojach. Z cichym mlaskaniem jego koła wydobywały się z wiosennego błota. Wiał ciepły wiatr, więc Zośka uchyliła okna. Wpadł przez nie zapach świeżej sośniny i ptasi gwar dobiegający znad leniwie płynącej niedaleko Wkry. Świat wydawał się Zośce taki piękny od tego uśmiechu Konstantego, zapachu i gwaru! Jej myśli poszybowały do warszawskiego mieszkania, gdzie tak często z mężem siadywali sobie przytuleni na kanapie, każde ze swoją książką w ręce. Czytali i od czasu do czasu przerywali lekturę, bo koniecznie musieli się podzielić jakimś wyczytanym słowem, myślą. Popijali przy tym czerwone wino albo pyszną kawusię. Krąg światła rzucany przez lampę odgradzał ich od reszty świata. I tak było dobrze, tak dobrze...

Wielki Tydzień jednak nie zaczął się tak sielsko. Od rana Zośka miała mnóstwo roboty. Już wdrożyła się w nią nieco i wiedziała, że najpierw trzeba zrobić wędzonki, potem ugotować mięsiwa na pasztety i przyszykować lodownię, by można było to wszystko gdzieś przechować, następnie peklować mięso na białe kiełbasy, a jeszcze później upiec chleby, ciasta, aż wreszcie okrasić jajka i uszykować święconki.

Nie miała czasu na nic innego, więc bardzo niechętnie zgodziła się na poważną rozmowę z Jankiem. Odkąd wrócił z powstania, zasiedziało się u nich, bo Bogiem a prawdą nie bardzo miał się gdzie podziąć. Majątek, na którym gospodarował jego ojciec, został zlicytowany, a stary Zarębski ze zgryzoty zaraz potem zmarł, reszta rodziny zaś musiała emigrować. Dobrze, że Janek jeszcze przed powstaniem skończył Akademię Medyko-Chirurgiczną w Warszawie i już krążyło o nim wiele pochlebnych opinii

między pacjentami. O tym wszystkim Zośka wiedziała i lubiła Janka, ale teraz naprawdę nie miała dla niego czasu.

Jeśli chce się oficjalnie oświadczać Bogusi, to przecież mógłby poczekać jeszcze te kilka dni do świąt, myślała, idąc za nim do salonu.

– Ja w sprawie Gustawa. – Janek zaczął jednak inaczej, niż się spodziewała. – Jego kaszel to nie są przejściowe problemy. To bardzo poważna sprawa, suchoty. Na dodatek rozwijają się szybko.

– Cholera! – jęknęła Zośka. Janek był zbyt zaambarasowany sprawą, by zwrócić uwagę na jej niestosowne zachowanie.

– Ja wiem, że zaraz po świętach wybieracie się do doktora Chałubińskiego, i to bardzo dobrze, ale przydałoby się już teraz, tu w domu poczynić pewne starania, które pomogłyby ochronić przed chorobą innych. Trzeba trochę go odizolować od reszty domowników i niech je w osobnych naczyniach, wietrzyć należy często pomieszczenia, szczególnie jego pokój, dezynfekować wszystko. Pasteur, taki francuski uczonec, odkrył, że to bakterie są przyczyną większości chorób.

– Od gruźlicy był Koch – poprawiła go machinalnie Zośka.

Spojrzał na nią z lekką dezorientowany i pomyślał, że te ciężkie przeżycia, których ostatnio doświadczyła, odbijają się mocno na jej psychice. Zośka zaś natychmiast zaczęła się zastanawiać, kiedy ten Koch odkrył prątki gruźlicy, bo może jeszcze w tym świecie tego nie wiedzą.

– Zarządę, co trzeba – odpowiedziała. – Naprawdę myślisz, że sprawa jest aż tak poważna?

Nic nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią smutno.

Rozdział 25

Zośka miała więc o czym rozmawiać z Zofią i nie były to sprawy wesołe. Bardzo martwiła się chorobą Gustawa, a na dodatek na święta do domu nie zjechał z Warszawy Antoni. Słowem się nie wytłumaczył, listu żadnego nie przysłał. Poza tym Zośka nie potrafiła cieszyć się świątecznymi przygotowaniami, bo zżerał ją niepokój o Agatę. A przecież wszystko tu dla niej było nowe, ciekawe, ekscytujące. Zupełnie nie miała czasu, by przesiadywać przy toalecie, a tyle rzeczy należało omówić z Zofią, dlatego często zaglądała do sypialni, ale po drugiej stronie lustra ciągle nikogo nie było.

Jednak pewnego wieczora, tuż po świętach, kiedy obmyła się w misce stojącej na umywalni i wyszorowała zęby ohydny proszkiem, zasiadła wreszcie przed toaletką. Pani Zofia już tam na nią czekała.

– A ja tu odchodzę od zmysłów!

– Przecież wiem – ucięła wiszące w powietrzu wymówki Zośka. – Jakoś staram się sprostać zadaniom. To nie jest łatwe.

– Przecież wiem – powtórzyła Zofia. Podobne były do siebie jak dwie krople wody nie tylko z wyglądu. – Mów, co się dzieje!

Jak powiedzieć matce, że jeden z jej synów ma galopujące suchoty, a drugi zniknął w samym środku szalejącego w Polsce powstania? Zośka szukała gorączkowo w głowie jakiejś formuły, która pozwoliłaby zakomunikować to w sposób możliwie łagodny, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Powiedz mi wszystko – ponagliła Zofia, z takim napięciem wpatrując się jej w twarz, że Zośka wiedziała: na nic wykręty, nie ma takiej bawelny, w którą udałoby się owinać tę niepokojącą prawdę.

– Jeszcze nic nie jest pewne, ale jutro wyjeżdżamy do Warszawy i wiele spraw się wyjaśni.

– Więc jednak podejrzewacie gruźlicę u Gustawa? – Takie nuty zadźwięczały w głosie Zofii, że nie musiała więcej tłumaczyć, jak bardzo przeżywa tę sytuację. To nie był tylko niepokój o zdrowie syna, ale też bezradność. Obie zostały uwięzione w nie swoich czasach, a tymczasem sytuacja wymagała działania!

– Przysięgam ci, że nie zaniedbam niczego, i zrobię, co ty byś zrobiła. Przysięgam na co tylko chcesz! – Zośka dobrze rozumiała położenie Zofii.

– Zastosujemy się do wskazówek doktora Chałubińskiego. Górskie powietrze może zdziałać cuda. Zdrowe odżywianie też. A w Zakopanem tego nie zabraknie!

– W Zakopanem? – Zofia najwyraźniej nie słyszała dotąd o tej miejscowości.

– Może jeszcze nie słyszałaś, a może samemu Chałubińskiemu nie przyszło jeszcze do głowy zorganizowanie sanatorium w Tatrach, ale jeśli nie przyszło, to mu podpowiem i on to zrobi! Górskie powietrze czyni cuda. Zobaczysz! Wzmocnimy Gustawa, zahartujemy. – Zośka za wszelką cenę starała się dodać otuchy imienniczce.

– Jedźcie koniecznie. Możecie zatrzymać się u Antosia. Będzie trochę taniej, a przy okazji miej oczy otwarte. To taki niespokojny czas, a Antoś jest w gorącej wodzie kąpany.

– Wiem. Nie odzywa się od dłuższego czasu – palnęła w odpowiedzi, zanim zdołała pomyśleć.

Jakoś udało się opanować i ten atak paniki po drugiej stronie. Fakt, że Antoni nie zjawił się w domu na święta, zdaniem Zofii świadczył o straszliwym nieszczęściu, które go dopadło. Wszystkiego jednak należało się dowiedzieć na miejscu i sama Zośka nie zamierzała martwić się przed czasem jeszcze i losem Antosia. I jak tu się w takich okolicznościach dopytywać, czy Agatka solidnie przygotowuje się do matury?

Kilka dni potem pełna sił i energii Zośka wsiadła w Nasielsku do pocztowej karetki w towarzystwie Gustawa i pana Gosztowicza, który uparł się pomagać w załatwianiu warszawskich spraw. I dobrze się stało.

W Warszawie wysiedli na niewielkim placyku przed budynkiem poczty na Krakowskim Przedmieściu. Plac roił się od tragarzy i dorożek czekających tylko po to, by usłużyć zmęczonym podróżnym. Wezwali bagażowego i przeszli piechotą do sąsiedniej kamienicy, gdzie na drugim piętrze mieszkał Antoni. Na próżno pukali. Nikt nie otwierał, a telegram z wiadomością, że przyjadą, przecież poszedł!

Zośka nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Czy już należało się niepokoić o Antoniego, czy zżymać na jego lekkomyślność i brak szacunku dla rodziny. Z krótkich spojrzeń, które rzucali na siebie pan Gosztowicz i Gustaw, wywnioskowała, że jednak dzieje się coś niedobrego.

– I co teraz? – spytała całkiem w stylu epoki. W kłopotliwych sytuacjach wygodnie się jest oprzeć na silnym męskim ramieniu i udawać nieporadną

idiotkę. Teraz nawet nie musiała udawać. Nie miała pojęcia, jak poruszać się w tym mieście, tak różniło się od znanej jej Warszawy!

Panowie stanęli na wysokości zadania: Zośka została z pełną troskliwością usadowiona w przytulnej kawiarni mieszczącej się na parterze kamienicy, w której mieszkał Antoś.

– Nie jestem pewien, czy dania tu serwowane zadowolą podniebienie szanownej pani – certolił się nieznośnie pan Konstanty. – Do niedawna jeszcze to miejsce należało do Włocha Laurentego Tosio i było ze wszech miar godne polecenia, ale teraz, słyszałem, zmienili się właściciele.

– Ja wam obydwu dziękuję za opiekę, ale czy nie moglibyśmy coś przedsięwziąć, by dowiedzieć się, gdzie się zawieruszył Antoś? – Troska Gosztowicza wzbudziła w Zośce tyle pięknych, co i bolesnych wspomnień, że teraz trudno jej było ukryć poruszenie. Przecież jej własny Konstanty kiedyś, w czasach młodości, też się do niej odnosił z podobną troską i tym ją właśnie ujął, a potem co? Panna Agnieszka!

Podano im przepyszne drożdżowe babeczki i brzoskwinie zalane aromatycznym syropem przygotowanym na bazie białego wina. Potem pan Konstanty zniknął na moment. Wrócił z wieścią, że stróż w kamienicy nie widział Antoniego już od kilku dni, ale oferował się otworzyć mieszkanie zapasowym kluczem, jeśli tylko matka pana Antoniego uiści zaległy czynsz. Ta wieść jeszcze bardziej ich zaniepokoiła, ale nie mieli czasu zastanawiać się, gdzie dalej szukać Antosia, bo zbliżała się godzina wizyty u doktora Chałubińskiego.

Doktor przyjął ich w swoim gabinecie w Szpitalu Ewangelickim przy ulicy Karmelickiej. Było to ogromne gmaszysko, dosyć ponure, choć niestare, bo zbudowane raptem trzydzieści lat wcześniej. Za to gabinet doktora był pełen słońca wpadającego przez okno zajmujące prawie całą ścianę.

Chałubiński był człowiekiem postawnym i niezwykle przystojnym. To Zośka zauważyła jako pierwsze. Gęste, lekko siwiejące włosy miał zaczesane do góry, a spod nisko osadzonych brwi patrzyły jasne i przenikliwe oczy. Opadające po obu stronach ust wąsy nadawały mu lekko melancholijny wyraz, kłócący się ze sprężystością ruchów i dobrą energią bijącą od doktora. Wysłuchał Zośki uważnie, zerkając na milczącego Gustawa, a potem wyprosił ją i Gosztowicza z gabinetu, by zbadać chorego. Wszystko to robił z taką pewnością siebie, że choć Zośka dobrze wiedziała,

iż znalazła się w czasach, w których jeszcze nie potrafiono leczyć gruźlicy, zatiła się w niej nadzieja.

– Uratuje go, prawda? – dopytywała co chwilę Konstantego na korytarzu przed gabinetem.

On zaś wziął ją w końcu w ramiona i mocno przytulił. Nie było w tym geście nic zdroźnego, a Zośka poczuła, jak płynie od niego ukojenie, i ogarnął ją spokój połączony z nadzieją.

Ta przygasła jednak, kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju przyjęć.

– Nie mam dobrych wieści – powiedział Chałubiński. – Wszystko wskazuje na to, że choroba rozwija się dosyć gwałtownie. Wyleczyć jej nie potrafię i tylko skupić się powinniśmy na tym, by jej rozwój spowolnić.

Zośka słuchała uważnie, co mówi doktor, nawet kajecik i ołówek wyjęła i zaczęła notować niektóre wskazówki, czym zasłużyła sobie na jego zdziwione, ale i pełne uznania spojrzenie. Czekala też na chwilę, kiedy padnie słowo „Tatry” albo „Zakopane”, ale nie padało. Czyżby doktorowi jeszcze ten pomysł nie przyszedł do głowy? Jeszcze nie wydeptał ścieżki, którą można by było wysłać Gustawa? Jeszcze nie odkrył zdrowotnych walorów tatrzańskiego powietrza? Nie poznał Sabały? Jeszcze nie miał wśród znajomych górali chętnych do wynajmowania kwater?

Wreszcie z lekka zniecierpliwiona zapytała:

– A leczenie klimatem, na przykład górskim, nie dałoby jakichś rezultatów?

Chałubiński spojrzał na nią wyraźnie poruszony.

– Przyznam się, że podobna myśl nachodzi mnie od pewnego czasu, choć nie spodziewałem się jej usłyszeć z ust niewieścich. W górach panuje niższe ciśnienie, przez co przyspieszony jest obieg krwi, a organizm zmotywowany zostaje do obrony. To może mieć znaczenie. Ja powiem wprost, większość lekarzy, zdiagnozowawszy gruźlicę, opuszcza ręce i nie proponuje żadnego leczenia. Ja jednak wolałbym powalczyć, ale wiele tu zależy od samego pacjenta. – Spojrzał wyczekująco na Gustawa.

Ten od wyjazdu z Lutomerzyc, a może i jeszcze wcześniej, siedział markotny i zamyślony. Dręczyła go myśl, że przyjdzie pożegnać mu się z życiem, choć nie zaznał w nim niczego ważnego. Wydawało mu się, że gdyby przeżył coś, co zaparłoby mu dech w piersiach, przeorało ducha, zachwyciło dogłębnie, to łatwiej byłoby mu umierać.

– Co się będziemy oszukiwać, doktorze, pan dobrze wie, że ta walka, którą chce pan podjąć, nie może zakończyć się zwycięstwem.

Tak to zabrzmiało, że Gustaw sam siebie przeraził. To już przed nim nic? Tylko rezygnacja? I czekanie z opuszczoną głową na śmierć? Ale czy to nie lepsze, nie godniejsze niż uganianie się za fałszywą władzą?

– Życie jest cudem – odparł mu na to Chałubiński – choć każde kończy się śmiercią. Chodzi tylko o to, by wypełnić je pięknem, dobrem. Pamiętam... – Zamilkł. Uśmiechał się przy tym lekko, zatopiony we wspomnieniach. Na twarz wypłynął mu taki zachwyty, że ani Zośka, ani Gustaw, ani Konstanty nie wazyli się tego milczenia przerwać. – Pamiętam, był rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy. Szedłem przez Tatry na Węgry, gdzie wtedy trwała walka. O wolność naszą i waszą walczyli wszyscy, którym swoboda była droga. Prowadził mnie stary góral. Ta potęga gór, te noce gwiazdzone spędzone przy ognisku, te wiatry bujne, krew tętniąca w skroniach, chmury przewalające się przez wierchy... – Znowu zamilkł, a oni czekali w napięciu, co powie dalej.

Gustaw już wiedział. Może to poczucie niczym nieokiełznanej swobody, tego wiatru we włosach, tego piękna, którego wspomnienie wywoływało do tej pory zachwyty graniczący z ekstazą na obliczu Chałubińskiego, może właśnie to jest konieczne do doznania przed śmiercią?

– Tylko tam człowiek czuje, że żyje pełną piersią. Tylko tam natura jest tak piękna i groźna zarazem, że wszystko inne: człowieczy los, jego życie i śmierć, staje się nieistotnym drobiazgiem w obliczu majestatu.

– Czyli twierdzi pan, że nawet jeśli góry mnie nie ulecą, to nasycą życiem? Pozwolą doznać największego zachwyty?

– Ma pani mądrego syna, pani Gosztowiczowa. – Doktor uśmiechnął się do Zośki.

– Lutomierska – poprawiła z zażenowaniem.

– Lutomierska? – Uśmiech znikł z ust Chałubińskiego. – Państwo znają Antoniego Lutomierskiego?

Wszyscy troje zaczęli mówić niemalże jednocześnie, jak to się o niego martwią, że na święta do domu nie przyjechał, że znaku życia nie dał, że mieszkanie zostawił zamknięte...

– Został aresztowany.

Zamilkli.

– Jak? Skąd pan wie? – wydusiła wreszcie Zośka.

Wiedział. Doktor Chałubiński był wielkim patriotą. Początkowo sprzyjał białym, bo pomysł czerwonych, by bić się o wolność z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem, kłócił się z jego zdrowym rozsądkiem. Potem jednak zniechęciło go kunktatorstwo białych, zaraził entuzjazm czerwonych i do nich przystał, a nawet brał udział w pracach Rządu Narodowego. Stąd znał Antoniego.

– Więcej będzie wiedziała panna Dominique Dulpy – powiedział. – Zaraz zapiszę adres.

Wizyta u doktora Chałubińskiego okazała się dla wszystkich bardzo owocna. Oprócz wiadomości o Antku Lutomierscy wyszli z jego gabinetu z adresem zakopiańskiego proboszcza księdza Józefa Stolarczyka, który mógł pomóc w wyszukaniu godziwej kwatery dla Gustawa. Doktor natomiast długo siedział zamyślony nad tym, że górskie powietrze, kąpiel w ciepłych źródłach, wyprawy, a nade wszystko zachwyty, jaki wzbudzać musi w każdym piękno Tatr, mogą działać ozdrowieńczo na takich młodych ludzi jak Gustaw, który opuścił przed chwilą jego gabinet. Coś musiał z tą myślą zrobić, gdy tylko uda się wywalczyć choć trochę swobody w powstaniu, postanowił.

Rozdział 26

Antoni wpadł wyjątkowo głupio. Może byłby bardziej uważny, gdyby nie fakt, że pewnego razu, kiedy zbiegał nad Wisłę schodami tuż obok Zamku Królewskiego, spotkał panienkę, która go kiedyś uratowała przed aresztowaniem. Nie śmiał pozdrowić jej ani tym bardziej zagadać, tylko przyglądał się jej z miną cokolwiek zbaraniałą, jak z lekka zasapana pnie się pod górę od strony cytadeli.

Antek często tamtędy przechodził, czasem nawet nie po drodze mu było, ale szedł w pobliże, bo wydawało mu się, że gdy czujnym okiem zerka na rosyjskie wojsko panoszące się w okolicy i pilnujące księcia Konstantego Mikołajewicza, który pełnił funkcję namiestnika i rezydował w pokoju Podkomorzego, to zniszczeń będzie mniej. Bo szacunku ta hałastrą dla Zamku Królewskiego nie miała za grosz. Ile razy widział Antoni, jak ten czy ów z wojskowych szczał na jego królewskie ściany, tyłkiem się tylko odwróciwszy od ścieżki biegnącej niedaleko, albo siekł szablą po krzewach królewskiego przecież ogrodu ciągnącego się od Arkad Kubickiego w stronę Wisły. Oburzało go to! Albo z niepokojem podpatrywał, co tam się dzieje, bo po Warszawie co rusz rozbiegały się plotki o skarbach wywożonych do Rosji.

Owego dnia nie dostrzegł jednak nic oprócz zaróżowionej od wysiłku twarzyczki, ciemnych oczu wykrojonych w migdał i brązowych, lekko wijących się włosów wymykających się niesfornie spod modnego kapelusika budki. Była sama, co zdziwiło Antoniego. Ich oczy spotkały się na moment i chłopak dałby sobie głowę uciąć, że mignęło w nich poznanie, przypomnienie tamtej chwili, kiedy podniosła upuszczone przez niego z premedytacją kartki z artykułem. Zapatrzony w dziewczynę zapomniał, dokąd i po co szedł. Odczekał chwilę, potem zawrócił i pobiegł za nią, bo przecież nie mógł dopuścić, żeby znikła mu z oczu bez śladu.

Lubow Zamiatina. Lubow Andriejewna Zamiatina, taki rytm wybijały jego stopy. Lubow! – chciało mu się krzyczeć do słońca, które tego dnia pięknie świeciło, i do drzew pokrytych zielonością delikatnych pękających pączków liści. Lubow! Czy istniało inne imię, które mogło napełnić człowieka takim szczęściem? Czy jakieś inne oczy przeszywały jak prąd elektryczny na pokazach różnych magików, na które Antoś chodził z upodobaniem, bo to zjawisko interesowało go nadzwyczaj? Lubow,

miłość. Słowo w języku, którego powinien nienawidzić, a jednak budziło w nim radość i poczucie szczęścia.

Każda wieść, którą puszczał w obieg za pomocą drukarni w teatrze, korekty panny Dominique, spotkania Rządu Narodowego, na których bywał i robił notatki, by potem porozsyłać informacje do znaczniejszych oddziałów partyzanckich walczących po całej Polsce – to wszystko nadal było ważne, ale wykonywane z nieustającą świadomością, że gdzieś tam jest Lubow, jego miłość.

W zasadzie to wstyd powiedzieć, ale ta młoda Rosjanka zajmowała umysł Antoniego bardziej niż toczące się wokół niego wydarzenia. Te zaś nie układały się dobrze. W ostatnich dniach głównie za sprawą hrabiego Adama Grabowskiego. To on tak omotał Langiewicza, dowódcę odnoszącego wielkie sukcesy oddziału, że ten bez zgody Rządu Narodowego, ba, nawet bez jego wiedzy ogłosił się dyktatorem powstania. Szczegółów Antoś nie znał, ale miał nadzieję, że wkrótce dowie się czegoś, bo w kieszeni niósł jeszcze nieodpieczętowany list od Stefka Bobrowskiego, swojego szefa i przyjaciela, który jako przewodniczący Tymczasowego Rządu Narodowego pojechał do Krakowa, by rzecz tę wyjaśnić.

Grabowskiego znano nie tylko z działania na rzecz białych, ale także gwałtowności i braku uczciwości. Krążyły plotki, że podawał się za wysłannika rządu i przywłaszczył sobie pieniądze przeznaczone na zakup broni dla powstańców. Ale czy to prawda? Wszystkiego miał się dowiedzieć Stefan w Krakowie.

Antoni spieszył się. Odniósł właśnie ostatni przed świętami artykuł do druku. Wracał do domu tylko po to, by zabrać spakowany już kuferek i wsiąść do pocztowej karetki, która zawieźć go miała do Nasielska. A stamtąd wynajętą furmanką chciał dotrzeć do domu, do Lutomierzyc. Dręczył go jednakże niepokój. On tu z sercem, które coraz gwałtowniej wyrywało się do Rosjanki, a tam przyjaciel w gnieździe żmij!

Idąc pustą ulicą, wyjął list z wewnętrznej kieszeni paltota, rozpieczętował go i przebiegł niecierpliwymi oczyma. *Pisałem Langiewiczowi, że ten Grabowski jest awanturnik najpospolitszy, którego poważnemu politykowi wstyd nawet wspominać* – czytał, czując narastające zdenerwowanie. A potem dowiedział się, że pan hrabia poczuł się urażony i nawet wyzwiał Stefka na... Co?! Co?! Pojedynek?! Sąd honorowy?! Co on pisze?! Toż

Stefek ślepy jest jak kret! Książki czyta, wodząc nosem po kartach! Gdzie jemu stawać do pojedynku! Toż to morderstwo jest! Nie zdając sobie sprawy, Antoś biegł już prawie i już skręcać miał w Kozią, gdy...

– *Izwinitie*. – Ktoś potrącił go tak mocno, że karty listu upadły na trotuar. Ten ktoś, żandarm, schylił się, by je pozbierać. Nie był sam. Towarzyszyli mu jeszcze dwaj inni w takich samych mundurach. Jeden z nich, łysawy z potężnymi wąsiskami łączącymi się z nie mniej imponującymi bokobrodami, wyczekująco przyglądał się Antoniemu jasnymi oczyma.

– *Izwinitie* – przeprosił również grzecznie za incydent Antoś i nogi się pod nim ugięły. Przed nim stał sam Fiodor Fiodorowicz Trepow, generał policmajster warszawski. Najwyraźniej wysiadł właśnie ze stojącego tuż obok powozu.

Ten, który schylił się po karty listu, podał je generałowi ze znaczącym uśmiechem.

– *Wot i popałas' koszka w lukoszko!*³⁷

³⁷ I wpadł kotek do koszyka! (ros.)

Trepow wyciągnął z kieszonki munduru monokl, przyłożył go do oka i zaczął czytać wskazywane przez adiutanta fragmenty.

– Aa! Rząd Narodowy! Aa! Stefan Bobrowski! I Langiewicz! My musimy z wami dłużej porozmawiać! – powiedział, grożąc mu kościstym palcem.

Antoś nie wsiadł więc do pocztowej karetki, nie pojechał do Nasielska i nie zjadł wielkanocnego śniadania z rodziną, tylko trafił do dziesiątego pawilonu cytadeli Aleksandrowskiej, gdzie urządzono areszt śledczy.

W ciasnej celi stały trzy żelazne prycze zasłane burymi kocami. Dwie były zajęte. Trzecia najwyraźniej na niego czekała. Zakratowane okno wychodziło na więzienny dziedziniec, po którym w kółko noga za nogą wlekli się wyprowadzeni na spacer więźniowie. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, a rygle zatrzasnęły, Antoś, jak na dobrze wychowanego chłopca przystało, powiedział ogólne „dzień dobry”, a potem nie miał pojęcia, co robić dalej.

– Rozgość się. – Siedzący na środkowym pośłaniu mężczyzna poklepał po wolnym łóżku dłonią i uśmiechnął się do chłopaka. Miał napuchniętą wargę i żółkniejącego już siniaka koło lewego oka. Dawno niestrzyżone włosy sterczały mu we wszystkie strony i twarz była bardzo nierówno ogolona, a mimo to robił wrażenie sympatycznego człowieka.

W przeciwieństwie do tego drugiego, który leżał na boku odwrócony do ściany i nawet nie raczył zaszczyścić Antosia spojrzeniem.

– Przepraszam, czy tu biją? – spytał chłopak, bezwiednie dotykając wargi.

– A coś myślał? Że pogłaszczą? – Ten odwrócony tyłem z widocznym wysiłkiem i bardzo ostrożnie usiadł na pryczy. Był to młody człowiek, kto wie, może jeszcze młodszy od Antosia. Pierwszy wąs ledwie mu się sypnął.

– My się znamy? – Ta gęba wydawała się Lutomierskiemu znajoma.

– Ojciec jest dozorcą na Koziej, to i mijaliśmy się czasem, ale mało kto na takich jak ja zwraca uwagę.

– A ten znowu swoje! Na plecach będziesz miał wypisane już na wieczny czas swoje szlachectwo! – obruszył się sympatyczny.

Ten z napuchniętą wargą był kurierem przewożącym rozkazy między oddziałami w Świętokrzyskiem. Nazywał się Maciej Łukowski i wywodził się z drobnej szlachty spod Radomia. Syn dozorczy zaś, Tadzik Strug, kręcił się koło Oskara Awejde, jednego z przywódców czerwonych, który potem zaangażował się w prace rządowe. Tadzik dla tego człowieka gotów był w ogień skoczyć i strasznie śmiesznie się złościł, kiedy Łukowski dowodził, że Awejde jest człowiekiem śliskim, niegodnym zaufania i mięczakiem.

– On śledztwa by nie przetrzymał – powtarzał z uporem, choć nie chciał powiedzieć, skąd ma taką pewność.

Te słowa spowodowały, że Tadzik zaciął się i mimo brutalnego bicia nawet nie pisnął podczas przesłuchań i nikogo nie wydał. Widok zmasakrowanych pleców chłopaka spowodował, że pod Antkiem ugięły się nogi.

– Taktykę trzeba mieć – pouczył go Łukowski, który wydawał się doświadczonym w więziennych sprawach człowiekiem. – Zemdlonych nie biją. Cucą i dopiero znowu zabierają się do roboty. Więc paść możesz trochę wcześniej, ślamazarniej zbierać się, kiedy poleje ci się na łeb kubeł zimnej wody. Wszystko to rzecz praktyki.

Jak niełatwo było wskazówki Łukowskiego zastosować podczas śledztwa, przekonał się Antoś już następnego dnia, kiedy wyprowadzono go z celi i posadzono na krześle w pokoju przesłuchań. Może to i wstyd się przyznać, ale on po prostu tak się bał, że dłonie latały mu ze zdenerwowania. Wsunął je pod uda, by nikt tego nie zobaczył.

– Imię, nazwisko, *otczestwo*? – dopytywał znudzonym głosem śledczy. Był przystojnym człowiekiem o lekko zaznaczającej się nadwadze. Starannie przyczesane bokobrody, wypomadowane włosy i dłonie o wypolerowanych, trochę zbyt długich paznokciach nadawały mu wygląd niemalże arystokratyczny. – Co robicie w Warszawie?

Pytania nie wydały się Antoniemu groźne, więc odpowiadał skrupulatnie, coraz bardziej swobodnie, uspokajał się.

– Gdzie jest teraz Stefan Józefowicz?

– Stefan Józefowicz? – Młody Lutomierski doskonale zdawał sobie sprawę, o kogo jest pytany, ale całkiem wiarygodnie udał niezrozumienie.

– Stefan Józefowicz Bobrowski – uprzejmie doprecyzował śledczy.

– Przykro mi, nie wiem.

– Nie wiecie... Z listu wynika, że łączą was całkiem zażyłe stosunki.

Ten list leżał przed nimi na biurku, a Antoni starał się sobie przypomnieć, czy są w nim jakieś wzmianki, które pozwoliłyby Rosjanom domyślić się, gdzie teraz przebywa Stefan albo kiedy wróci do Warszawy.

– Nie aż tak, by spowiadał mi się z każdego kroku.

– Nie aż tak, powiadacie...

Śledczy poruszył się nieco żywiej, a Antka doleciał subtelny zapach jego wody kolońskiej. Sięgnął swoją wypielęgnowaną dłonią po malutki srebrny dzwoneczek stojący na biurku tuż przy przyborach do pisania. Zadzwoił. Ten dźwięk skojarzył się chłopakowi z rodzinnym domem. Podobnym dzwonkiem jego matka przywoływała służbę. W drzwiach ukazał się człowiek w rosyjskim mundurze o prostej, dobrodusznej twarzy. Podszedł do Antka i bezceremonialnie ujął go pod ramię. Bez słowa wyprowadził do sąsiedniego pokoju, skuł ręce i przywiązał do kółka umocowanego na ścianie na wysokości twarzy.

Sens tych wszystkich przygotowań dotarł do Antka dopiero wtedy, kiedy pierwsze uderzenie spadło na jego plecy. Krzyknął zaskoczony. Potem pomyślał o Tadziku. Mógł podobne rzeczy ścierpieć syn dozorca, to i on musi. Szybko zemdlał. Nie musiał udawać. Zimna woda na poranionych plecach przywróciła go jednak do przytomności, ale nie panował nad sobą na tyle, by nie poruszyć się z jękiem pod wpływem szoku, jaki powodowała.

– Gotowy? – Śledczy o arystokratycznym wyglądzie zajrzał do pokoiku.

– Tak jest! – Fałszywie dobroduszny uwolnił Antka z uwięzi i jak tobolek cisnął na krzesło przed biurkiem oficera.

– Może teraz będzie nam się łatwiej rozmawiało?

Jeśli Antoś chciał zachować resztki godności, musiał spiąć się w sobie, zacisnąć zęby i dłonie znowu wsunąć pod uda. Każda próba rozluźnienia, otworzenia ust musiała się skończyć okropnym rozedrganiem, z którego łatwo by się było domyślić, jak bardzo boi się następnych razów. Nie odpowiedział więc nic. Ale tam, po drugiej stronie siedział człowiek doświadczony i on dobrze wiedział, co dzieje się w umyśle więźnia.

– Jutro, kiedy tylko zbliżę rękę do tego dzwonka, wyśpiewasz mi wszystko, co wiesz – powiedział, a Antoni obawiał się, że tak właśnie będzie.

Rozdział 27

Zofia chodziła po warszawskim mieszkaniu jak tygrys zamknięty w klatce. Od ściany do ściany, coraz bardziej zdenerwowana sytuacją synów i swoją bezradnością. Jakoś nawet nie potrafiła się modlić w tym nowoczesnym, mało przytulnym wnętrzu. Było za jasne, za kanciaste, za obce, by tu przebywał Bóg, choć przecież jest wszędzie. Jedyne, co mogła zrobić, to błagać o boską opiekę nad najbliższymi.

Wyszła z domu i ruszyła w stronę kościoła. Stał niedaleko i konkurował kanciastą ogromną bryłą z okolicznymi blokami. Był tak samo obcy jak nowoczesne mieszkanie Zośki. Od ruchliwej ulicy oddzielał go wąski klomb z mizernymi krzewinkami, a następnie wielki, wyłożony betonową kostką dziedziniec. Beton nie tłumił ulicznego hałasu, który wciąż powodował u Zofii dokuczliwy ból głowy. Smród spalin nie pozwalał jej głębiej odetchnąć. Natłok myśli przygniatał ją niemal fizycznym ciężarem.

Podeszła po szerokich schodach do białego prostego portalu widniejącego na tle wysokiej ściany z czerwonej cegły. Nigdzie swojskiego detalu, do którego mogłaby przykleić znękaną tą nowoczesnością wzrok.

Wnętrze kościoła także wydało jej się odpychające. Wielką halę zalewały strugi światła wpadające przez wąskie, bardzo wysokie okna. Gołe ściany z czerwonej cegły, błyszczące marmurowe podłogi i kamienny ołtarz bardziej podobny do sklepowej lady niż świętego miejsca przytłaczały obcością. A w całym tym ogromie, blasku, marmurach, monumentalnych i surowych przestrzeniach stał z boku samotny, jakby nieistotny krzyż z rozpiętym na nim, umierającym Chrystusem.

Jak prosić go miała o opiekę, skoro on sam konał po raz drugi w tym surowym bezmiarze, w tym bezdusznym przepychu? Jak otulić go mogą kochającym wzrokiem wierni, kiedy tu panuje taka pustka? Jak podejść i ucałować przebite stopy, kiedy krzyż jest zawieszony wysoko, niedostępny dla ludu? A i tego ludu nie ma, choć drzwi otwierały się coraz częściej i pojedyncze osoby z chrabąszczym chrzęstem sunęły ostrożnie po śliskich posadzkach, i zajmowały miejsca w długich, ciężkich, kanciastych ławkach. Szelest narastał, a ludzi gromadziło się coraz więcej, jednak ich oddechy, myśli, wiara nie zdołały napełnić tego wielkiego kościoła i jak dym snuły się między ławkami, by unieść się nieco i rozpląnąć bez śladu w tym nieludzkim i nieboskim wnętrzu.

Gdzieś w jednym z pobocznych ołtarzy, oddzielona od wiernych bezmiarem posadzki wisiała, ginąc na wielkiej płaszczyźnie ceglanej ściany, Matka Boska Częstochowska. Do niej przywarła Zofia wzrokiem, myślą i sercem. Ją błagała o ratunek dla swoich, zastanawiając się częścią umysłu nad sensem tych prośb, bo przecież wszystko w jej czasie już dawno przeminęło, los jej dzieci już się przecież dokonał przed stukilkudziesięcioma laty. Czy jest więc sens modlić się o cokolwiek? Pomimo tej wiedzy ta rzeczywistość daleka w czasie była jej bliższa, ludzie bardziej kochani, wydarzenia bardziej istotne niż to, co ją tu otaczało.

Nie ogarnę tego myślą, modliła się do Najświętszej Paniienki Częstochowskiej, ale Ty, Matka, wiesz i rozumiesz. Daj im dobre życie.

Byłaby się zatopiła w pacierzach mimo tej obcości otaczającej zewsząd, ale uwagę jej przykuły obce słowa padające z ust kapłana podczas kazania. „Aborcja” i „in vitro” to najwyraźniej były nowe, straszne grzechy tych czasów. Czyżby ludzie już się powszechnie szanowali? Już nikt nikogo nie krzywdził? Nie kłamał? Wszyscy byli uczciwi? Widocznie tak było, skoro ksiądz słowem o tych starych, znanych Zofii przewinieniach nic nie mówił.

Zgnębiona wróciła do domu. Konstanty już przyszedł z pracy. Ledwie otworzyła drzwi, a znalazł się w korytarzu, by pomóc jej zdjąć płaszcz. Zaniepokojony zajrzał żonie w oczy.

– Stało się coś?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Tęsknota, niepokój ją dławili. Otaczająca zewsząd obcość nie pozwoliła oddychać. Konstanty wydał się w tej chwili jedynym łącznikiem z jej prawdziwym światem. Ten sam głos, to samo ciepło.

Przypomniała sobie tę chwilę w Kondrajcu, kiedy one, lutomierskie kobiety, przywiozły powstańcom broń. Kazimierz niemal ostentacyjnie ją zlekceważył, a Gosztowicz ruszył na ratunek. Teraz też miała wrażenie, że jego ramiona dałyby jej przynajmniej namiastkę swojskości, że wtulona w nie poczułaby się mniej wyobcowana. Nie mogła jednak tak po prostu się do niego przytulić, nie mogła też pozwolić, by Konstanty wziął ją w ramiona. Bo był czy nie był jej mężem? Bez pełnej jasności w tym względzie nie mogła do tego dopuścić!

– Jestem tak bardzo zmęczona – poskarżyła się i to już wystarczyło, by pękła tama. Łzy potoczyły się jej po policzkach.

– Zosiu! – jęknął jej mąż czy niemąż i nim zdążyła zaprotestować, zaniósł do sypialni, położył na łóżku i usiadł obok. – Wybacz mi. Proszę, wybacz! To wszystko już zakończyłem. Głupi byłem. Jak głupi, widać nawet po naszym koncie, ale ja to nadrobię. Ty się nie martw! I wybacz mi!

Taka bliskość zaparła Zofii dech. Uzmysłowała sobie wyraźnie, że jej czterdziestka to jeszcze nie zgrzybiała starość, że nie przestaje się wówczas marzyć o czułym dotyku. Wdzięczna mu była jednak, że tylko siedzi przy niej i nie wykorzystuje tej chwili słabości.

– Kazała ci zapłacić?

Kiwnął głową.

– I zrobiłeś to?

Znowu kiwnięcie.

– To dobrze – powiedziała i jakoś nielogicznie tym uspokojona odwróciła się do niego plecami, po czym mruknęła, czując nadchodzącą z wyczerpania senność: – Taka jestem zmęczona...

*

Wychodząc z gabinetu doktora Chałubińskiego, Zośka także czuła się bardzo zmęczona. Przerażała ją odpowiedzialność. Czuła, że nie jest w stanie zastąpić Zofii, że to ona powinna walczyć o życie jednego syna i wolność drugiego. Nikt nie zorientował się, że jakimś cudem nastąpiła zamiana i Zośka nie jest panią Zofią, a ona nią, ale ona ciągle myślała o tym, że zabiera swojej imienniczce chwile trudne, ale jedne z najistotniejszych w życiu.

– Będzie dobrze, synku – próbowała pocieszyć Gustawa.

Stali na dolnym korytarzu szpitala i czekali na Gosztowicza, który pobiegł poszukać dorożki. Korytarz był długi i pusty. Nie zauważyła w nim żadnych sklepików z drożdżówkami, prasą i napojami. Nikt z chorych nie szukał ustronnego miejsca na zewnątrz, by zapalić papierosa, odwiedzający nie dzwonili ukrytymi w torbach słoikami z rosołem. Zamiast tego echem od pustych białych ścian odbijał się drobny krok siostry przemykającej szybko z zaferowaną miną.

Dorożka się znalazła i zawiozła ich na Miodową pod numer siódmy, gdzie nad mieszkaniem swojej protektorki Narcyzy Żmichowskiej wynajmowała niewielki pokoik panna Dominique Dulpy. Zastali ją spieszącą się niesamowicie do nowego ucznia. Major Piotr Szulin, jeden

z rosyjskich wojskowych, wyraził życzenie doskonalenia się w grze fortepianowej i ktoś polecił mu właśnie Dominique. Ona zgodziła się tym skwapliwiej, że doszły ją słuchy, jakoby ten oficer miał wiele wspólnego z więźniami dziesiątego pawilonu w cytadeli.

Panna Dominique wysłuchiwała tylko, że Antoni Lutomierski prawdopodobnie przebywa w cytadeli i że rodzina będzie wdzięczna za każdą wiadomość o nim. Przeprosiła, że nie ma czasu teraz dla Lutomierskich, ale trudno, żyć trzeba, a do tego pojawiła się okazja, by czegoś się dowiedzieć, więc zakręciła się szybko po swojej małej izdebce, w locie złapała kapelusz i paltocik i już jej nie było.

Przebiegła przez całe Krakowskie Przedmieście, skręciła w Świętokrzyską i weszła do okazałej kamienicy, w której na pierwszym piętrze major Szulin zajmował eleganckie pięciopokojowe mieszkanie. Czekał na nią wypomadowany, nerwowo gładząc bujne bokobrody dłońmi o wypolerowanych, trochę zbyt długich paznokciach. Zerknął w lustro wiszące nad kominkiem i wciągnął zarysowujący się już brzuch.

– Muszę schudnąć – westchnął i usłyszał dzwonek u drzwi, a zaraz potem głos panny Dulpy, która tłumaczyła pokojówce, po co tu przyszła. Z emocji zaschło mu w gardle. Usiadł na sofie i czekał.

Piotr Arkadewicz Szulin pierwszy raz zobaczył pannę Dulpy w teatrze. Poszedł tam na jakąś operetkę, bo śpiewała w niej Wiktoryna Bakałowiczowa. Nawet kazał wręczyć śpiewaczce kwiaty z ukrytym diamentkiem, ale kiedy w antrakcie zobaczył pannę Dulpy, całe zauroczenie aktorką przeszło mu jak ręką odjął.

Po spektaklu poszedł za piękną. Nie była sama. Towarzyszyła najwyraźniej okropnemu babsztylowi, którego znała cała Warszawa. Żmichowska! Stara baba obcięła włosy, paliła cygara i wygłaszała idiotyczne sądy. No ale jej towarzyszka robiła zupełnie inne wrażenie. Śliczna, czysta i niewinna. Spuszczone przepiękne oczy, zakłopotany rumieniec, kiedy zauważyła, że Piotr jej się przygląda. Biła z niej skromność i to go urzekło. Nie było trudno dowiedzieć się, że panna Dominique udziela lekcji francuskiego i gry na fortepianie. Z dwojga złego wybrał to drugie.

– Panna od fortepianu – zaanonsowała pokojówka nieco zbyt lekceważąco, ale Szulin nie zwrócił na to uwagi.

Wstał na jej wejście. Dominique miała na sobie brązową suknię, której jedyną ozdobą był biały koronkowy kołnierzyk. Cudowne włosy nosiła zwinięte w kok, ale kilka pasemek wymykało się z niego niesfornie. Podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

– Nazywam się Dominique Dulpy – powiedziała na powitanie – i proponuję...

Sięgnął po jej dłoń i ucałował. Przytrzymał ją zbyt długo, usiłował zajrzeć w oczy.

– ...żebyśmy zaczęli od przećwiczenia krótkiej etiudy Stefana Hellera. – Zabrała mu swą rękę i z małego skórzanego kuferka wyciągnęła plik nut. – To pozwoli mi zorientować się w pańskich potrzebach. – Rozejrzała się po salonie i podeszła do stojącego w jednym z rogów fortepianu. – Pleyel – odczytała nazwę manufaktury, z której pochodził. – Piękny instrument. Na takim grał Chopin.

Było coś stanowczego w ruchach Dominique, więc Szulin zorientował się, że łatwo tej panny nie zdobędzie. Usiadł więc posłusznie przy klawiaturze i zagrał kilka pierwszych taktów z rozłożonych na pulpicie nut.

No i zaczęło się.

– Nadgarstek nieco wyżej... Uderzamy w klawisz, unosząc najpierw palec do góry, a nie wciskamy go tak leniwie. To daje zupełnie inny dźwięk... Mały palec nie może tak sterczeć ku górze! – komenderowała Dominique.

– Byłem posłuszny jak najpotulniejszy z uczniów – powiedział Piotr Arkadewicz, kiedy lekcja wreszcie się skończyła – ale w nagrodę proszę wypić ze mną herbatę.

Nie czekając na jej zgodę, wydał stosowne polecenia przywołanej srebrnym dzwoneczkiem pokojówce. Jakby na to czekała, bo zaraz przyniosła piękny samowar, a potem tacę z filiżankami, czareczkami pełnymi konfitur i srebrnym koszyczkiem z marengami³⁸.

³⁸ marengi – dawna nazwa bez

– Udzielanie lekcji to ciężka praca – zaczął rozmowę Szulin, nachylając się zbyt blisko ku Dominique.

– Ale pozwalająca uczciwie zarobić na życie – odpowiedziała, sięgając po marengi w taki sposób, by odsunąć się od niego na bezpieczną odległość.

Zauważył ten manewr.

– Ależ proszę się mnie nie obawiać. – Zaśmiał się, widząc, że musi zmienić taktykę. – Nie ma czego, ja raczej chciałbym być dla pani użyteczny niż niebezpieczny.

Dominique zawahała się, a to wyraźnie odbiło się na jej twarzy.

– Widzę, że jakieś zmartwienie dręczy śliczną główkę – przystąpił do ataku z innej strony.

– Syn znajomych został niedawno aresztowany. Ja nie wiem, o co chodzi, to na pewno jakaś pomyłka – zaczęła mówić trochę bez składu i tylko po to, by wykorzystać okazję. Przecież nie zaszkodzi tym Antosiowi, myślała.

– Gdybym znał nazwisko, mógłbym się czegoś dowiedzieć. – Już trzymał się od niej z daleka, mając nadzieję, że przyszłość przyniesie mu jeszcze wiele okazji, by się do niej zbliżyć. Podobała mu się coraz bardziej.

– Lutomierski. Antoni.

Ach tak! Nawet drgnieniem brwi nie dał po sobie poznać, że sprawa jest mu doskonale znana.

– Pilnie odrobię pracę domową – zażartował. – Na następną lekcję będę coś wiedział na temat sytuacji tego człowieka.

Rozdział 28

Tej nocy major Piotr Arkadiewicz Szulin nie zmrużył oka. Wizja pięknej postaci Dominique nie dawała mu spokoju. Już, już wydawało mu się, że obmyślił taktykę, by ją zdobyć, gdy nagle zalewała go fala zwątpienia. Tak łatwo byłoby nasłać na nią swoich kozaków, aresztować, a wtedy byłaby całkowicie od niego zależna. Pretekst zawsze by się znalazł. Kontakty przecież miała niebezpieczne, choćby ten Lutomierski. Zaraz stanęła mu przed oczami jej delikatna twarz, nieśmiały uśmiech i postać tak krucha, a jednocześnie pełna godności. Wiedział, że zniewolić tę dziewczynę może w każdej chwili, ale jemu nagle zamarzyło się, by to ona wyciągnęła do niego ramiona, by z uśmiechem szczęścia przytuliła się do niego. Myśl o tym była tak przejmująca, że ukropem oblewała mu ciało i energicznymi kopnięciami zrzucał z siebie puchową kołdrę. Zaraz potem oczyma wyobraźni widział, jak z gniewem odwraca się od niego, odchodzi i dreszcz przerażenia czy zimna zmuszał go do szukania okrycia.

Męczył się tak całą noc, a rano, kiedy tylko przekroczył próg swojego gabinetu w cytadeli, natychmiast kazał sobie podać wszystkie papiery dotyczące Antoniego Lutomierskiego i go sprowadzić. Nie było tego dużo. Śledztwo dopiero się zaczynało, a i koncentrowano się na tym, by wydobyć z chłopaka jak najwięcej informacji dotyczących stojącego na czele powstańczego Rządu Narodowego Stefana Bobrowskiego, dlatego niewiele znalazł wiadomości o samym Lutomierskim. Major Szulin zastanawiał się zatem nad tym, czy nie dałoby się tego Lutomierskiego zwolnić na chwilę, zasłużyć sobie na wdzięczność panny Dulpy, a potem zaraz znowu aresztować. Może jakiś dozór? Konieczność codziennego meldowania się na posterunku żandarmerii?

Kiedy jednak wprowadzono Antosia, zbladł. Lutomierski ledwie trzymał się na nogach, a spieczone usta, świszczący oddech, nieprzytomny, szklisty wzrok świadczyły o wysokiej gorączce.

Już miał zakląć szpetnie, obsobaczyć konwojenta, który przyprowadził chłopaka, kiedy drzwi znowu się otworzyły.

– *Izwinitie, wasze błagarodie*, pilna wiadomość. – Zgięty wpół goniec położył mu na biurku kilka kartek.

Szulin zerknął. *Dnia 12 kwietnia w Lesie Ławszczyńskim niedaleko Rawicza został zastrzelony w pojedynku Stefan Bobrowski – przeczytał*

i wyraz satysfakcji wypełził mu na twarz. Przeczytał parę następnych zdań.

Wot, głupie Polaczki, pomyślał sobie, sami się pozabijają. Bo pomyśleć, hrabia Grabowski, kamerjunker dworu pruskiego, oficer pruskiego wojska pojedynkuje się z półślepy m szaleńcem! Ten półślepy to oczywiście Bobrowski, jego krótkowzroczność była tematem wielu plotek. Czyjego to honoru w tym pojedynku broniono, kiedy jeden okazał się cynicznym mordercą, a drugi nieodpowiedzialnym wariatem?!

Szulin z pewnym politowaniem popatrzył na skatowanego, chorego więźnia.

I dla takich durniów ty, chłopcze, dałeś się tak sprać knutem³⁹, pomyślał.

³⁹ knut – rodzaj bicia

– Do lazaretu z nim! – rozkazał konwojentowi.

Śledztwa w sprawie Bobrowskiego nie będzie. Reszta tego powstańczego rządu pewnie pojedzie żegnać zamordowanego szefa, wnioskuje Szulin, bo tyle jest warte ich konspirowanie. Tam się ich przyskrzyni! A tu przed śliczną Dominique będzie można odegrać współczującego wujaszka. Podwójna korzyść mogłaby z tego być, dumał dalej. Raz względy dziewczuszki, dwa, jeśli mu zaufa, to i czegoś ciekawego będzie się można od niej dowiedzieć. Przyjemne z pożytecznym, *prijatnoje z poleznym*.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku major Piotr Szulin nakazał przynieść sobie herbatę i świeżą porcję gazet. Tak to on może urzędować!

*

Antoś nie zdawał sobie sprawy z tego, co się obok niego i z nim działo. Wydawało mu się tylko, że ktoś przystawia mu rozpalone pieczęcie do pleców, resztę ciała zaś telepało zimno. Poczul drobną ulgę, kiedy wreszcie przestano go szarpać, wlec gdzieś, sadzać na twardych krzesłach, na których resztką sił musiał trzymać się w miarę prosto, by pokaleczonymi plecami nie opaść na ich oparcie. W końcu rzucono go na jakieś łóżko i długo nikt niczego od niego nie chciał.

Zapadł w gorączkowe majaczenie. Gdzieś biegł przez las, osłaniając twarz przed razami roztrącanych gałęzi; szarpał się z kimś, sam nie wiedział, czy z człowiekiem, czy zwierzęciem; rozrywał pęta wrzynające się mu w plecy; krzyczał, lecz z ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Wreszcie nasza go ulga. Czyste, piękne dźwięki. Ktoś gra. Co? Wsłuchał się tak, że wstrzymał oddech. Ach tak! Ballada Chopina. G-moll? Kiedy ją słyszał ostatnio? Szmer rozmów, czyjeś śmiechy, jego dom. Tak! To ten ostatni kulig i Janek Zarębski przy fortepianie. Wtedy ostatni raz wszyscy byli razem... Takie rozczenie go ogarnęło, że zupełnie niemęska ła potoczyła mu się po policzku, i wsłuchał się w dźwięki perliście toczące się jeden za drugim, jeden za drugim w takt kujawiaka tańzonego sennie, marzennie...

Nagle jakby ktoś znowu knutem przeciągnął mu po grzbiecie. Nie miał sił się bronić. Jęknął tylko. Dźwięk fortepianu umilkł.

– Ciii – usłyszał czyjś melodyjny i miękki głos. – Już, już...

Coś chłodnego, kojącego rozpląnęło się po jego rozpalonych plecach. Łzy ulgi popłynęły mu znowu po rozpalonych policzkach.

– Lubow Andriejewna, ten z rozwaloną głową znowu rzyga!

– Idę, idę! – odezwał się znowu ten cudowny głos.

Antoś chciał otworzyć oczy. Lubow, pomyślał sobie, a z tego imienia jak z kłębka wełny wysnuwać się zaczęła nić z nanizanymi na nią perełkami dźwięków. Coraz szybsze pędziły, coraz radośniejsze, jak dalszy ciąg koncertu granego przez Janka w rodzinnym domu. Lubow, Lubow grało imię dźwiękami Chopinowskiej ballady, przepełniało pierś Antosia coraz głębszym oddechem nasyconym szczęściem. Lubow!

Lubow tymczasem skończyła nakładać maść z żywokostu z dodatkiem odrobiny jałowca na całkowicie sine plecy chłopaka.

– Powiedział coś w śledztwie? – spytała pielęgniarka, który wołał ją do innego pacjenta.

– Widać zawział się, bo nic gadać nie chciał.

Pokręciła głową, nie wiadomo, czy z niedowierzaniem, czy z podziwu i przyjrzała się chłopakowi, a w zasadzie młodemu mężczyźnie. Ramiona miał rozrośnięte, silne ręce rozrzucone po bokach, ciemne, gęste włosy osłaniały mu delikatny policzek pokryty kilkudniowym zarostem.

– Dzielny człowiek – mruknęła pod nosem i popędziła do następnego chorego.

Nikt się nie dziwił obecności Luby w więziennym lazarecie. Właściwie pacjentami i zabiegami powinien zajmować się jej ojciec, lekarz garnizonowy Andriej Timofiejewicz Zamiatin, ale on, o tym wszyscy wiedzieli, siedział w swoim gabinecie pijany w sztok. Od czasu do czasu

przypominał sobie o swoich lekarskich obowiązkach i wytaczał się z gabinetu, ale z tego wynikały tylko kłopoty. Rosjanin lubiący wypić mógł liczyć na zrozumienie i akceptację rodaków, ale to, co wyprawiał Andriej Timofiejewicz, przekraczałyby zdolność tolerancji jego zwierzchników, gdyby tylko się o tym dowiedzieli. Nie mieli zaś do tej pory takiej wiedzy, bo lazaret funkcjonował w zasadzie bez zarzutu dzięki pracy Luby.

Życie Lubow Zamiatinej zmieniło się od pewnego czerwcowego dnia, kiedy w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku ukraiński student Andrij Potiebnia w Ogrodzie Saskim strzelił w kark ówczesnemu namiestnikowi Królestwa Polskiego Aleksandrowi Nikołajewiczowi von Lüdersowi. Luba i jej ojciec byli niemalże świadkami tego wydarzenia, bo akurat w tym czasie tam spacerowali. Wtedy jeszcze Zamiatin nie pił tak dużo, ale codziennie. Córka namówiła go, by przewietrzył się trochę i wytrzeźwiał przed spotkaniem z komendantem cytadeli Nikołajem Jermołowem. Wówczas tylko ona rozpoznawała, że ojciec nie jest w formie. Potrafił się kryć, ale nigdy nie wiadomo było, kiedy ugną się pod nim nogi i ogarnie trudna do przewyciężenia senność. Spacerowali więc alejkami Ogrodu Saskiego, ona w lekko liliowej sukience, modnym kapeluszu budce ozdobionym kwiatami bzu, osłaniająca się przed jaskrawym słońcem parasolką. Wydawała się taka delikatna, ale to na niej opierał się potężny mężczyzna, bo właśnie nadchodził kryzys.

– Kawa, kawa! Koniecznie musisz się napić kawy! To cię postawi na nogi – tłumaczyła ojcu, a on na wszystko się godził. Im bardziej był pijany, tym bardziej potulny.

Już mieli skręcić w stronę wyjścia na Marszałkowską, by wejść do nowo otwartej cukierni Semadeniego, kiedy usłyszeli strzał, krzyki i wielkie zamieszanie. Ktoś ze świty namiestnika rozpoznał Zamiatina. On i Lubow zostali załadowani do pospiesznie sprowadzonej dorożki i powiezieni do pałacu namiestnikowskiego. Kiedy tam dotarli, Lüders leżał już w swojej sypialni. Najwyraźniej stracił przytomność, bo nie ruszał się, kiedy wokół niego kręciła się coraz bardziej przerażona służba. Im zaś większy tumult wokół panował, tym większa senność ogarniała Zamiatina. W którymś momencie klapnął więc na fotel znajdujący się przy łóżku rannego, niezdolny do podjęcia najprostszej decyzji.

– Woda, spirytus, bandaż! – zażądała dziewczyna, wyręczając ojca. – Proszę nie przeszkadzać doktorowi w pracy! – Energicznie wygnała

towarzystwo z sypialni.

Wiedziała doskonale, jak opatrzyć ranę postrzałową. Od dawna pomagała ojcu w pracy. Interesowało ją wszystko, co miało związek z medycyną. Przeczytała uważnie każdą ojcowską książkę, brała udział w wielu rozmowach na ten temat. Nie można jej było wygonić z lazaretu. Dużo więc zaobserwowała i umiała, ale pierwszy raz mogła wykorzystać swą wiedzę w praktyce. Zdezynfekowała ranę. Nie była wielka, kula jednak utkwiała w kości łopatkowej, a Luba nie miała eteru, którym mogłaby uspić namiestnika, ani narzędzi, by ją stamtąd wydłubać. Ojciec próbował wstać, pochylić się nad rannym, ale raczej jej przeszkadzał. Usadziła go więc na powrót w fotelu. Już miała wysłać kogoś po konieczne środki, kiedy drzwi namiestnikowej sypialni otworzyły się i stanął w nich doktor Marcus Apte. Lubow dobrze go znała. Ordynował w Szpitalu Starozakonnych na Muranowie. Kapelusz, pejsy i wielka siwa broda nadawały mu wygląd starego mędrca, choć nie miał jeszcze czterdziestu lat.

– Co ja mam wiedzieć, to już wiem, dziecko! – Zamachał rękoma, kiedy rzuciła się do niego z tłumaczeniami. – Andriej Timofiejewicz jak zwykle wybrał sobie nieodpowiednią porę na drzemkę, a ty spisałaś się dzielnie! Aj, jak dzielnie! – Chwalił ją i uważnie oglądał ranę.

Dostojnik chyba zaczął odzyskiwać przytomność, bo poruszył się i jęknął.

Wyjmowanie kuli rannemu namiestnikowi było zatem pierwszą operacją, przy której asystowała Luba. Potem uczestniczyła jeszcze w wielu innych. Im więcej pił ojciec, tym samodzielniejsza musiała być jego córka. Lazaret w cytadeli został wkrótce jej drugim domem i szkołą. Zupełnie innych rzeczy się tu uczyła niż w Instytucie Aleksandryjsko-Maryjskiego Wychowania Panien, który ukończyła z wyróżnieniem.

– Ja to mam szczęście – powiedział jej Antoś, kiedy następnego dnia podeszła do jego łóżka, by zmienić opatrunek.

– Tak? – zdziwiła się. – Okoliczności na to nie wskazują.

Ranek był pochmurny, szarość sączyła się przez okna tak leniwie, że należało zapalić lampy. Z pralni aż tu dochodził zapach gotowanej szpitalnej bielizny. Nic wokół nie było radosnego, a jednak oczy Antoniego śmiały się do niej.

– Silny pan jest. Gorączka najwyraźniej spada. Za parę dni będzie pan mógł wrócić do celi.

– O! Ta wiadomość niezbyt mi się podoba!

Nie odpowiedziała. Przyzwyczajona była do komplementów, chorzy często je prawili. Kazała położyć mu się na brzuchu i wprawnymi ruchami zmieniała opatrunek.

– Paskudnie pana urządzili – odważyła się powiedzieć. – Za co to?

– A bo ja wiem? – odpowiedział ostrożnie. – Może za wierność zasadom?

Nie dopytywała więcej. I tak wykazał się dużym zaufaniem, a ta odpowiedź bardzo jej się spodobała.

Rozdział 29

– I co? Wiadomo coś o Antosiu? Co powiedział o Gustawie doktor Chałubiński? – dopytywała się gorączkowo Zofia.

Zośka podejrzewała, że jej imienniczka siedziała przed toaletką w jej mieszkaniu przez cały czas jej podróży do stolicy, bo ledwie przyjechała, ledwie rozdziała się z peleryny, ledwie weszła do sypialni przeczesać zakurzone włosy, a już zobaczyła w lustrze wpatrzone w siebie z napięciem oczy.

– Gustaw za dwa tygodnie jedzie w góry. Formalności muszą trochę potrwać, bo trzeba przecież przekroczyć granicę. Doktor Chałubiński dał mu listy polecające do zakopiańskiego proboszcza, który się nim zajmie. Gustaw jest dobrej myśli, cieszy się na ten wyjazd. Ludzie opowiadają cuda o dobroczynnym działaniu górskiego klimatu na płucne dolegliwości...

Zośka chętnie rozmawiałaby tylko o Gustawie, ale Zofia jej przerwała:

– A Antoś?

– Aresztowali go, ale...

– Jezusie, Mario! Za co?

– Doktor Chałubiński mówi, że Antoś był zaangażowany w prace Rządu Narodowego, to pewnie dlatego.

Zofia zakryła dłońmi twarz i znieruchomiała.

– Zrobiłam, co mogłam, by do niego dotrzeć – próbowała ją uspokoić Zośka. – Pewne nadzieje pokładałam w pannie Dulpy, która przez panią Żmichowską posiada dojścia. Zaraz do Warszawy jedzie Teoś Łagierski, on ma tam większe znajomości niż ja. Pan Gosztowicz został z Gustawem w Warszawie i stara się, jak może. Robi interesy z pewnym kupcem, u którego w kieszeni siedzi pół rosyjskiego garnizonu, więc może znajdzie sposób na wyciągnięcie Antosia z zaborczych łap. Wiesz przecież, że z Rosjanami sporo udaje się załatwić łapówką, stosunkami. Naprawdę, robimy wszystko!

Lutomierska podniosła głowę. Nie płakała, twarz jej stężała w cierpieniu.

– Tak ci jestem wdzięczna, ale trudno być tu, w obcym mi świecie, i nie móc niczego. Być zdaną tylko na relację od ciebie. Masz przynajmniej takie szczęście, że twoi żyją w spokojnych czasach.

– Jakież tam spokojne czasy – westchnęła Zośka, która ciągle martwiła się o maturę Agatki. Poza tym przypomniwała sobie o skandalach wśród

politycznych elit, o niepokojących zmianach klimatu, o postępującym podziale narodu na dwa wrogie sobie plemiona, o fatalnej sytuacji w oświacie, ale te wszystkie problemy chyba jeszcze nie dotarły do pani Zofii. Choć musiała przyznać, nie było wojny. – A jak matura? – spytała.

Dłużej się jednak nie dało rozmawiać, bo do lutomierskiej sypialni wsunęła głowę Nastusia.

– Czy pomóc w czymś mateczce?

Zośka odwróciła się do niej i pokręciła głową.

– Dziękuję, odpoczywam tylko.

– Wszyscy przy stole z kolacją czekają – nieśmiało ponagliła ją córka.

No tak, westchnęła w duchu Zośka. Przecież cały ten rodzinny klan z napięciem pragnie wieści.

Zeszła do jadalni. Marcelinka właśnie wносиła zapieczoną pod beszamelem sztukę mięsa, która pewnie została z obiadu, pierwsze szparagi i naleśniki z konfiturami. Domownicy już siedzieli na swoich miejscach, więc stara pani Lutomierska zmierzyła ją wzrokiem pełnym nagany.

– Punktualność, jak widać, nie jest twoją cnotą.

Godziny posiłków były nie tylko w Lutomierzycach święte, a ich nierespektowanie jednym z największych towarzyskich grzechów.

– Przepraszam. – Zośka nawet nie próbowała się tłumaczyć. Zamiast tego podsunęła pani Adamowej półmisek. Sama nie miała ochoty na jedzenie. Nalała sobie tylko garnuszek kwasu chlebowego i zaczęła opowiadać.

*

Kiedy Zośka zniknęła w czeluściach lutomierskiego dworu, Zofia ze zniecierpliwieniem zerknęła na telefon. Dzwonił podczas ich rozmowy kilka razy. Oczywiście Kazimierz! Zbyt była zmartwiona tym, co działo się z jej synami, by na nowo odżyły sentymenty do tego człowieka. Zezłościła się, że zawraca jej głowę.

Z godnym potępienia i nierozsądnym romansiem Zośki trzeba zrobić porządek, pomyślała. Nadzieja jej się wylęgła w głębi duszy, że jeśli zrobi coś dobrego w tym nowoczesnym świecie, to może te dziwne siły, które ją tu przygnały, pozwolą jej wrócić do Lutomierzyc. Modliła się o to gorąco każdego wieczora. Zerwanie tej grzesznej znajomości byłoby na pewno chwalebnym uczynkiem. A poza tym Zofia dobrze знаła swojego męża, a ten tu stanowił jego lustrzane odbicie. Nic dobrego Zośce nie mógł

przynieść związek z człowiekiem tak egoistycznym, tak pełnym pretensji jak Kazimierz. Zadzwoiła więc i umówiła się z nim w lokalu po drugiej stronie ulicy. Ciągle nie odważyła się ruszyć gdzieś dalej. Wielkie miasto otumaniało ją swoim pędem i nie sądziła, że kiedykolwiek zdoła się z nim oswoić.

Na świecie panował już maj, ale jakże inny od tego, do którego przywykła. Rachityczne drzewa na maleńkim skwerku otoczonym gęsto samochodami puściły już liście, w kamiennych donicach przy ulicy nasadzono mnóstwo kolorowych kwiatów, ale ciasno im tam było i pewnie niewygodnie, dlatego Zofię zawsze ogarniało współczucie, kiedy patrzyła na te miejskie kwietniki. Na trawnikach spomiędzy psich kup wyrastała bohatercko i z wysiłkiem trawa. Tę odrobinę zieleni tłamsił jednakże wszechobecny hałas, dobiegający z głównej drogi, smród spalin, tłok na chodnikach.

Nieco przyjemniej patrzyło się jej za to na ludzi, bo z wiosną zaczęli się kolorowo ubierać, choć wielu zwyczajów Zofia ciągle nie rozumiała. Nie mogła się przyzwyczaić do sukien, które odsłaniały nie tylko kostki i łydki, ale nawet kolana! Także wtedy, kiedy te nogi były zbyt tęgie. Do potężnych brzuszysk zwisających nad paskiem, które panowie prezentowali bez najmniejszego skrępowania, zamiast zakryć je tuzurkiem. Doprawdy nie wiedziała, co zrobić ze wzrokiem na ulicy, by nie zauważać tych okropności. Sama wynalazła w szafie Zośki długie barwne spódnice, które co prawda nieskromnie odsłaniały kostki, ale ostatecznie godziła się na to i zakładała do nich cudownie miękkie swetry z wielkimi wywijanymi kołnierzami, przepasane w talii szerokim skórzanym paskiem. Agata nazywała je golfami, ale pani Zofii to słowo kojarzyło się tylko ze sportem uprawianym przez angielską arystokrację.

Wszystko to miało się nijak do tego zachwycającego rozbudzenia, wybuchu radości, zieleni, zapachów, śpiewu ptaków, jakie co roku przynosił maj w dziewiętnastym wieku. Tak brakowało jej spacerów po lutomierskich polach, woni kwitnącej ałyczy i czarnego bzu, widoku skromnych gruszek ulęgałek rosnących na miedzach, a w maju obsypanych białawymi kwiatami. Tam w domu pewnie Marcelinka do każdego obiadu przynosiła z ogrodu pachnący kopererek.

Tak myśląc, Zofia zeszła do podziemnego przejścia. Obok schodów stała osowiała, stara kobieta z pęczkami smętnego koperku w blaszanych

puszkach z wodą. Zofia kupiła od niej parę łydżek ściśniętych gumką recepturką. Powąchała. Nawet w zapachu wyczuła nutę zmęczenia i zatrucia. Tęsknota za Lutomierzycami żarła ją nieznośnie.

– Ach, jak romantycznie! Idzie sobie piękna pani i wacha koperek! – usłyszała za sobą głos Kazimierza.

Ktoś inny wziąłby to tylko za żart, ale Zofia dobrze wiedziała, że od takich żartów jej mąż zwykle przechodził do coraz bardziej zjadliwych złośliwości. W każdym razie tak było w lutomierskich czasach.

– Kojarzy mi się z wiosną. – Uśmiechnęła się.

Weszli do lokalu i usiedli przy stoliku.

– Oryginalne skojarzenie. Takie prowokująco prozaiczne, użytkowe. – Dobrze jej znany wyraz lekceważenia błysnął w jego oku.

– Taka już jestem, prozaiczna i użytkowa – palnęła niezbyt zręcznie. Zawsze tą butą wytrącał ją z równowagi i robiła się wówczas nieporadna.

– Nawet interesująco to brzmi. Chętnie z tej użytkowości skorzystam! – Złapał ją za to niezdarne słówko z uśmiechem, który miał być chyba frywolny, ale Zofii wydał się grubiański i nikczemny.

– Tylko w ten sposób. – Wręczyła mu pęczek koperku. – Zrobiłam głupstwo, spotykając się z tobą. Naraziłam na szwank moje małżeństwo. To jest nieuczciwość wobec ciebie i wobec mojego męża. Przepraszam.

Popatrzyła przerażona na jego twarz. Zawód, a potem gniew wymalowały się na niej bardzo wyraźnie.

– Może jeszcze powiesz, że to grzech i mam się z tego wypowiadać? Nigdy nie afiszowałaś się swoją religijnością! – sapnął bardzo oburzony.

– Teraz też tego nie robię, ale tak, to grzech. Mój grzech.

– No niech mnie! Pruderyjna baba na portalu randkowym! – Kazimierz wybuchnął złośliwym śmiechem.

Starła się zachować spokój, ale zupełnie nie wiedziała, jak się ma zachować. Tak obraźliwych słów w życiu nie słyszała! Niemniej jednak czuła, że w jakiejś mierze na nie zasłużyła. To znaczy zasłużyła Zośka, bo ona tylko spróbowała ratować sytuację. Choć musiała przyznać, wspominając wcześniejsze spotkania z Kazimierzem, że może tak całkowicie bez grzechu nie była. Zarumieniła się z zakłopotania. Co to jest właściwie portal randkowy? Sytuacja nie była chyba stosowna, aby się o to dopytywać.

– Ja nie wiem, co ty o mnie myślisz! Czy zdajesz sobie przynajmniej sprawę z absurdalności takiego postępowania? – mówił coraz głośniej.

Obcy ludzie przy sąsiednich stolikach zerkali na nich z nadzieją na jakąś grubszą awanturę. Zofia siedziała całkowicie bezradna. Jej wychowanie, doświadczenie życiowe nie podpowiadało, jak zachować się w podobnych sytuacjach. W jej świecie podobne afery się nie zdarzały. Żeby obcy mężczyzna w publicznym miejscu obrażał kobietę z jej sfery? Może gdyby była kokotą, może w jakimś półświatku, w kontaktach z baletnicami lub innymi podrzędnymi aktorkami to się zdarzało, ale w najczarniejszych snach jej by do głowy nie przyszło, że zostanie uczestniczką podobnej sceny! Powinna wstać i wyjść, ale ciągle siedziała w dziwnym stuporze, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Miało być miło, ale nie jest! – podsumował ich rozmowę Kazimierz. – Żegnam!

Wstał i wyszedł. Zaniepokojony kelner podbiegł do niej z gotowym rachunkiem. Zapłaciła za kawę Kazimierza i swoją lemoniadę z mango. Czowała się brudna i odarta z godności. Także zbyt wzburzona, by wrócić do domu. Wstała, a nogi same poniosły ją do kościoła.

Kończyła się msza. Świątynia była niemal pusta, a głos księdza rozbijał się po ogromnym wnętrzu.

– Przekażcie sobie znak pokoju – nakazał, a kilkoro ludzi skinęło głową w przestrzeń, bo jedni od drugich znajdowali się zbyt daleko, by podać sobie dłonie.

– Aż tak nagrzezyłaś, córko? – Młody, niewysoki wikary uśmiechnął się do niej, kiedy poszła do zakrystii poprosić o spowiedź. – Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę.

– Prawie zdradziłam męża – przyznała się, kiedy już klęczała przy konfesjonale.

– Myśla? Mową? Uczynkiem? – dopytywał ksiądz.

– Spotykałam się z mężczyzną, który... – Zamilkła, bo nie wiedziała, co ma dalej powiedzieć. Był jej mężem? Czy nie był?

– Tak?

– Spotykałam się, a nie powinnam – próbowała wybrnąć z trudnej sytuacji.

– No tak. – W głosie wikarego słychać było lekkie zniecierpliwienie. – Miałaś w związku z tym sprośne myśli?

– Ja nie...

– Opowiedz! Musisz wyznać szczerze swoje grzechy!

Próbowała się skoncentrować, określić przyczynę, dlaczego poczuła się aż tak zbrukana, że gwałtownie potrzebowała oczyszczenia.

– Zło tkwi chyba bardziej w słowach – zaczęła.

– Czyniłaś mu niestosowne propozycje? Namawiałaś do nierządnych czynów? – Ksiądz w konfesjonale wiercił się z poirytowania.

– Nie! – Oburzyła się za podobne posądzenie. Ta spowiedź nie prowadziła do oczyszczenia z grzechu, ale jeszcze bardziej ją upokarzała. – Chodzi o to, że spotykałam się z obcym mężczyzną, dałam mu nadzieję...

– I? – Kapłan jednak nie wydawał się usatysfakcjonowany jej wyznaniem.

– To nie wystarczy? – spytała zaskoczona.

– Córko! Boga nie oszukasz! Spowiedź jest wyznaniem grzechów, a do ich odpuszczenia potrzeba jeszcze żalu i pokuty. Ja jednak nie widzę ani szczerości w wyznawaniu, ani tym bardziej żalu. Wyrzuć to plugastwo z duszy i przyznaj się szczerze do bezwstydných myśli, lubieżnych słów, a może czynów. To jest warunkiem koniecznym!

– Ja tylko wspominałam, jak tańczyliśmy razem, jakie czułe słowa mi mówił...

– Dobrze, a potem?

– Potem cała miłość znikła, rozczarowaliśmy się oboje.

– I tyle tylko masz mi do powiedzenia? – Ksiądz najwyraźniej zezłościł się.

– Tak – szepnęła zrezygnowana.

– Z takimi problemami trzeba iść do psychiatry, a nie do spowiedzi!

Nie zapukał w konfesjonał, nie podał jej do pocałowania stuły. Wstał i wyszedł.

Rozdział 30

W swoim przekonaniu Zofia, kończąc znajomość Zośki z Kazimierzem, zrobiła krok, który miał jej umożliwić powrót do Lutomerzyc i jej czasów. Tam zaś okoliczności układały się nie najlepiej dla rodziny. Kłopoty wynikły z tego, że major Szulin w nieodpowiednim momencie wyjrzał przez okno.

Był tego dnia szczególnie rozdrażniony, bo poprzedni wieczór i większą część nocy spędził w nowo otwartym kasynie przy alei Szucha. Teraz potwornie bolała go głowa, rozsadzana przez niewyraźne wspomnienia potężnego pijaństwa. Wirowały mu przed oczyma bajecznie kolorowe cygańskie spódnice i drgały nagie ramiona tancerek w rytm tamburynów oraz szalonej melodii skrzypiec. Obijała się w myślach jakaś awantura, bo jeden z oficerów przyprowadził oswojonego niedźwiedzia i próbował przywiązać do niego lokaja. On zaś, Piotr Arkadiewicz Szulin, siedział na parapecie otwartego okna, a pod nim ziała przepaść. Żłopał wino prosto z butelki, a kompani darli się: „Do dna! Do dna!”.

Aż sam z potępieniem kręcił głową, wspominając te szaleństwa, zwłaszcza że zaraz miała przyjść panna Dominique Dulpy, a on powinien się przed nią popisywać postęпами, jakie poczynił w ciągu ostatniego tygodnia w grze na fortepianie.

– *Mon Dieu* – jęknął tylko, kiedy usłyszał dźwięk dzwonka u drzwi i rozmowę pokojówki z panną Dominique.

Podczas lekcji usiłował być bardziej szarmancki niż zwykle, ale jego kiepska forma nie uszła uwagi nauczycielki.

– Pan major dziś nadto zmęczony, zalecam odpoczynek. – Uśmiechała się do niego delikatnie, patrząc, jak wypija kolejną filiżankę herbaty.

– Pani towarzystwo jest jak balsam na skołataną głowę – próbował ją czarować, choć prawdę mówiąc, chętniej wyciągnąłby się na otomanie i zagłębił w marzeniach o niej, niż w jej towarzystwie ćwiczył kolejne pasaże.

Kiedy lekcja wreszcie się skończyła, major zamiast się położyć, podszedł do okna, rozsunął nieco muślinowe firanki i wyjrzał na ulicę. Panna Dominique wyszła właśnie z bramy jego domu. Na ten widok jakiś młodzieniec oderwał się od lektury ogłoszeń porozklejanych na słupie stojącym koło najbliższego skrzyżowania i podbiegł do niej. Ona ucieszyła

się bardzo, ufnym, radosnym ruchem wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli razem w głąb ulicy.

Ten widok wstrząsnął majorem Szulinem. Odczuł to jako zdradę, czyn wymagający natychmiastowej zemsty. Gniew jeszcze bardziej rozkołysał jego nie do końca trzeźwą głowę. Sięgnął po karafkę z wódką i pociągnął z niej potężny haust, co, jak wiadomo, koi cierpienia duszy, i zwałił się na tę otomanę, na którą dla dobra wielu bohaterów tej opowieści powinien zwalić się już wcześniej.

Młodym człowiekiem, który czekał na pannę Dominique przed domem majora Szulina, był Teoś Łagierski. Póki na Mazowszu wojskami dowodził generał Zygmunt Padlewski, Teoś w tych wojskach dzielnie walczył z krótką przerwą na leczenie ran w Lutomerzycach, gdzie poznał Dominique i się w niej zakochał. Kiedy jednak Padlewski został aresztowany, a potem stracony na płockich rogatkach, Teoś przyjechał do Warszawy i po wpadce Antka przejął jego obowiązki. To pozwoliło mu któregoś wieczoru zawitać do salonu sławnej Narcyzy Żmichowskiej w poszukiwaniu panny Dupły. Miał pretekst. Artykuły do tajnych powstańczych gazetek nie mogły się obejść bez jej redakcji.

Trzeba przyznać, że Teodor Łagierski, absolwent wydziału matematyczno-fizycznego warszawskiej Szkoły Głównej, był z lekka zaszokowany tonem rozmów prowadzonych w salonie pani Żmichowskiej. Miał się do teraz za człowieka światłego, postępowego. Fascynowała go chemia, nauka, od której, jak uważał, zależała przyszłość świata. Jego naukowym przewodnikiem i mistrzem był profesor Jakub Natanson, jednocześnie pobożny Żyd i znakomity naukowiec. Teoś szczególnie podziwiał w swoim nauczycielu dążność do praktycznego zastosowania wszelkich dydaktycznych dociekań i zdobyczy. A mimo tego zaskoczyły go tezy, że kobieta powinna być samodzielna, że jej jedynym celem niekoniecznie jest stanie na straży ogniska domowego, że szczęście może znaleźć w społecznej pracy, a nie wyłącznie u boku męża i jako matka dzieciom. To wszystko wydawało mu się wywróceniem naturalnego porządku, jaki zaprowadziła w świecie ludzi biologia.

– A co by ze mną było, gdyby kobieta mogła istnieć i realizować się jedynie w małżeństwie? – zapytała go kiedyś panna Dominique, kiedy rozmawiali na ten temat.

– Wyszłaby pani za mąż – odpowiedział jej Teoś, czerwieniąc się potężnie.

– Mężczyźni niechętnie żenią się z pannami bez posagu – odpowiedziała zmieszana i przejęta, bo domyśliła się, co może znaczyć rumieniec Teosia.

– Pani wyszłaby za mąż za mnie – odpowiedział z pełną powagą, bo zdał sobie sprawę, że kocha ją nie tylko za subtelność i urodę, ale przede wszystkim za życiową dzielność, wiedzę i inteligencję. Taka właśnie kobieta – z własnymi ambicjami i zainteresowaniami – najbardziej odpowiada mężczyźnie nowoczesnemu i wykształconemu, dotarło do Teosia. Dążenie kobiet do niezależności przestało mu się wydawać tak niezgodne z prawami natury.

Wówczas to Dominique i Teoś zostali narzeczonymi, ale sprawę ślubu odkładali do końca oby zwycięskiego powstania. Na razie zaś oboje poświęcali się sprawom publicznym.

Major Szulin obudził się z pijackiego snu dopiero następnego ranka. Był w podłym nastroju i postanowił działać. Czuł, że ta Francuzeczka z niego zakpiła. Jak mogła umawiać się pod jego oknem z jakimś młokosem, kiedy on dał jej dosyć wyraźnie do zrozumienia, że interesuje się jej osobą! I kimże była, by odrzucać jego względy? Marną nauczycielką muzyki zarabiającą grosze lekcjami!

Nakazał nalać sobie do umywalni zimnej wody, ochlapał się nią dla otrzeźwienia i zamówił balwierz. Fryzjer był chodzącą reklamą swojego fachu: z gębą gładką jak pupka niemowlęcia i wypomadowanymi włosami. Na widok zachmurzonego klienta przystąpił do dzieła z werwą i świeżym zapasem anegdotek do sprzedania. Sam się z nich zaśmiewał, ale Piotra Arkadiewicza to tylko tak zirytowało, że w mało wybrednych słowach nakazał mu się zamknąć. Złość nie przeszła mu, kiedy już pachnący wodą kolońską znalazł się w swoim gabinecie.

– Rozpracować kontakty niejakiej Dominique Dulpy! – zabrzmiał jego pierwszy rozkaz.

Po drugie zażyczył sobie, by przyprowadzono mu Antoniego Lutomińskiego.

To wezwanie wyrwało Antosia z cudownego świata, jakim jawił mu się więzienny lazaret. Tu codziennie widział Lubow Zamiatinę i pod wpływem tych spotkań jego nie nazbyt urokliwe otoczenie nabrało zupełnie innych barw. Czuł już nie tylko zawrót głowy spowodowany urodą dziewczyny

i jej cudownie miękkim, aksamitnym głosem. Łatwo dowiedział się wszystkiego o niej od innych chorych i służby, a te wiadomości wzbudzały w nim podziw, szacunek i rozpierającą całe jego jestestwo czułość, chęć chronienia, opieki nad nią.

Okoliczności temu nie sprzyjały, jednak często siadywali oboje i opowiadali sobie, co by było gdyby... I w tych wizjach widzieli siebie razem, on wolny i ona też. Bo Luba dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak jej los jest niepewny, od jak wielu czynników zależy, jak bardzo może zrujnować jej życie nieodpowiedzialne postępowanie ojca. Nic jednak nie wydawało jej się groźne, dopóki gdzieś w pobliżu znajdował się Antoś.

Kiedy młody Lutomierski znalazł się znowu w gabinecie Szulina, od razu wyczuł, że to nie jest człowiek, ale rozwścieczona bestia. Pytania padały jedno za drugim:

– Gdzie teraz można zastać Franciszka Dobrowolskiego? Bo zna Franciszka Dobrowolskiego? Jak nie zna, kiedy to sławny działacz tego waszego, pozał się Boże, rządu jest?! A takie pisma jak „Strażnica” czy „Ruch” zna? Jak nie zna, kiedy sam tam teksty pisywał? A Agatona Gillera zna? Nie zna?

Antoś nawet słowem nie zdążył się odezwać, ledwie głową zdołał pokręcić, że nie, nic nie wie. Szulin rzucał pytania głosem coraz bardziej podniesionym, chodził wokół siedzącego na krześle Lutomierskiego w kółko i w kółko, aż wreszcie padł pierwszy cios. Tym razem Szulin nie wyręczał się swoim na pozór dobrodusznym podwładnym, ale sam wyciągnął spod biurka końską szpicrutę i siekł Antka po plecach, ramionach i twarzy.

Chłopak szybko zdał sobie sprawę, że pytania stanowią tylko pretekst do bicia. Nawet nie starał się na nie odpowiadać, całą uwagę skupiwszy na obronie.

Nagle major szybkim ruchem wyciągnął spod niego krzesło i Antek znalazł się na ziemi, a Szulin z całych sił kopał go, gdzie popadło. Wreszcie zmęczył się, zasapał i padł na fotel za swoim biurkiem. Dłonią o wypięłgnowanych paznokciach sięgnął po srebrny dzwoneczek. Na jego dźwięk natychmiast w drzwiach pojawił się adiutant.

– Zabrać ścierwo! – rozkazał.

Ponieważ nie padły żadne inne polecenia, Antka odstawiono znowu do lazaretu. Przerazona Luba zajęła się nim od razu, nikt nie musiał jej niczego

tłumaczyć. Doskonale wiedziała, że w majora Szulina znowu wstąpił diabeł i teraz wszyscy powinni się mieć na baczności.

Miała rację. Z placu, gdzie żołnierze ćwiczili musztrę, dobiegł ją nietypowy gwar. Wyjrzała przez okno, by sprawdzić, co się dzieje. To major Szulin nakazał zbiórkę wszystkich podległych mu oddziałów. Uspokojona powróciła do opatrywania Antosia. Szulin znalazł inne ofiary, nie będzie kontrolował lazaretu. Dobrze, bo dziś z jej ojcem działo się szczególnie źle. Szczęście w nieszczęściu, że po pijaku był łagodny jak baranek i najczęściej spał, więc ona mogła zająć się swoimi obowiązkami. Opatrzywszy Antosia, pracowała dalej. Obchodziła salę po sali, sprawdzała temperaturę, dopytywała o samopoczucie, ordynowała na noc leki. Normalny wieczór.

– Lubow Andriejewna – usłyszała naraz głos posługacza. – Major Szulin chce z wami mówić.

– Gdzie jest? – spytała, a nogi się pod nią ugięły. Wiedziała. To już koniec jej spokojnego życia.

– W gabinecie doktora.

Pognała tam.

Zastała Szulina próbującego bezskutecznie obudzić jej ojca, który spał na leżance do badania chorych. Odwrócił się, kiedy usłyszał, że weszła.

– Widzę, że sprawa obronności państwa jego cesarskiej mości Aleksandra II Nikołajewicza leży w pięknych rączkach. – Podszedł do niej, by te rączki ucałować z galanterią, która ledwie maskowała wściekłość.

– Zaręczam panu, majorze...

– A ja wolałbym, by zależała od głowy! – nie pozwolił jej dojść do słowa Szulin. – Główka może piękna... – Podsunął jej rękę pod brodę, gwałtownie zmusił, by podniosła twarz i spojrzała mu w oczy. – Może piękna, ale pusta!

Odskoczyła od niego, oburzona takim traktowaniem.

– W lazarecie wszystko jest w najlepszym porządku!

– Tak? – zapytał z zimną ironią, ściągając koc z budzącego się wreszcie doktora Zamiatina.

Medyk ledwie otworzył przekrwione oczy i spoglądał z bezbrzeżnym zdumieniem raz na majora, raz na córkę. Najwyraźniej nie rozpoznał jeszcze swojego przełożonego, bo zapytał:

– Czy ten pan cię obraża, córciu?

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, a jej zwykle tak łagodny ojciec runął z byka na Szulina. Piotr Arkadiewicz nie musiał się zbytnio wysilać, by usunąć się z linii ataku, za to doktor, nie napotkawszy spodziewanej przeszkody, wyłożył się jak długi na ziemi.

Lubow tylko schowała twarz w dłoniach. Właśnie stało się najgorsze, co się mogło stać.

Rozdział 31

Zofia wróciła z kościoła do warszawskiego mieszkania całkowicie zgnębiona. Już nie tylko ono było jej obce i nieprzyjazne z tymi nowoczesnościami, niby-ułatwieniami, których nadmiar ją deprymował. Poczła się odtrącona także w kościele, czyli tam, gdzie spodziewała się niezawodnie znaleźć otuchę. Na dodatek ledwie otworzyła drzwi, a już obydwój, Konstanty i Agata, znaleźli się obok. Choć byli mili, troskliwi, ale wiecznie musiała mieć się przed nimi na baczności, kryć z tęsknotą, poczuciem wyobcowania.

Chyba nie wyglądała najlepiej, bo wzbudziła w nich niepokój.

– Zosiu, proszę, powiedz mi, co się z tobą dzieje – błagał ją ten, który w tutejszym świecie był jej mężem.

– Mamo, ja mu o wszystkim powiedziałam! Nie musisz już niczego udawać przed nami. Przynajmniej tu, w domu, możesz poczuć się swobodnie!

Zofia zrzuciła buty i bosą podeszła do kanapy. Ciężko na niej usiadła i jeszcze ciężiej potoczyła wzrokiem po ich zatroskanych twarzach.

– Swobodnie? Przecież wy mi nie wierzycie!

– Ależ wierzymy! – powiedzieli niemal równocześnie i zaczęli ją o tym przekonywać.

– To dlaczego nie rozumiecie, że martwię się tym, co dzieje się z moimi bliskimi w moich czasach? Że tęsknię?! Że czuję się bezradna?! Tam jest wojna, Gustaw jest chory, Antka aresztowali... A wy nie tęsknicie za Zośką?

Ich zakłopotane miny pokazały wyraźnie, że nie tęsknią. Bo niby faktycznie te włosy są dłuższe, niż być powinny, te opowieści pełne tak wielu szczegółów, że aż wiarygodne, ale z drugiej strony... w głębi serca uważali, że ciągle mają ją ze sobą, nieco dziwną wprawdzie, ale prawdziwą matkę i żonę. A skoro tak, to chyba nie do końca wierzyli w wędrówki w czasie.

Zofia nic nie mogła na to poradzić, ale skorzystała z okazji, by się wygadać. I znowu opowiedziała im o Lutomerzycach, o swoich dzieciach i ich problemach. Znalazła w tych zwierzeniach ukojenie.

– Czy ty, Zosiu, nie mówiłaś mi kiedyś, że masz kuzynkę mieszkającą w okolicach Lutomerzyc? – spytał nagle Konstanty. – Ta nazwa nie jest mi

obca.

Popatrzyła na niego z wyrzutem. Nie mogła z nim rozmawiać kiedyś, bo jej tu nie było. On jednak nie przejął się tym zbyt.

Widocznie ma mnie za łagodną wariatkę, pomyślała Zofia z rezygnacją.

*

W Lutomierzycach Zośka równie zrezygnowana padła na otomanę stojącą w salonie. Miała już kompletnie dosyć. Ledwie wrócili z Warszawy, a rozpoczęło się szykowanie następnej wyprawy. Trzeba było zapakować rzeczy dla Gustawa na czas nie wiadomo jak długiego pobytu w Zakopanem. Rozmowy, które podczas tego pakowania się toczyły, wydawały się idiotyczne i kompletnie wyczerpały jej cierpliwość.

– Frak! Koniecznie trzeba mu zapakować frak – dowodziła Nastusia z całą siłą siostrzanej miłości. – Jak on tam spędzi tyle czasu bez fraka?

– Raczej przydadzą mu się ciepłe swetry i skarpety. Jakies getry i wygodne, luźne spodnie – hamowała ją Zośka. Na chwilę to pomagało, ale zaraz znowu przybiegała Marcelinka.

– Bez kompletu mankietów i kołnierzyków do koszuli elegancki mężczyzna nie może ruszyć się z domu.

– W takim surowym klimacie konieczny jest halsztuk. – Pani Adamowa także zatroszczyła się o wnuka i włożyła do kufra kilka trójkątnych chustek, które mężczyźni wiązali na szyi. – Może to już niezbyt modne, ale praktyczne i eleganckie!

Zośka nie śmiała zaprotestować, ale innym próbowała tłumaczyć, że Gustaw będzie mieszkał w tych górach w chłopskiej chacie, że nie będzie tam chodził na przedstawienia teatralne ani na wieczorki taneczne tylko na wycieczki.

– Biedny Gucio! – szepnęła Bogusia, która wpadła do salonu ze spinkami do mankietów w ręce. – To one też nie będą mu potrzebne?

– Nie sądzę – odpowiedziała bez litości Zośka.

Na całe szczęście zajechał do nich znowu Konstanty Gosztowicz i pomógł Zośce odpierać ataki rodziny. Jego obecność była dla niej jednocześnie kojąca i rozbudzająca. Budziła tęsknotę za Agatką, warszawskim życiem, mieszkaniem, koleżankami, pracą, a wreszcie –

Zośka musiała się do tego przed sobą przyznać – za mężem. Gosztowicz bowiem był tak podobny do jej Konstantego, jak ona do Zofii. Ten sam

głos, ten sam charakterystyczny gest pocierania czoła, kiedy się głęboko nad czymś zastanawiał. Kiedy był przy niej, Zośka czuła się bezpieczna. Zupełnie jak kiedyś, dawniej, w prawdziwym życiu. A i wspomnienie o zdradzie Konstantego już tak nie bolało. Tyle niezwykle wydarzeń miało miejsce od tamtego czasu.

– Pani musi odpocząć – powiedział Gosztowicz, gdy tylko się zjawił. – Tyle przeżyć w tak krótkim czasie potrafi zmóc najsilniejszego. Wygląda pani na zmęczoną.

Zośka rzuciła zaniepokojone spojrzenie w lustro wiszące wśród obrazów na jednej ze ścian salonu. Bardzo podobał jej się ten pomysł i świadczył o pewnym dystansie, z jakim pani domu urządzająca ten salon traktowała rzeczywistość. Ze zwierciadła spojrzała na nią blada kobieta w czerni z lekko podkrążonymi oczami. Spotkali się z Konstantym w tym lustrze wzrokiem i mimowolnie uśmiechnęli się do siebie. Tak często bywało w warszawskim mieszkaniu, w którym lustro wisiało nad kanapą.

– Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz! – wyrwało się Zośce, choć przecież nigdy się jeszcze do niego tak bezpośrednio nie zwróciła.

On podszedł i wziął ją za rękę.

– Dla ciebie wszystko – odpowiedział tak cicho, by nikt tego nie usłyszał. Zaraz też musiał puścić jej dłoń, bo Nastusia weszła do salonu z okazałą kupką ozdobionych mierzka chustek do nosa.

– To mu się na pewno przyda – powiedziała z mocą i włożyła je do podróznego kufra Gustawa.

– Z całą pewnością – odpowiedzieli razem Konstanty i Zośka. Gdyby nie smutne okoliczności, to pewnie roześmieliby się wspólnie.

Zośka nie miała czasu, by zastanawiać się dłużej nad swoją sytuacją. Tyle spraw się wokół niej toczyło, tylu obowiązkom musiała podołać, tylu ludzi wiecznie się wkoło niej kręciło. Często jednak dopadało ją poczucie niestosowności, niedopasowania. Wydarzenia, które tu się działy, wymagały obecności Zofii. Były dla imienniczki zbyt doniosłe, by zdarzać się pod jej nieobecność. Zośka coraz bardziej czuła się tu jak intruz.

To uczucie niestosowności dopadło ją mocno na peronie Dworca Wiedeńskiego, kiedy razem z córkami i nieodstępnym ostatnio Gosztowiczem przyjechali odprowadzić Gustawa do pociągu. Na próżno Konstanty próbował zająć jej myśli czymś innym, opowiadając, że tory są tutaj znacznie węższe niż na innych dworcach warszawskich,

petersburskim, terespolskim czy kowelskim, co spowodowane jest względami obronnymi, bo nie pozwoli to w razie wojny taborowi wroga poruszać się po niedopasowanych do wagonów szynach. Zośka nie słuchała jego wywodów. Myślała o tym, czy Zofia zobaczy jeszcze kiedykolwiek swojego syna, czy będzie mogła się z nim choćby pożegnać. Gustaw bowiem nie wyglądał dobrze. Schudł i na bladych policzkach kwitł mu rumieniec tak typowy dla gorączki. Na szczęście był ruchliwy i rozradowany. Perspektywa dalekiej podróży najwyraźniej go ożywiła.

– Niech się mama nie martwi – powtarzał wciąż Zośce. – Ja czuję, że Zakopane mnie uzdrowi.

– Tak, synku – odpowiadała mu, przytulając i całując w ramię, bo wyżej sięgnąć nie mogła. Starła się zastąpić Zofię najlepiej, jak umiała, by przytłumić choćby trochę nieznośne uczucie, że to nie ona powinna tu być.

Kłęby dymu spowiły peron, kiedy sapiąca lokomotywa wjechała, ciągnąc za sobą rząd wagonów. Na tak daleką podróż wykupiono dla Gustawa miejsce w wagonie pierwszej klasy, gdzie w każdym przedziale na miękkich kanapach mogło podróżować sześć osób. Kufry oddawało się do wagonu bagażowego i ze sobą Gustaw wziął tylko niewielki sakwojaż, w którym miał książkę do czytania i nieco smakołyków na drogę. Bogusia i Anastazja koniecznie chciały wejść choć na chwilę do przedziału, bo nigdy jeszcze nie podróżowały tak daleko. Konstanty mówił, że mogą to spokojnie zrobić, bo pociąg nie odjedzie nagle, tylko najpierw rozlegnie się dzwon dworcowy ponaglający wszystkich podróżnych do zajmowania miejsc w wagonach.

I zabrzmiał. Raz, drugi i trzeci. Lokomotywa wypuściła nowy kłąb gryzącego dymu, a dziewczęta wyciągnęły chusteczki, by pomachać odjeżdżającemu bratu.

Gustaw z pewną ulgą rozsiadł się na swoim miejscu. Przymknął oczy. Był już bardzo zmęczony przygotowaniem i pożegnaniami, ale nie chciał się do tego przyznać bliskim. Kiedy pociąg ruszył, nie musiał już przed nikim udawać, że jest silny. Obok niego siedzieli tylko obcy ludzie. Nobliwie wyglądający starszy pan z siwymi bokobrodami i małżeństwo: on niewielkich rozmiarów, z wiecznie wypadającym binoklem, i ona rozłożysta w biodrach i z obfitym biustem, ruchami królowej nakazująca podać sobie kuferek, odłożyć go z powrotem na półkę, otworzyć okno, a potem je zaraz zamknąć, bo pęd powietrza mógł jej zaszkodzić na

wrażliwe gardło. Gustaw na to wszystko nie zwracał uwagi. Najpierw przyglądał się mijanym monotonnym krajobrazom, a potem zasnął.

Obudziła go dopiero kontrola paszportów w Maćkach niedaleko Sosnowca. Starszy pan z bokobrodami po drodze gdzieś wysiadł. Rozłożysta w biodrach pani przyciszonym głosem informowała siwą matronę, która musiała wsiąść niedawno, że jadą do samego Wiednia, gdzie jej mąż ma do załatwienia interesy wagi niemalże państwowej. Gustaw wiedział, że zaraz na następnej stacji za granicą będzie musiał opuścić pociąg.

Stacja nazywała się Szczakowa i właśnie w jej okolicy stykały się ze sobą granice trzech państw: Rosji, Prus i Austrii, ruch więc na dworcu kolejowym był wielki. W przydworcowej restauracji prawie wszystkie stoliki były zajęte, ale Gustawowi udało się jednak znaleźć miejsce i zamówić żurek z kiełbasą. Mocno pachniał czosnkiem i okazał się nad wyraz dobry. Musiał tu też zanocować, bo pociąg do Krakowa Kolei Krakowsko-Górnośląskiej odjeżdżał następnego dnia rano. Podróż do Krakowa już nie była długa i Gustaw znalazł się w nim jeszcze przed południem.

Młody Lutomierski wiedział od doktora Chałubińskiego, że aby dostać się do Zakopanego, trzeba pojechać na plac Kleparski. Gazdowie z Tatr przywozili do Krakowa żelazo z kuźnickiej huty, a potem na swoich wyplatanych jak kosze furkach rozpinali szaro-białe budki i czekali na tym placu na szaleńców, którzy chcieli z nimi jechać w góry. Sława Tatr powoli rozchodziła się po świecie i czasem trafiał się jeden z drugim, co to miał życzenie zapłacić aż osiem guldenów za dwudniową podróż po bezdrożach.

– Legnijcie se na słomie, boście słabi – zatroszczył się o Gustawa jeden z woźniców, kiedy już dobili targu i załadowali na bryczkę wszystkie bagaże. Rozłożył dla większej wygody jeszcze wielką baranicę, a sam zajął miejsce na desce opartej na burtach furki. Był to niewysoki góral z twarzą pokrytą zmarszczkami, ale zwarty w sobie i prężny w ruchach. Pogonił konia i ruszyli.

– Tatry. – Wskazał batem na ośnieżone szczyty majaczące, jak się wydawało Gustawowi, nie tak znowu daleko.

Chłopak spojrział i zdawało mu się, że tam za płaską równiną, za lasami, na szczytach lśniących szarością jak metal i bielą jak śnieg, owiniętych woalem z mgły, jest inny świat. Czarowny.

– Pięknie tam musi być – westchnął.

– Pięknie – zgodził się góral. – Powiadają, co raz leciał nad Tatrami janioł, a tak ci się zapatsył w nase góry, ze tryknoł łbem o Krywań, bez to przeksiwił mu się wierchusek.

– Aniołowi przekrzywił się wierchuszek? – Gustaw zaśmiał się.

– Hale! Góra u nas jezd. Krywań, bo ksiwa. To bez tego janioła.

Konik dreptał niepoganiany traktem biegnącym w kierunku gór przez pola, a potem przez coraz dzikszy las. Droga pięła się wyżej i wyżej ledwie zauważalnie, a szczyty ciągle stały niby blisko, a jednak bardzo daleko. Gazda nazywał się Antek Bachleda.

– Bachledów u nas jak mrówków – mówił. – Dlatego na poniechtóryk gadajo Curuś, na innych Księdzuloz. Duzo nas. Moze tylko Gąsienniców więcej.

Drugiego dnia droga zrobiła się trudniejsza. Wiła się coraz bardziej stromo do góry, pełna wybojów i odłamów skalnych. Co raz natykali się na strumienie, a czasem nawet małe rzeki, które musieli pokonywać w bród, bo nigdzie nie było śladu mostu. A wokół szumiał bór, w którym rosły obok siebie potężne świerki i jodły. Olbrzymie paprocie zieleniły się i wysokie kępy jagodzin wychylały niemal na trakt. Chłód szedł od tego lasu i zapach tak świeży, balsamiczny, że Gustaw, choć znużony drogą okrutnie, wdychał to cudne powietrze pełną piersią, a z tego zapachu szła do niego siła i zdrowie tak intensywnie, że aż poczuł się oszołomiony. Sam nie wiedział, czy tą świeżością, czy pięknem, czy radością, która go przepelniała.

Rozdział 32

Znalezienie Teosia nie sprawiło majorowi Szulinowi specjalnych kłopotów. Wystarczyło tylko śledzić pannę Dominique. Postawienie Łagierskiemu zarzutów też było dziecinnie łatwe, bo nie uszły uwadze szpiclów jego częste wizyty w drukarni na placu Teatralnym. Rewizja wykazała, że drukowano tam powstańcze ulotki. Szulin nakazał więc aresztować wszystkich pracowników, a Teosia na dokładkę.

Dominique dowiedziała się o tym od samego majora, kiedy pewnego jesiennego dnia przyszła do niego na lekcję. Już zasiedli do fortepianu, ale ona mimo to zapytała:

– Dawno nie widziałam jednego z moich znajomych, rodzina się niepokoi. Pan ma tak rozległe kontakty, czy nie mógłby pan jakoś pomóc?

– Pani powinna uważać. – Szulin arystokratycznym ruchem pogładził wypielegnowaną dłoń równie wypielegnowane bokobrody. – Pani ma niebezpiecznych znajomych. To terroryści. Ten pan Łagierski na przykład.

Wydawało się, że zamyślił się trochę, a potem zagrał pierwsze takty jednego z najbardziej znanych walców Chopina.

Wszystkimi siłami starała się opanować niepokój. Nie chciała dać mu poznać, jak bardzo ją wzburzyły wieści o Teosiu. Udało jej się jednak trochę skoncentrować na lekcji.

– Nad tymi trylami trzeba by trochę popracować – skomentowała jego grę spokojnie, choć serce podchodziło do gardła ze zdenerwowania. – Gra pan tego walca trochę po wojskowemu, zbyt twardo. Proszę pozwolić...

Ustał Dominique miejsca przy fortepianie, by mogła zademonstrować, jak lepiej byłoby wykonać tę frazę. Uderzała w klawisze lekko, tryle pod jej palcami drżały jak skrzydła motyli.

– Nigdy nie podejrzewałabym pana Łagierskiego o zbrodnicze instynkty – powiedziała, ale z pełnego satysfakcji tonu, z jakim Szulin poinformował ją o aresztowaniu Teosia, odgadła, że major w niczym jej nie pomoże.

Niewiele mógł też zrobić Konstanty Gosztowicz, który dowiedział się od Stiepana Jegorowicza Jusupowa, kupca dostarczającego Szulinowi najprzedniejszy armeński koniak, że w tej sprawie major wyjątkowo zbiesił się i jeśli chodzi o Teodora Łagierskiego i Antoniego Lutomińskiego, to o żadnych łapówkach mowy być nie może. Również Zośka próbowała

różnymi drogami dotrzeć nawet do samego komendanta całej cytadeli Nikołaja Jermołowa, a pani Żmichowska do namiestnika, ale wszystkie te zabiegi jak o skałę rozbijały się o nazwisko majora Szulina.

Panował listopadowy wieczór, kiedy Zośka wróciła do domu z kolejnej wyprawy do Warszawy. Rozpadało się. Zimno już było, więc we dworze napalono w piecach i przyjemne ciepło ogarnęło ją, gdy tylko weszła do domu. Powitały ją dziewczęta i Marcelinka.

– Kakao podam na razie, a potem co insze – powiedziała kucharka.

Dziewczęta wpatrywały się w Zośkę z natężeniem, ale nie miała specjalnie co mówić. Wszystko dało się zresztą wyczytać z jej twarzy. Sprawy nie toczyły się dobrze.

Zeszły do suteryny. W kuchni było najcieplej, najzaczisniej. Usiadły przy wielkim wyszorowanym do białości stole. Bez słowa popijały kakao zagęszczone utartymi z cukrem żółtkami i ozdobione czapeczką piany z białek. Bogusia cicho płakała.

– Nie płacz, córeczko – próbowała ją pocieszyć Zośka. – Póki życia, póty nadziei. – A jednak wpasowałam się w te czasy, pomyślała, ledwie przebrzmiały te słowa.

Tymczasem widok Bogusi, tak podobnej do jej Agaty, potęgował tęsknotę za swoimi, za Warszawą.

– O panu Janku Zarębskim już od dawna nie ma wieści – powiedziała Marcelinka, a Bogusia rozszłochała się już na całego. – Inni już dawno do domu powracali, a on nie.

I cóż było na to rzec? Zośka tylko podeszła do dziewczyny i utuliła ją.

Znalazła się w swojej sypialni o bardzo późnej porze i usiadła przed toaletką. Tam już czekała na nią Zofia. Błada i zmęczona.

– Udało się coś załatwić? – spytała.

Zośka tylko pokręciła głową. Siedziały długo w milczeniu. Bo co tu mówić? Obie jednocześnie, a jednak w samotności przetrawiały tęsknotę, niepokój, rozpacz, obu się bowiem wydawało, że już na zawsze pozostaną uwięzione w nie swoich czasach, oddzielone od bliskich. I choćby angażowały się we wszystkie sprawy, to jednak to życie, które im przyjdzie wieść, będzie po prostu cudze.

Nagle obie podniosły opuszczone w smutku głowy i z jednakową pretensją w sercach wybuchły buntem:

– To okrucieństwo jest!

Ton ich głosu był jeden, słowa padły z ich ust zsynchronizowane, amplituda dźwięku wydanego przez jedną nałożyła się na amplitudę dźwięku wydanego przez drugą. Drganie skrzydeł motyla może wywołać tsunami, więc dlaczego zgodność o takiej precyzji nie może skleić dwóch rzeczywistości, umieszczonych gdzieś w czasoprzestrzeni, na ułamek sekundy wystarczający, by otworzyły się tajemnicze wrota? Dzięki temu one, Zośka i Zofia, mogły przez nie wrócić do swoich czasów.

W każdym razie tak sobie pomyślała Zośka jakiś czas potem. Najpierw bowiem głęboko westchnęła i zauważyła, że nie uciska jej gorset. Zamknęła oczy. Czy to prawda? Czy wyzwoliła się z tego pancerza? Czy kiedy otworzy oczy, znowu zobaczy tak dobrze sobie znaną sypialnię w warszawskim mieszkaniu?

Lekko uniosła powieki. Przez szparkę w oczach, w lustrze zobaczyła Zofię, jak z radością przesuwając rękami po czarnej, aksamitnej sukni.

– Jestem u siebie – odważyła się powiedzieć Zośka, otwierając szerzej oczy i rozglądając się po własnej sypialni.

– Ja też – odrzekła Zofia, patrząc po ścianach lutomierskiego buduaru.

Roześmiały się zupełnie różnymi śmiechami. Zośka śmiała się głośno i swobodnie, a Zofia skromniej i nieco wstydliwie.

Jakoś nic więcej nie potrafiły powiedzieć, bo ogarnęło je szczęście, niemal euforia, że są u siebie!

– Muszę zobaczyć się z moimi dziewczętami. Może jeszcze nie poszły spać! – zawołała pani z Lutomerza i żwawo podniosła się z fotelika stojącego przed toaletką. Zbyt żywo. Rusztowanie krynoliny rozbijało się gwałtownie. Jednak ona dobrze wiedziała, co się robi w takich sytuacjach. –

Zapomniałam już, że mam się poruszać jak dama! – Znowu się zaśmiała i jedną ręką podparła się o fotel, a drugą uspokoiła rozhuśtaną krynolinę.

– A ja zrobię mojej rodzinie to fantastyczne kakao, którym częstowała nas Marcelinka – powiedziała Zośka i pognęła do swojej nowoczesnej kuchni.

Zofia podkręciła knot w lampie, by dawała więcej światła, i zeszła do salonu. Nie zastała tu już nikogo. Panowała ciemność, deszcz dzwonił o szyby i wiatr szarpał gałęziami dzikiego wina wspinającego się po ścianach dworu. Dla Zofii były to znajome, domowe odgłosy. Rozkoszowała się nimi przez chwilę.

Tyle rzeczy układało się nie po jej myśli, o tak wiele musiała zabiegać, ale wreszcie wróciła do własnej skóry w swoim życiu! Co za ulga! Zaczęła planować, że zaraz wybierze się do Warszawy, że może uda jej się wyblagać choć widzenie z Antosiem. Może on będzie wiedział, z kim porozmawiać, co jeszcze zrobić, by się ratować. Przecież ma wielu znajomych, przecież gdzieś można znaleźć wsparcie. Wydawało jej się, że skoro stał się ten cud i znowu znalazła się w swoich ukochanych Lutomerzycach, to może zdarzy się jeszcze jeden. Była tak pełna otuchy, że uśmiechnęła się do siebie.

Wówczas wydało jej się, że słyszy jakiś ruch przed gankiem. Podeszła do okna, ale za nim panował mrok. Już miała wrócić do sypialni, kiedy usłyszała niezbyt głośne pukanie do drzwi.

Boże drogi, pomyślała sobie, to musi być ktoś swój, bo psy nie szczekają.

Wybiegła do sieni, znanym od lat ruchem przytrzymując obręcze krynoliny.

– Kto tam? – zapytała bez strachu, choć wokół panowały nieprzeniknione ciemności.

– Janek – usłyszała w odpowiedzi. – Proszę mnie wpuścić...

Głos miał słaby, zachrypnięty, ale wątpliwości mieć nie mogła. Janek Zarębski!

– Marcelinko! Bogusiu! – zawołała, siłując się z kluczem, który jak zwykle trochę zacinał się w zamku.

Wreszcie udało jej się otworzyć drzwi. Janek stał w nich, oparty zdrową ręką o framugę. Drugą podtrzymywał mu temblak. Wyglądał jak Łazarz, chwiał się tak, że musiała go podeprzeć.

– Marcelinko!

Zarzuciła zdrowe ramię Janka na swoje i podtrzymując go jeszcze w pasie, zaprowadziła do salonu.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Pan Janek! A to myśmy dziś o panu mówiły! Coś mnie tchnęło i bulionu nagotowałam pożywnego. Odgrzeję! – Marcelina pierwsza znalazła się w salonie.

– A ty pledy mi tu przynieś wełniane, te co w pokoju gościnnym zaścielone są w łóżku – nakazała Bogumiłce, która też przybiegła do pokoju i znowu zabierała się za płacz.

Bo było nad czym płakać. Janek wrócił wychudzony, zarośnięty, brudny. W oczach było widać, że trawi go gorączka. Oddychał ciężko. Ale wrócił!

– Był rozkaz Traugutta, świętego człowieka, który teraz dowodzi całym powstaniem, żeby zebrać wszystkie partie w jedno wojsko – opowiadał, kiedy już otulony ciepłymi kocami popijał gorący bulion. – To szliśmy w stronę Sandomierza i Kielc, bo tam walczyły jeszcze duże oddziały generała Hauke-Bosaka. Ale już koło Radzymina rozbili nas Rosjanie i ścigali aż tutaj. Rozdzieliliśmy się więc i każdy szukał schronienia, gdzie się dało. Trzy dni i trzy noce w marszu bez snu i o głodzie wymęczyło mnie.

– A rana? – dopytywała Bogusia.

– Nic to – odpowiedział. Głowa ciążyła mu, a oczy się zamykały. – Pamiętam, jak tu grałem Chopina. Moją ulubioną balladę...

– G-moll – podpowiedziała Bogusia. – Ostatni raz gdy wszyscy byliśmy tu razem, tuż przed powstaniem. A teraz...

– Jeszcze będzie dobrze, będzie dobrze... – pocieszał ją coraz bardziej sennie, aż oczy mu się zamknęły.

– Chodźcie spać – zarządziła Zofia. – Dla niego też sen będzie najlepszym lekarstwem. Jeszcze będzie dobrze – powtarzała słowa Janka, zaganiając Bogusię do spania. A i jej samej powrót Janka wydał się dobrą wróżbą. Będzie dobrze!

*

Zośka weszła do kuchni. Z pokoju Agatki i gabinetu Kostka przez matowe szyby drzwi sączyło się światło. Nie spali. Miała ochotę wejść do nich, powiedzieć: „Kochani, wróciłam!”, ale przecież potem nie potrafiłaby sensownie tych słów wytłumaczyć. Zofia uprzedziła ją, że przyznała się Agatce do wędrówek w czasie, ale Zośka była przekonana, że rozsądnej i trzeźwo myślącej rodzinie to wszystko wydawało się mało prawdopodobne. Nawet mimo tych za długich włosów i dziwnego zachowania. Na pewno łatwiej było im uwierzyć w omamy wzrokowe i depresyjne problemy niż fakt, że lustro toaletki jest portalem, przez który można się przenieść do dziewiętnastego wieku. A niech tam! Zostawi sprawę bez wyjaśnień, ale jakoś przywita się z rodziną.

Zajrzała do lodówki. Kartonik mleka kokosowego i jajka. Z szafki wyjęła kakao i podręczny mikser. Nastawiła do zagotowania mleko i zaczęła ubijać żółtka z cukrem.

– Co robisz tak późno? – zainteresowała się Agatka, która pierwsza wyjrzała ze swojego pokoju, wywabiona hałasem miksera.

– Kakałko!

Ach, jaką Zośka miała ochotę przytulić córkę! Przecież tak dawno tego nie robiła! Wpadła w innym czasie w taki wir tragicznych i ważnych spraw, że chyba niewystarczająco ucieszyła się, kiedy któregoś dnia Zofia zakomunikowała jej, że Agata doskonale zdała maturę i została przyjęta na wydział stosunków międzynarodowych w Szkole Głównej Handlowej. Dopiero teraz, po powrocie Zośka poczuła prawdziwą dumę i radość. Aż cmoknęła Agatkę w policzek.

– Kakałko? Tak późno? To ma milion kalorii! I cukier! – zgorszyła się jej córka, widząc, jak Zośka do kakao dodaje ukręcony kogel-mogel.

– To nie chcesz?

– Wypiję! – Łasuch wziął w Agacie górę nad rozsądkiem.

– A wy co? Nie śpicie? – Kuchenne hałasy wywabiły także z gabinetu Konstantego. – No, no! Co za staroświeckie przysmaki!

– Chcesz? – spytała, podając mu kubek z piętrzącą się nad brzegiem chmurką pianki.

– Toż to trucizna i deprawacja w jednym! – zawołał, śmiejąc się do niej. – Poproszę!

Siedzieli razem przy stole w jasnym kręgu zapalanej lampy. Przez okno wpadały światła miasta, rozmyte w mokrych od deszczu szybach. Z pokoju Agaty dolatywał głos Lady Gagi, która śpiewała coś o głupiej miłości. Zośka czuła się doskonale szczęśliwa. Poczowała wdzięczność do Zofii. Przecież gdyby nie ona, to teraz byliby z Konstantym pokłóceni już tak, że o porozumieniu nie mogłoby być mowy. Przypomniało jej się, jak rosła między nimi szklana tafla obcości i z rumieńcem pomyślała o rodzącym się romansie z Kazimierzem. Trzeba było taktu i spokoju Zofii, by zawrócić z tej drogi.

Popatrzyła na Konstantego. No niech mu tam. Daruje mu. Ostatni raz!

Rozdział 33

Jedyne, co udało się wychodzić Gosztowiczowi dla pani Zofii, to widzenie z Antkiem. Tak ładnie się ucieszyła, że pan Konstanty odzalaował sporą łapówkę, którą musiał wręczyć. A zresztą tak mu się wydawało, że w tej radości nie tylko wdzięczność była, ale i coś jeszcze. Może już nadeszła chwila, by się wreszcie zdeklarować? Zastanawiał się nad tym już od dłuższego czasu.

Było to tuż po Godach tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku. W Warszawie, do której znowu zjechała Zofia, czuć było nastrój przygnębienia. W salonach rozmawiano o tym, czy uda się przyciągnąć do powstania chłopów i mieszczan, bo ulotek na ten temat mnóstwo rozdawano po kościołach. „Z ludem i przez lud”, powtarzano wszędzie słowa Traugutta. Zastanawiano się, czy nadejdą jakieś posiłki dla powstania z Francji, a wiadomo było, że o takie zabiegało dowództwo. O tym wszystkim dowiadywała się Zofia, kiedy odwiedzała znajomych, Dominique Dulpy i swoich krewnych Łagierskich. Sytuacja wyglądała niewesoło, a w każdym razie zgromadzonym daleko było do optymizmu ze względu na aresztowanie Teosia. Oburzały też plotki o tym, że w pałacu namiestnikowskim zapowiedziano wielki bal dla rosyjskiej śmietanki towarzyskiej, na który zaproszono także niektórych Polaków.

Mimo to Zofia nie potrafiła ukryć podniecenia, kiedy w pierwszych dniach lutego w towarzystwie córek i Konstantego Gosztowicza stanęła pod bramą cytadeli. Chaos panował w jej umyśle i w sercu. Ogarniała ją radość, że wreszcie ujrzy syna, a chwilę później mitygowała się, bo przecież nie było się z czego cieszyć. Los Antosia pozostawał niepewny, przyszłość mętna.

Mróz panował tego dnia siarczysty, śnieg skrzypiał pod nogami, a oni wysiedli z wynajętych sanek. Na poboczach dróg piętrzyły się białe zaspasy, a drzewa pokrywała srebrzysta szadz. Skrząca się w słońcu jasność oślepiła i od tej bieli odcinały się czerwone, ceglane mury cytadeli. W milczeniu przeszli przez bramę i w ciszy podążyli za praporszczykiem⁴⁰, który poprowadził ich do izby, gdzie mieli spotkać się z Antosiem. W pomieszczeniu stał tylko stół i wokół niego kilka drewnianych zydl. Mdłe światło wpadało przez zakratowane okno.

40 praporszczyk – chorąży w wojsku rosyjskim doby powstania styczniowego

– Zachowajcie się dzielnie – powtarzała Zofia do Nastusi i Bogumiłki, choć sama nie była pewna, czy ucieszy się, czy rozplacze na widok syna. Kiedy go zobaczyła, zrozumiała jednak, że Antoś nie podupadł na duchu.

– Kochane moje! – zawołał na ich widok, nie zauważając w pierwszej chwili Gosztowicza, bo ten stanął w najdalszym rogu izby. Wyściskali się, ale zaraz potem poprosił, żeby usiadły z nim do stołu. – Bo ja mam sprawę do omówienia i może jakoś zdołacie mi pomóc – zagaił.

– To myślisz, że jeszcze można coś zrobić? – Nadzieja widocznie tliła się w Zofii, bo teraz nagle rozkwitła.

– Och, mateczko! – rozczulił się, bo odgadł, co dzieje się w jej sercu. – Syberii nie uniknę, ale osiem lat minie i wrócę.

– Nie wszyscy wracają – pisnęła przez łzy Nastusia.

– Ja wrócę – odparł z wielką pewnością – ale pomóżcie mi... – Z wielkim przejęciem opowiedział Antoś o dziewczynie Rosjance, która tak dzielnie ratowała go już tyle razy. O tym, że jej ojca lekarza władze rosyjskie karnie zsyłają do Krasnojarska i że wiele by dał, aby i jego tym samym transportem tam posłali...

– Może uda się to załatwić na niższych szczeblach, bez wiedzy Szulina – odezwał się wtedy Konstanty.

– Pan Gosztowicz tak wiele nam już pomógł – przedstawiła go synowi Zofia.

– Byłbym taki wdzięczny. – Antoś uśmiechnął się serdecznie do Konstantego.

Potem już rozmowa potoczyła się gładko o tym, co słyhać u domowników, że Gucio z Zakopanego śle pełne zachwyty listy, że Janek Zarębski wrócił z powstania cały i zdrowy. Bogumiłka i Nastusia chciały wiedzieć koniecznie, co to za dziewczyna, i zachwyciły się imieniem Lubow, że takie piękne i poetyczne. To ostatnie ich spotkanie przed długą rozłąką nie wypadło więc łzawo i ponuro.

– Życzę mateczce szczęścia – szepnął Zofii do ucha na pożegnanie syn, zerkając na Gosztowicza.

Ona zarumieniła się mocno i nie zdążyła nic mu odpowiedzieć, bo więzienny strażnik już przyszedł po Antosia.

Zabiegi Konstantego okazały się skuteczne, bo wkrótce Lutomierscy dowiedzieli się, że transport, do którego został włączony Antoś, odjedzie

z Dworca Petersburskiego dwudziestego ósmego lutego. Tego też dnia wyjeżdżał z Warszawy doktor Zamiatin. Zwykle podobno grupy młodzieży żegnały zesłańców okrzykami: „Jeszcze Polska nie zginęła” czy śpiewami pieśni: „Boże, coś Polskę...”, ale tego dnia Warszawę obiegła wieść o klęsce jednego z ostatnich dużych powstańczych oddziałów pod Opatowem. Przed dworcem na konwój ze skazańcami czekały tym razem tylko rodziny więźniów.

Pani Zofia przyjechała z Bogusią i Jankiem Zarębskim, bo Nastusia przeziębila się i musiała zostać w domu. Mimo mrozu stali wraz z innymi przed wejściem do hali dworcowej i czekali. Pociąg do Petersburga, w którym jeden wagon trzeciej klasy był przeznaczony dla zesłańców, miał odjechać dopiero za godzinę, ale pod dworzec już zajechały więzienne kibitki i wyprowadzono skazańców. Była ich prawie setka, wszyscy z kajdanami na nogach.

Ludzie rzucili się do przodu. Każdy chciał jak najszybciej zobaczyć swojego, krzyknąć do niego, zamachać ręką, by zwrócić na siebie uwagę! Przepychali się, ale żandarmi szpalerem odgradzili ich od więźniów. Wprowadzili ich do poczekalni. Za nimi hurmem ruszyła reszta. Zgnietliby i stratowali, ale Zofii ten tłum nie przeraził. Hałas, tłok, pęd, których doświadczyła w późniejszej o sto pięćdziesiąt lat Warszawie, uodpornił ją na takie sceny. Kiedy tylko zobaczyła, na co się zanosi, chyłkiem przemknęła do bocznego wejścia, ciągnąc za sobą córkę i Janka. To i każde inne drzwi pilnowane było przez żandarmów. Znaleźli się już w sali, gdy pierwsi więźniowie do niej wchodzili. Tu zesłańcy i osoby żegnające mogli się poruszać w miarę swobodnie. Wypatrzyli Antosia i on też ich zobaczył. Teraz już można mu było spokojnie podać kufer z ciepłymi rzeczami, koszyk z jedzeniem przygotowany przez Marcelinkę, woreczek z pieniędzmi, bo przecież w takiej dalekiej podróży się przyda.

Antoś żegnał się z nimi, całował, rozmawiał, ale przez cały czas rozglądał się niespokojnie. Już pierwsi więźniowie podchodzili do ustawionego naprędce kantorka, gdzie wydawano im podrózne papiery, już przechodzili przez drzwi na peron, na który nie wolno było wejść żegnającym, kiedy nagle twarz Antosia rozjaśniła się. Zofia spojrzała w kierunku jego wzroku. Do poczekalni weszła para. On starszy już, siwy, o zniszczonej, smutnej twarzy, ona młodziutka, energiczna, śliczna. Ojciec i córka, widać to było po podobnych ciemnych oczach i kształcie ust.

– Luba! – zawołał Antoś i rzucił się przeciskać między innymi więźniami. Trochę niezręcznie, bo ruchy krępowały mu łańcuchy kajdan, podszedł do dziewczyny. Jego rodzina za nim.

– My się znamy? – zdziwił się Zamiatin, kiedy młody Lutomierski znalazł się obok niego.

– Leczył mnie pan, panie doktorze. – Antoś uśmiechnął się i przedstawił nadciągającą rodzinę.

– Ach, tak, tak – ucieszył się doktor, choć widać było, że zupełnie nie poznaje pacjenta. – A to dobrze, bo ja pod państwa opieką zostawię na moment córkę i pójde dopilnować ładowania bagażu. – Rzeczywiście, zamienił dwa słowa z dworcowymi tragarzami, a potem zniknął za drzwiami restauracji.

– To wszystko byłoby straszne, gdyby nie ona: Lubow Zamiatina. – Antoś przedstawił dziewczynę rodzinie.

– Antoni Kazimierowicz Lutomierskij! – wydarł się żandarm stojący przy kantorku i Antoś musiał iść.

– Wróce, mateczko – powiedział jeszcze tylko, a potem dodał ciszej, patrząc wymownie na Lubę: – Wrócimy.

Dziewczyna leciutko zarumieniła się, ale spojrzała odważnie na Zofię.

– Proszę się nie martwić, będę o niego dbać.

– Mam nadzieję, że on o ciebie też, córeczko – odpowiedziała Zofia. Luba zrobiła na niej bardzo dobre wrażenie. W przeciwieństwie do jej ojca, który na dźwięk kolejowego dzwonu zapowiadającego odjazd pociągu wytoczył się lekko chwiejnym krokiem z bufetu. Już zdążył wychylić stakańczyk wódki. Albo dwa.

*

W kilka dni po wyjeździe Antosia, już w Lutomierzycach Zofia nadzorowała przygotowywanie nowych poduszek i pierzyn. Powstanie upadało i to widział każdy, Antoś gdzieś tam jechał do dalekiego Krasnojarska, Gucio walczył o zdrowie w Zakopanem, ale jakoś żyć trzeba było, a zwykłe domowe obowiązki nie pozwalały na zbytne rozpamiętywanie spraw, na które nie miało się wpływu. Rezydentka panna Stanisława łądowała więc darte zimowymi wieczorami pierze do wsep, Bogusia zszywała je drobniutkimi ściegami, a Marcelinka wyjmowała z pieca złoto podpieczone biszkopciki. Wszystkie siedziały w kuchni,

oprócz Nastusi, która jeszcze trochę kaszłała i tylko by im w tej robocie z pierzem mogła przeszkadzać. Dlatego to właśnie ona wpadła do kuchennej suteryny z piskiem: „Goście jadą!”.

– Bogusia, biegnij do siebie się przebrać! – zarządziła Zofia. Najbardziej prawdopodobne było, że to Janek, a ponieważ w każdej chwili pan Zarębski mógł się oświadczyć, więc rozumiało się samo przez się, że Bogumiłka musi być na tę wielką okazję przygotowana.

– Na toaletce stoi woda lawendowa, możesz troszeczkę...

– Dziękuję, mateczce! – Bogusia cmoknęła ją delikatnie w przelocie w policzek.

Zofia odwiązała w pośpiechu fartuch, opłukała ręce, bo wstyd powiedzieć, ale wylizywała naczynie, w którym Marcelinka zrobiła szodon do biszkopcików.

Kiedy weszła do salonu, zobaczyła Gosztowicza. Miała ochotę cofnąć się i pognać śladem Bogusi do swojego pokoju, by się przebrać, skropić wodą lawendową skórę za uszami i na nadgarstkach oraz poprawić włosy, ale już ją dojrzeli.

Konstanty siedział na kanapie w towarzystwie pani Adamowej.

– Prawdziwa dama zawsze jest elegancka – powiedziała z przekąsem starsza pani Lutomierska, krytycznie mierząc synową od stóp do głów.

Konstanty wstał na jej widok i podszedł się przywitać. Chyba mocniej niż zwykle pachniał wodą kolońską.

– Pan Konstanty dziś do nas zajechał z kwiatami. – Pani Adamowa powąchała bukiet herbacianych róż. – Cudnie pachną. Dam je do wody i postawię na swojej etażerze – powiedziała i wyszła.

Zofia niemal parsknęła śmiechem, kiedy zobaczyła zakłopotanie i zawód w oczach gościa.

– Tak pan wygląda, jakby mu jakieś wielkie plany pokrzyżowali.

Wiedziała od Zośki, że w tylu sprawach jej pomógł, w tylu kłopotach uczestniczył, że zasłużył, by traktować go jak najbliższego przyjaciela. Nie zdołała jednak przełamać się, by zwrócić się po imieniu. Przed nikim się też nie przyznała, że przyjaźń trochę jej nie wystarcza. Wiecznie wspominała, jak w tych przyszłych czasach w warszawskim mieszkaniu prawie ten sam Konstanty obejmował ją, pocieszał, a nawet raz wziął na ręce i zaniósł do łóżka. Myślała wtedy, że serce jej z piersi wyskoczy, i teraz po powrocie nie mogła już patrzeć na Gosztowicza spokojnie.

– Może pokrzyżowali – odpowiedział, stropiony tym, że znowu zwróciła się do niego per pan.

– To je naprostujmy. – Podeszła do niego bliżej. Może nawet zbyt blisko.

To dodało mu odwagi. Podniósł rękę do jej włosów i wyjął z nich piórko.

– Tak bym chciał, żebyś to dla mnie pachniała szodonom, dla mnie miała piórka we włosach, a ja dla ciebie... – Objął ją i przyciągnął jeszcze bliżej.

– Dla ciebie wszystko...

Może w nie całkiem odpowiedniej chwili do salonu wpadła Bogusia.

– Widziałam! Ja już od dawna to czułam! – zawołała, kiedy oboje odskoczyli od siebie speszeni. – Jaki pierścionek dostałaś?

Konstanty gwałtownie zaczął obmacywać swoje kieszenie. Znalazł! Wyjął malutkie pudełeczko i podał je Zofii.

– Pokaż, pokaż! – domagała się Bogusia.

– Chciałbym, żebyś została moją żoną – szepnął jej na ucho, kiedy córka zajęła się oglądaniem pierścionka.

Zofia tylko kiwnęła głową, że się zgadza. Pomyślała ciepło o Zośce. Gdyby nie ona, zamknęłaby się w przeświadczeniu, że musi być wierna pamięci powstańczego bohatera i do końca życia nie zdjęłaby żałoby. To Zośka musiała ośmielić Konstantego.

Nic więcej nie zdołała pomyśleć, bo właśnie do salonu weszły starsza pani Lutomińska i Nastusia.

– Pan Gosztowicz oświadczył się mamie! – podzieliła się z nimi sensacją Bogumiłka.

– Och! – Pani Adamowa rzadko popadała w konfuzję, ale tym razem wyglądała na bardzo zakłopotaną. – To może ja odniosę te kwiaty?

Rozdział 34

Ślub Zofii i Konstantego Gosztowicza, a w zasadzie dwa śluby, bo Janek Zarębski także oświadczył się Bogusi i ze względów oszczędnościowych postanowiono wyprawić je razem, odbył się w piękny październikowy dzień. Nie była to huczna uroczystość, bo kraj pogrążony był w żałobie po upadku powstania. Zewsząd dochodziły wieści o konfiskatach majątków, o planowanych kontrybucjach nakładanych na tych właścicieli, którzy ocalili swoją ziemię przed rekwizycją, o masowych zesłaniach na Sybir.

Powędrował na zsyłkę także Teoś Łagierski i wszyscy rozczulali się wspaniałą postawą panny Dominique Dulpy, która postanowiła mu towarzyszyć. Jedynie pani Adamowa mówiła, że to rozsądna decyzja, bo lepszym jest losem być żoną zesłańca, niż imać się każdego, często podłego zajęcia, by zarobić na życie.

Na ślub zjechał też z Zakopanego Gustaw. Miał przy tej okazji do załatwienia kilka spraw. Ponieważ, jak twierdził, nie było dla niego życia poza górami, już to ze względów zdrowotnych, już z powodu ciężkiej miłości, jaką zapalał do tamtejszych krajobrazów. Postanowił wybudować w Zakopanem duży dom z pokojami gościnnymi, w których pod opieką lekarza z dobrodziejstw zakopiańskiego klimatu mogliby korzystać chorzy na gruźlicę. Gucio nazywał ten dom sanatorium i namawiał młodych państwa Zarębskich, by z nim do Zakopanego pojechali, bo Janek przydałby mu się tam bardzo. Jednak oni już mieli plany. Zamierzali osiąść w Serocku, gdzie Janek chciał pracować ze starym doktorem Orzelskim, przyjacielem rodziny Zarębskich jeszcze z czasów sprzed poprzedniego powstania, a z czasem przejąć po nim praktykę.

Przed świętami Bożego Narodzenia dotarł do Lutomerzyc pierwszy list od Antosia. Chłopak w nim donosił, że bezpiecznie dotarł do Krasnojarska. Więźniów skierowano do pracy przy wydobywaniu złota, ale było ich tak wielu, że nie wystarczyło zajęcia dla wszystkich. Antoś szybko dał się poznać jako człowiek wykształcony i został buchalterem. Siedział sobie teraz w baraku i prowadził księgi handlowe. Tęsknił niezmiernie. Oboje z Lubą tęsknili tym bardziej, że ojciec dziewczyny nie wytrzymał trudów podróży. Już w Orenburgu zachorował na tyfus i zmarł w drodze, nie dojechawszy nawet do Tobolska.

Oboje obiecali wrócić. Wrócić najszybciej, jak się da.

*

W warszawskim mieszkaniu Zośka pakowała do metalowej puszki kruche ciasteczka, które upiekły z Agatką. Zamierzała nimi poczęstować ciotkę Eugenię, rodzoną siostrę babki Zośki ze strony ojca, której nie widziała od wieków. Mocno starsza pani mieszkała samotnie w Pułtusku, w domu, który od dawien dawna należał do rodziny. Zośka ostatni raz tam była jako wyrosnięta pannica i niewiele ją wtedy obchodziły historie Lutomińskich, Gosztowiczów, Zarębskich i Łagierskich, o których z takim zapalem opowiadała cioteczna babka. Jednak teraz koniecznie chciała wysłuchać tych wszystkich opowieści.

– Miejsce docelowe znajduje się po lewej stronie – poinformował ich wreszcie GPS po wielu manewrach wąskimi uliczkami willowej dzielnicy miasta.

Dom był starannie utrzymany, z ganeczkiem obrosłym pnącą różą, na której pojawiły się już pierwsze pączki. Otworzyła im starsza, całkiem siwa pani.

– Jak się cieszę, że was widzę! – zawołała stereotypowo, a potem całkiem niestereotypowo utkwiała wzrok w Zośce. – No coś podobnego – mruknęła pod nosem i wpuściła ich do domu.

Na nakrytym piękną szydełkową serwetą stole czekał na nich wspaniały czekoladowy sernik. Cioteczna babka zakrzętnęła się po kuchni i zapytała znowu mało oryginalnie:

– Kawa czy herbata?

Przez cały czas rzucała na Zośkę trochę rozbawione, a trochę zaintrygowane spojrzenia. Kiedy wreszcie usiadła obok nich przy stole, trzymała w ręce stary album.

– Ja ci, dziecko, coś muszę pokazać. – Otworzyła zbiór fotografii i długo czegoś szukała. Wreszcie podsunęła go pod nos Zośce. – Zobacz, to moja praprababka Zofia z Łagierskich, *primo voto* Lutomińska, *secundo voto* Gosztowiczowa.

– Jaka ona do ciebie podobna! Coś nieprawdopodobnego! – zdziwił się Kostek.

Zośce wcale się to nie wydawało nieprawdopodobne. Doskonale pamiętała, kiedy było zrobione to ujęcie. Podczas któregoś pobytu w Warszawie poszła do zakładu fotograficznego przy Tamce i zrobiła sobie

to zdjęcie. Musiała odsiedzieć przed antycznym aparatem chyba z pięć minut. Przyglądała się teraz z rozrzewnieniem fotografii. Tak dobrze pamiętała tę suknię. Czarna, bo przecież była w żałobie, tylko z białym koronkowym kołnierzykiem. Znała każdą jej zaszewkę, każdą falbankę. Antoś tak chciał mieć podobiznę matki ze sobą w Syberii, że Zofia dała mu to zdjęcie podczas pożegnania na Dworcu Petersburskim.

– Zaniemówiłaś? – śmiał się z niej Konstanty. – Prawda, że niesamowicie podobna?

– Prawda.

Uśmiechnęła się do siebie w duchu. Jeżeli ta fotografia znalazła się w rękach babki Eugenii, to najprawdopodobniej Antoś wrócił z Syberii.

– A ta moja imienniczka miała dzieci? – zapytała, by skłonić starszą panią do opowieści o rodzinie.

– Czwórkę – odparła babka Eugenia. – Udało mi się prześledzić ich losy, bo mamy tu w Pułtusku archiwum, w którym zachowało się sporo wiele mówiących o naszej rodzinie dokumentów. Przez całe życie tam pracowałam.

– Chętnie posłuchamy – powiedział uprzejmie Konstanty.

Starsza pani nie do niego jednak skierowała słowa, prawdziwe zainteresowanie dostrzegła bowiem w oczach Zośki. Opowiedziała długą i pełną dramatycznych zwrotów historię, ale o tym może innym razem...